

1.985.916  
J. M. BOCHENSKI

# STO ZABOBONÓW

KRÓTKI FILOZOFICZNY SŁOWNIK  
ZABOBONÓW

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1987

1-64

578/1

J. M. BUCHNER

# STO ZABOBONÓW

STO ZABOBONÓW

WYDAWCA: ...  
...  
...

WYDAWCA: ...

WYDAWCA: ...

WYDAWCA: ...

WYDAWCA: ...

11

J. M. BOCHENSKI

# STO ZABOBONÓW

163 MOT  
KRÓTKI FILOZOFICZNY SŁOWNIK  
ZABOBONÓW

ISBN 5-7168-0098-7

INSTYTUT TERACKI

Editeur: INSTITUT TERACKI, S.A.R.L.  
91, avenue de Paris, La Madeleine-Paris  
Paris 17<sup>e</sup> arrondissement

ВІСНИК  
BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 431

ISBN 2-7168-0098-7

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

J. M. BOCHENŃSKI

# STO ZABOBONÓW

KRÓTKI FILOZOFICZNY SŁOWNIK  
ZABOBONÓW

**INSTYTUT**

**PARYŻ**



**LITERACKI**

1987

© COPYRIGHT BY INSTYTUT LITERACKI, PARYŻ, 1987

J. M. BOCHENSKI

# STO ZABORONÓW

Za zastosowanie kursywy w treści haseł  
nie Autor jest winien ale Redakcja.



11 7.985.916  
(A) chr

INSTRUKCJA

INSTITUT

1987

PARYS

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1987

1987 W 579/1

## PRZEDMOWA

Starożytni Egipcjanie nazywali coś, co odpowiada naszemu zmartwychwstaniu, „wychodzeniem na światło”. Otóż ta książeczka jest poświęcona takiemu właśnie wychodzeniu na światło, intelektualnemu zmartwychwstaniu — i to dwojako. Najpierw jako rodzaj rachunku sumienia autora, który hołdował ongiś wielu spośród opisanych tutaj zabobonów a dziś, Bogu dzięki, uwolnił się od nich, wyszedł z ciemności na światło. Jest następnie wydana w nadziei, że pomoże temu czy innemu Czytelnikowi w jego walce o wolność od błędów. Chciałaby także odegrać, choć raczej ubocznie, rolę małego wstępu do filozofii takiej, jak ją pojmuje autor.

W tytule książeczki jest parę wyrażen, które wymagają komentarza. Mowa jest więc najpierw o zabobonach. Nie jestem pewny, czy słowo zostało trafnie wybrane — może byłoby po prostu mówić o przesądach, a nawet o błędach. Bo wyrażenie „zabobon” ma jakby posmak czegoś magicznego: nazywa się przecież „zabobonnym” człowieka, który jest przekonany, że można coś uzyskać przez wypowiedzianie tajemniczych słów, albo przez klucie igłą lalki woskowej. Chodzi zatem zwykle o coś praktycznego, o rodzaj absurdalnej techniki. Natomiast wiele omówionych tutaj mniemań — może nawet większość — ma charakter teoretyczny, nie praktyczny, a więc i nie magiczny. Jeśli mimo to używam tej nazwy, to dlatego, że ona oznacza czasem w naszym języku także teoretyczne błędy — a poza tym dlatego, że jest mocniejsza, że daje pełniejszy wyraz mojej postawie wobec głupstw, jakimi są te zabobony. W każdym razie definiuję „zabobon” w następujący sposób: wierzenie, które jest (1) oczywiście w wysokim stopniu fałszywe, a mimo to (2) uważane za na pewno prawdziwe. Tak np. astrologia jest zabobonem w moim

znaczeniu słowa, bo jest oczywiście i skrajnie fałszywa, a mimo to jest często uważana za zbiór pewników.

Powie mi ktoś, że używając tej raczej obelżywej nazwy, obrażam czcigodne zasady wytwornej przyzwoitości koleżeńskiej. Bo w świecie filozofów przyjęto obchodzić się elegancko z najgorszymi nawet idiotyzmami. Kiedy jeden mędrak powiada, że świata nie ma, albo że istnieje tylko w jego głowie; kiedy drugi dowodzi, że ja nie mogę być pewny, czy w tej chwili siedzę, a trzeci poucza nas, że nie mamy ani świadomości, ani uczuć — mówi się że to jest „pogląd”, „mniemanie”, „filozoficzna teoria” i wyklada się ją z namaszczeniem studentom. Otóż ja, proszę mi wybaczyć, nazywam to wszystko zabobonem i mówię wyraźnie, że takie jest moje mniemanie. Stanowczo za daleko poszliśmy w uprzejmości względem zabobonnych mędrków. Wypada raz wreszcie z tym skończyć, odróżnić hipotezę naukową od widzimisię demagoga, naukę od fantazji, uczciwy wysiłek filozoficzny od pustej gadaniny. A to tym bardziej, że owa gadanina miewa, niestety, tragiczne skutki: wystarczy pomyśleć o dialektyce Hegla i o mordach, jakich w jej imię dokonano.

Tyle o „zabobonie”. Jeśli chodzi o „filozoficzny”, to muszę się przyznać, że jeśli moje podejście jest stale filozoficzne (tj. od strony najbardziej oderwanej), to treść zabobonów omówionych w tej książce nie zawsze ma charakter filozoficzny — niektóre należą raczej do dziedziny ekonomii politycznej, względnie socjologii. Jeśli się nimi tutaj zajmuję, to z trzech względów. Najpierw dlatego, że sam byłem ofiarą tych zabobonów. Następnie dlatego, że szanowni koledzy ekonomiści i socjologowie zdają się być zwykle tak bardzo zajęci pozytywnymi dociekaniem, że czasu im już nie staje na zwalczanie przesądów i zabobonów należących do ich własnych dziedzin. Kto widział na przykład kiedy nowoczesną krytykę ekonomii marksistowskiej (która jest przeciw zbiorem oczywistych zabobonów), napisaną przez uczzonego ekonomistę? Filozofowie dali nam co najmniej tuzin monografii krytycznych o zabobonach w filozofii marksistowskiej — ale kiedy się prosi o coś podobnego dotyczącego ekonomii politycznej, ekonomiści odsyłają zwykle do jakichś autorów sprzed wieku. Chcąc więc czy nie chcąc, filozof musi podjąć się roli burzyciela zabobonów także gdy chodzi o pewne sprawy należące do dziedziny ekonomii i socjologii. Dochodzi do tego wreszcie względ na charakter filozofii, która z jednej strony zajmuje się najbardziej oderwanymi aspektami wszystkich przedmiotów, a z drugiej strony jest, że tak powiem, burzycielką zabobonów z powołania.

Można by co prawda sądzić, że niektóre, powiedzmy wulgarne,



zabobony, jak astrologia i numerologia, nie mają nic wspólnego z filozofią, nawet w tym szerokim słowa znaczeniu. Ale, przyglądając się bliżej tym skrajnym wypadkom, łatwo stwierdzić, że u źródeł leżą i tu pomysły filozofów. Astrologia wywodzi się przecież w prostej linii z filozoficznego wierzenia w „inteligencje” rządzące gwiazdami — wierzenia, do którego przyznawali się ongiś najwybitniejsi nawet filozofowie, Aweroes na przykład, aby tylko jedno wielkie nazwisko wymienić. A numerologia zawdzięcza przecież swoje powstanie, przynajmniej po części, Pitagorasowi i jego uczniom, którzy uczyli, że liczby są czymś arcyważnym, podstawowym w kosmosie. Ba, sam Platon był w późniejszym wieku wyznawcą tego poglądu, bo uczył, że liczby są istotą rzeczy. Nie jest też pikantności pozbawiona okoliczność, że Galileusz, twórca nowoczesnej nauki, był także filozofem, który się otwarcie przyznawał do takiego platonizmu.

A jeśli tak jest z astrologią i numerologią, cóż dopiero powiedzieć o dialektyce, o idealizmie, o humanizmie i innych gustach, którym świat zdaje się dziś hołdować? Tutaj pochodzenie zabobonów z dzieł dawniejszych kolegów po fachu jest chyba jasne. Filozof nie ma doprawdy z czego być dumny; ale o tym za chwilę.

Jedna grupa wierzeń, które zaliczyłem tutaj do zabobonów, nasuwa trudność innego rodzaju. Chodzi mianowicie o wierzenia należące do dziedziny moralności, a więc dotyczące norm postępowania, jak na przykład altruizmu, kary i miłości. Trudność polega na tym, że moim zdaniem filozofia jest (albo przynajmniej powinna być) nauką, a nauka rozprawia wyłącznie o faktach, o tym co jest, nie o normach, przynajmniej nie w tym sensie, by mogła przepisywać co ma być. Jeśli mimo to mowa jest w „Słowniku” także o takich wierzeniach, to dlatego, że przyznający się do nich popadają w sprzeczność z normami, które oni sami uważają za obowiązujące. Innymi słowami chodzi z mojego punktu widzenia o coś, co można by nazwać zabobonem logicznym, nie zabobonem etycznym.

Niezależnie od podziału zabobonów na mniej i bardziej filozoficzne, zastępuje na wzmiankę inne rozróżnienie. Ufam, że większość zabobonów omówionych w tym słowniku zainteresuje także nie-fachowego filozofa, ale niektóre spośród nich są tak dalece techniczne, że publiczność zwraca na nie uwagę tylko w drodze wyjątku. Przykładem tych ostatnich jest idealizm teoriopoznawczy. Jeśli poruszyłem je tutaj mimo ich ezoterycznego charakteru, to ze względu na złowrogie skutki takich pozornie czysto technicznych i oderwanych błędów. Gdyby odnośne wywody wydały się za trudne, autor prosi o ich opuszczenie w lekturze — a jako okoliczność łagodząca dla siebie pozwala sobie

przytoczyć znaną prawdę, że filozofia jest badaniem zagadnień przedstawiających pewien interes wyłącznie dla filozofa (Bertrand Russell).

Warto też może zwrócić uwagę, że podczas gdy pewne zabobony — jak na przykład humanizm — powstają na skutek zaprzeczenia faktom, a inne, jak astrologia, wynikają z pogwałcenia elementarnych zasad metodologii, to przyczyną jeszcze innych jest pomieszanie pojęć. Zabobony dotyczące demokracji (aż sześć znaczeń słowa!), idealizmu i komunizmu są pod tym względem typowe. Jest nawet faktem zastanawiającym, że mamy aż takie pomieszanie pojęć. Moim zdaniem odpowiedzialna jest za to postawa znacznej większości filozofów nowożytnych (XVI-XIX wiek), którzy, w przeciwieństwie do filozofów dawniejszych, lekceważyli sobie analizę językową i oddawali się spekulacjom nad pojęciami „samymi w sobie”, zapominając, że pojęcia są po prostu znaczeniami słów. Jak się pięknie wyraził jeden z moich dawnych uczniów: oddawali się bujaniu o pojęciach bujających w powietrzu. Lektura ich dzieł doprowadziła do tego, że przestano zwracać uwagę na wieloznaczność większości słów i popadano przez to w zabobony.

W tytule mowa jest poza tym o „krótkim” słowniku. Mam na myśli nie tylko to, że wzięte pod uwagę zabobony są omówione pokrótce, ale także fakt, że wymieniam zaledwie drobną część znanych zabobonów filozoficznych. Można by więc zapytać, jakiego klucza użyłem w wyborze hasel. Odpowiadam, że żadnego — pisałem po prostu o zabobonach, które mi na myśl przychodziły, a więc naturalnie przede wszystkim o tych, których sam byłem ongiś ofiarą. Być może, że opuściłem wskutek tego wiele ważnych zabobonów — ale na to nie ma już rady. Skądinąd wydaje mi się, że porcja głupstw omówionych poniżej jest dostatecznie wielka, aby przydać się w kuracji, mającej na celu oprzytomnienie, „wyjście na światło”.

Przeglądając spis zabobonów, z którymi się tu rozprawiam, nie mogę oprzeć się przykreemu uczuciu, które Niemcy nazywają, zdaje się, Katzenjammer, a co po polsku można by bodaj określić (nie bardzo polskim co prawda) słowem „chandra”. Mój słownik pokazuje, że w naszym świecie panuje aż tyle zabobonów — i jakich zabobonów! Nie potrzeba być wyznawcą zabobonu o stałym Postępie Ludzkości, aby przecież ufać, że ludzie XX wieku są choć trochę przytomniejsi, choć trochę rozumniejsi od troglodytów. A tymczasem lista zabobonów wyznawanych przez miliony w Londynie, Nowym Jorku i Paryżu zadaje kłam tej pobożnej nadziei. Trudno oprzeć się uczuciu wstydu, że się do takiego pokolenia należy. Jeśli o mnie chodzi, przykreść jest tym większa,

że, jak już wspomniałem, byłem sam ślepym zwolennikiem wielu spośród wymienionych tutaj zabobonów. Gorszy jeszcze jest, że tak powiem, mój wstyd zawodowy: mam na myśli grupę zawodową filozofów, do której należę, a która tak ciężko zawiniła, wymyślając albo przyczyniając się do powstania aż tylu zabobonów.

Wreszcie uwaga jeszcze bardziej osobista. Kto zechce zaglądnąć do niniejszego słownika, stwierdzi łatwo, że nosi on charakter wysoce obrazoburczy, że nazywam w nim „zabobonami” wiele poglądów, powszechnie uważanych za prawdziwe, dobre, czci-  
godne, bodaj nawet za świętobliwe, jak na przykład altruizm i humanizm. Tak jest istotnie. Postępuję w ten sposób dlatego, że, jak powiedziałem, filozof jest z powołania obrazoburcą, niszczycielem przesądów i zabobonów. Jego główna rola względem światopoglądu polega właśnie na przewracaniu bałwanów, na burzeniu przeszkód stojących na drodze uznania danego światopoglądu. Ze pełnienie tej funkcji nie jest wygodne, że nie obiecuje wielu korzyści dla autora, to inna sprawa. Wręcz przeciwnie: filozof wierny swojemu powołaniu musi się liczyć z prześladowaniem ze strony pocziwych bałwochwalców i innych wyznawców zabobonu. Nieprawdą jest, by historia znała wielu męczenników nauki — natomiast wielu filozofów cierpiało prześladowanie dlatego, że smagali zabobony.

Ale i na to nie ma rady. Co więcej, czasy są takie, że kto może, ma dzisiaj — bodaj bardziej niż kiedykolwiek — ścisły obowiązek walki z zabobonami. Tak dlatego, że dzisiaj właśnie tylu ludzi — nawet autentycznych filozofów — korzy się we wstrętny sposób przed marksistowskim zabobonem — i kiedy w Polsce człowiek ma tak często wybór tylko między dwoma rodzajami zabobonów, tymi głoszonymi przez partię i tymi, którym hołdują ciemni katolicy.

Jeśli jednak chodzi o zabobony tego ostatniego rodzaju, autor ma poprzednika w dziejach, niejakiego św. Tomasza z Akwinu, którego wykleto przecież i w Paryżu i w Oksfordzie za to, że ośmielił się odrzucić zabobonne wierzenie reistyczne o duszy i głosić (jedynie zresztą prawdziwe) twierdzenie, że dusza jest treścią ciała (forma corporeitatis). A więc, choć św. Tomasz nie jest (już) moim guru, niech wolno go będzie uważać za niebieskiego opiekuna obrazoburstwa, jakie łaskawy Czytelnik znajdzie w tym słowniku.

J. M. BOCHEŃSKI



**AKTYWIZM.** Mniemanie, że tylko ruch, działanie, dążenie do celu ma wartość i może dać sens ludzkiemu życiu. Życie miałoby zatem sens tylko wtedy, gdy człowiek działa, dąży do czegoś. *Aktywizm* potępia jako „martwe” i bezużyteczne wszelkie używanie chwili, każdą kontemplację.

*Aktywizm* istnieje od starożytności, ale został ostatnio bardzo spopularyzowany przez egzystencjalistów. Ci filozofowie pojmują mianowicie istnienie człowieka (tak zwaną egzystencję\*), jako dążenie, napięcie, ruch w kierunku przyszłej egzystencji: człowiek nie tylko działa, ale sam *jest* działaniem, czystym ruchem, dążeniem.

Łatwo wykazać, że *aktywizm* jest zabobonem, wskazując na każdym znane chwile, w których człowiek nie dąży do żadnego celu, ale w których jego życie ma przecież pełny i nieraz bardzo intensywny sens. Taką jest na przykład chwila, w której po kąpiel morskiej spoczywam na piasku, rozkoszując się słońcem i wiatrem. Taką chwilę przeżył wielki matematyk niemiecki, jeden z twórców geometrii nie-euklidesowej, Riemann, o którym opowiadają, że — jak zwierzył się przyjacielowi — miał intuicję całości swojego systemu i taką radość, że chyba niewielu ludziom dane jest przeżyć coś podobnego.

Jest rzeczą jasną, że w takich chwilach człowiek nie dąży do niczego, nie działa celowo, ale przecież żyje bardzo intensywnie i że jego życie ma sens. — Skądinąd *aktywizm*, odmawiając ludziom prawa do używania chwili, pozbawia samo działanie sensu — bo działamy po to, aby coś uzyskać, nie aby działać dla działania bez końca. Otóż tym czymś, o które w działaniu chodzi, musi być końcowa chwila używania tego, co się pragnęło osiągnąć przez działanie.

Jednym z powodów rozpowszechniania się tego zabobonu jest kolektywizm\*, zabobon wymagający, aby człowiek żył wyłącznie dla zbiorowości. Z tego punktu widzenia należy oczywiście tylko działać i każda chwila używania jest rodzajem kradzieży, odbierania społeczeństwu tego, co mu się od nas należy. Ale kolektywizm jest zabobonem.

Patrz: egzystencja, kolektywizm.



**ALTRUIZM.** *Altruizm* został wynaleziony razem z dziwaczną nazwą przez francuskiego filozofa A. Comte'a. Nazwa jest dziwaczna, bo składa się ze źródłosłów zaczerpniętych aż z trzech języków (łaciny, francuskiego i greckiego) — a to co ona oznacza jest zasadniczo różne od autentycznej miłości, którą *altruizm* miał zastąpić. *Altruizm* jest mianowicie miłością innego człowieka *w oderwaniu* i dlatego, że jest *innym* człowiekiem. Jego przedmiotem jest więc nieokreślone indywiduum, które mamy kochać dlatego właśnie, że jest nam obce, różne od nas. Mamy więc do czynienia z odwrotnością autentycznej miłości\*, którą kochamy zawsze *konkretną* osobę, a kochamy ją nie dlatego, że jest różna od nas, ale wręcz przeciwnie, dlatego że jest nam *bliska* i o tyle, o ile ma tożsamości z nami. Sam Comte zdawał sobie prawdopodobnie sprawę z tej różnicy, skoro ukuł dla swojego *altruizmu* nową nazwę. Utożsamianie tego *altruizmu* z normalną miłością ludzką jest zabobonem i mało jest widoków równie żalonych, jak widok duchownych chrześcijańskich głoszących ten zabobon z ambon, mieszających *altruizm* z miłością chrześcijańską.

Aby zrozumieć pochodzenie *altruizmu* wypada pamiętać, że w *altruizmie* Comte'a wcale nie chodzi o jednostki ludzkie, ale o tzw. „wielki byt” (*grand être*), tj. o ludzkość\*. *Altruizm* stapia nas z tym „wielkim bytem”, jest więc narzędziem bałwochwaltwa\*, jakim jest uwielbienie ludzkości. Celem wynalazku było stworzenie doktryny, która by mogła w ramach tego bałwochwaltwa zastąpić chrześcijańską naukę o miłości bliźniego.

Patrz: bałwochwaltwo, egoizm, kolektywizm, ludzkość, miłość.

**ANARCHIZM.** Mniemanie, że anarchia jest możliwym, a nawet pożądanym ustrojem społecznym. *Anarchia* to wyraz grecki, oznaczający ustrój — albo raczej rozstrój — w którym nie ma żadnego przymusu, a więc i autorytetu\* deontycznego sankcji. Anarchia jest oczywistym zabobonem, przynajmniej jeśli odnosi się do społeczeństw złożonych. W ciągu 5000 lat dziejów ludzkości nie jest znany ani jeden wypadek, w którym anarchia nie byłaby połączona z ogromną masą niesprawiedliwości, mordów itp. i z szybkim upadkiem społeczeństwa. Można więc być *anarchistą* tylko pod warunkiem, że się zakłada inny jeszcze zabobon, a mianowicie wierzenie w postęp\*.

Warto zauważyć, że zwolennicy *anarchizmu* nie zawsze przeczą konieczności wszelkiego autorytetu, ale tylko autorytetu

*sankcji*. Wydaje się im, że dobrowolnie uznany autorytet powinien wystarczyć i że ludzie mu się poddadzą, nawet gdy żadna sankcja im nie grozi. Ale i to jest zabobonem. Wiadomo bowiem, że w każdym społeczeństwie bez wyjątku jest pewien odsetek jednostek niekarnych względnie zbrodniczych, nie poddających się woli większości. W naszych czasach jest to jeszcze bardziej oczywiste niż dawniej.

Przyczyną rozpowszechnienia tego zabobonu jest odczuwanie istniejącego porządku i panującej władzy jako niesprawiedliwych, co w wielu wypadkach może być słuszne. Ale *anarchizm* nie jest lekarstwem na to zło, bo prowadzi zwykle do większych nieszczęść, niż te, od których chciałby ludzi uwolnić.

Do spopularyzowania *anarchizmu* przyczynił się walenie marksizmu\*. Sam Marks przejął bowiem ideały *anarchistów* jako cel polityki. Jego zdaniem w „raju na ziemi”, jakim ma być komunizm\* nie będzie już państwa\*, ani w ogóle żadnego przymusu. Jego celem jest więc całkiem wyraźnie anarchia. Jednym z dziwolągów marksizmu jest, że głosząc taki ideał, hołdując w teorii *anarchicznemu* zabobonowi, w praktyce uprawia wszędzie, gdzie jest u władzy, skrajną totalitaryzm\*.

Patrz: autorytet, komunizm, marksizm, państwo, postęp, totalitaryzm.

**ANTROPOCENTRYZM.** Zabobonna filozofia związana z humanizmem\*, uważająca człowieka za ośrodek i punkt wyjścia dociekań filozoficznych. Skrajną postacią *antropocentryzmu* jest pogląd greckiego filozofa Protagorasa, streszczony w słynnym zdaniu „człowiek jest miarą wszystkiego”. *Antropocentryzm* jest obrazą zdrowego rozsądku i to nawet w dwojaki sposób — ze względu na przedmiot i na metodę ludzkiego poznania.

Jeśli chodzi o przedmiot, można zrozumieć, że ludzie żyjący przed Kopernikiem mogli uważać *antropocentryzm* za rozsądne stanowisko. Mniemano bowiem wtedy, że ziemia jest ośrodkiem stosunkowo małego świata, w którym wszystko, słońce, gwiazdy, planety, obracało się wokół niej. Myśl, że cała rzeczywistość obraca się wokół człowieka, mogła się wówczas wydawać zgodna z nauką. A warto zauważyć, że i wtedy niewiele tylko filozofów popadało w zabobon *antropocentryzmu*. Natomiast dziś wiemy, że nasza ziemia jest tylko maleńką planetą, obracającą się wokół słońca, które jest od niej 330.000 razy cięższe, że słońce podobnych do naszego jest w drodze mlecznej miliardy i że mgławic

takich jak ona jest znowu wiele. Wiemy też, że życie na powierzchni ziemi istnieje — w porównaniu do istnienia samej ziemi, a tym bardziej wszechświata — niezmiernie krótko — tym bardziej gatunek ludzki. Każdy więc, kto nie popada w zabobon humanizmu, to jest nie uważa człowieka za stworzenie nadprzyrodzone, musi uznać *antropocentryzm* za zabobon.

Do tego samego wniosku dochodzi się także ze stanowiska metody. Rzecz mianowicie w tym, że poznanie samego siebie jest dla nas wtórne w stosunku do poznania innych przedmiotów — i refleksja nad sobą jest znacznie trudniejsza niż poznanie zewnętrznej rzeczywistości. Jest więc zabobonem mniemanie, iż należy zaczynać w poznaniu od człowieka.

Wydaje się, że przyczyną szerszenia się tego zabobonu jest zwykle rozkład społeczeństwa i idąca w parze z nim skłonność ludzi do zamykania się w sobie, rozmyślania o sobie, zapominając o otaczającej nas rzeczywistości.

Patrz: humanizm, idealizm, sceptycyzm.

**ANTYSEMITYZM.** Wyrażenie „*antysemityzm*” używane jest dzisiaj w dziwny sposób, jako i że Arabowie są przecież semitami: kto ich więc nie lubi, byłby *antysemitą*. Ale tego, co *antysemityzm* dziś oznacza, dotyczą co najmniej trzy zabobony.

1. Pierwszym i najważniejszym jest sam *antysemityzm*. Polega on na demonizacji Żydów i przypisywaniu im wszelkiego zła. Zwolennicy *antysemityzmu* zwykli są także twierdzić, że Żydzi rządzą światem, że mają jakąś centralę, dążącą do opanowania świata, do zniszczenia naszej cywilizacji itp. Zdarza się też, że przypisuje się im najzupełniej gołosłownie rozmaite zbrodnie. Powszechne jest u *antysemitów* żądanie, by wyeliminować z naszej cywilizacji wszystko, co żydowskie.

Że są to wszystko haniebne zabobony, powinno być jasne. Aby wspomnieć tylko o ostatniej sprawie, postulat „oczyszczenia” kultury europejskiej ze składników wniesionych do niej przez Żydów jest absurdem. Nie ma kultury europejskiej bez chrześcijaństwa, a chrześcijaństwo oparte jest na żydowskiej biblii i pochodzi od Chrystusa, który był Żydem. Dlatego też *antysemici* są bardzo często także antychrześcijanami — nie zdając sobie sprawy, że podcinają przez to podstawy kultury, której chcą bronić. A znaczenie Żydów w tej kulturze nie kończy się na chrześcijaństwie. Bardzo wielu najbardziej wpływowych myślicieli europej-



skich XIX i XX wieku było Żydami, że wymienimy tylko Marksa, Freuda i Einsteina. Jeśli chodzi o filozofię, niemal wszystko, co było decydujące dla wyjścia z ciemnego zaułka historii „nowożytności”, pochodzi od Żydów. Żydami byli np. tacy filozofowie jak Bergson (Zbytkower), Husserl, Cassirer, Lévy-Strauss i Tarski. Wielu czołowych komunistów było wprawdzie Żydami — ale czołowy antykomunista francuski, Raymond Aron, był także Żydem. Nie ma europejskiej kultury bez Żydów i *antysemityzm* jest dlatego skrajnie antyeuropejskim zabobonem.

Nasuwa się naturalnie pytanie, dlaczego *antysemityzm* jest tak rozpowszechniony, nawet w krajach, w których Żydzi stanowią drobną i dobrze zasymilowaną mniejszość, jak w przedwojennych Niemczech, gdzie *antysemityzm* osiągnął szczyt. Odpowiedź na to pytanie jest złożona — wydaje się, że *antysemityzm* ma kilka przyczyn. Jedną z nich jest zapewne zazdrość spowodowana tym, że Żydzi wydają stosunkowo wysoki odsetek ludzi bardzo zdolnych i wskutek tego zajmują nieraz kierujące stanowiska w literaturze, nauce, filozofii, a nawet w polityce. Inną przyczyną jest chyba fakt, że ten sam naród wydaje stosunkowo wielu ludzi nietolerancyjnych i bezwzględnych, gdy tylko posiadają władzę. Przejawia się to między innymi w lekceważeniu przez nich uczuć religijnych i patriotycznych gojów. Oni to są w wysokim stopniu odpowiedzialni za szerzenie się *antysemityzmu*. W XX wieku złowrogi wpływ wywarł także fakt, że wielu ludzi tego typu posiadało władzę z ramienia partii komunistycznych — i zbrodnie przez nich popełnione zostały następnie przypisane wszystkim Żydom, co jest oczywiście zabobonem, ale nie mniej wyjaśnia częściowo popularność *antysemityzmu*.

2. Obok tego zasadniczego zabobonu wypada wymienić inny, polegający na uważaniu *antysemityzmu* za coś znacznie gorszego, bardziej zbrodniczego od wrogości względem innych grup narodowych. Można to dziś o tyle zrozumieć, że myśli się o *antysemityzmie* niemieckim, który spowodował ludobójstwo Żydów — i w tym sensie był niewątpliwie czymś gorszym niż np. niechęć Flamandów do Walonów w Belgii. Ale już ludobójstwo, jakiego ofiarą padli Ormianie po pierwszej wojnie światowej jest dokładnie tak samo potępienia godne, jak zbrodnie hitlerowskie. Być może, że różnica w ocenie pochodzi stąd, że uważa się Żydów za „naród wybrany” — w co zresztą obecnie nawet większość samych Żydów nie wierzy.

3. Wreszcie zabobonem jest mniemanie, że nie wolno Żydów mniej lubić niż innych, że ktokolwiek woli np. Włocha albo Chińczyka od Żyda jest *antysemitą*. Każdy ma w rzeczy samej

prawo lubić albo nie lubić kogokolwiek pod warunkiem, by nie gwałcił prawa gdy chodzi o osobę, której nie lubi. Każdy ma też nie tylko prawo, ale i obowiązek bardziej lubić sobie bliskich niż obcych, a więc np. Polaków niż Francuzów albo Żydów. Kto nazywa ludzi tak czujących *antysemitami*, wpada w zabobon.

Patrz: miłość, równość.

*ARTYSTA.* *Artysta* odgrywa ważną rolę w społeczeństwie: jest specjalistą w sztuce, umie lepiej niż inni wyrażać ludzkie uczucia i ideały, tworzy piękne dzieła itd. Ale jako taki *artysta* nie jest nauczycielem cnót, przywódcą politycznym ani filozofem. Gdy się uważa za takiego i występuje jako autorytet\* w tych dziedzinach, staje się intelektualistą\*. Przyznawanie mu tego autorytetu jest pierwszym zabobonem dotyczącym *artysty*. Bo *artysta*, podobnie jak literat i dziennikarz, jest specjalistą i autorytetem tylko w jego własnej dziedzinie, którą jest sztuka, a nie w innych. Co prawda może się zdarzyć, że *artysta* jest równocześnie np. politykiem albo filozofem — ale jako *artysta* nim nie jest.

Szczególnie niebezpieczne jest przypisywanie mu prawa występowania w roli nauczyciela moralności. Wypada sobie zdać sprawę, że i pod tym względem *artysta* w niczym nie góruje nad innymi ludźmi, że nie jest ani autorytetem moralnym, ani uprawionym kaznodzieją etyki religijnej. Z tego, że umie dobrze przedstawiać czyny ludzkie nie wynika, by posiadał ten autorytet. Przeciwnie, *artyści* wygłaszali nieraz poglądy moralne sprzeczne z przyjętymi w ich społeczeństwie i darzyli zwykłych ludzi niczym nie uzasadnioną pogardą. Można więc powiedzieć, że *artysta* nadużywający swojego autorytetu w tej dziedzinie jest społecznie szczególnie szkodliwy.

Inny zabobon dotyczący *artysty* to mniemanie, że przysługują mu prawa, których nikt inny nie posiada. Tak na przykład zdacza się, że *artyści* malarze, względnie ludzie uważający się za takich, domagają się — w imię rzekomej „wolności sztuki” — prawa „zdobienia” ścian cudzych domów bez zgody właścicieli. Szewc mógłby równie dobrze domagać się prawa sporządzenia pantofli z mojej teczki bez mojego pozwolenia, a rzeźnik prawa zarżnięcia mojego kota, aby z niego „stworzyć” sznycel. *Artysta* nie ma w rzeczywistości większych praw niż ktokolwiek inny — i kto mu takie prawa przypisuje, popada w zabobon.

Popularność tych zabobonów można wytłumaczyć w następu-

jący sposób. Wartości\* estetyczne, które *artysta* zna lepiej niż inni i umie wcielać w swoje dzieła, są bardzo wysokimi wartościami. Szacunek, jaki dla nich (słusznie) mamy, przenosimy na twórców dzieł sztuki, to jest na *artystów*. Zdarza się wówczas, że otoczony szacunkiem *artysta* staje się prawdziwym guru\*, bezwzględny autorytetem we wszystkich dziedzinach. Dochodzi do tego tym łatwiej, im bardziej inne autorytety — zwłaszcza moralne — są osłabione, jak to się zdarza zwykle w okresach upadku społecznego.

**Patrz:** autorytet, dziennikarz, guru, intelektualista, literat, wartości.

**ASTROLOGIA.** System oparty na założeniu, że wzajemne położenie słońca, księżyca i planet w chwili urodzenia człowieka rozstrzyga o jego losie, że znając je można więc przepowiedzieć przyszłość. *Astrologia* jest jednym z najbardziej rozpowszechnionych zabobonów. W niektórych krajach cywilizowanych co trzeci człowiek dorosły płaci, i to nieraz drogo, za horoskopy *astrologiczne*. W Paryżu istnieje „Wyższa Szkoła Astrologiczna”, która wydaje rozprawy, traktaty i podręczniki, a także nadaje tytuły „naukowe”. Pikantnym przejawem zamieszania pojęć panującego w tej dziedzinie jest fakt, że w szkole tej wykłada m.in. pewien zakonnik katolicki, podpisujący się jako taki.

Że *astrologia* jest zabobonem, wynika z trzech racji. Po pierwsze dlatego, że wszyscy uczeni kompetentni w tej dziedzinie, a więc astronomowie, astrofizycy i psychologowie odrzucają *astrologię* bez wyjątku jako zabobon. Po drugie z tego, że twierdzenia *astrologów* są najzupełniej gołosłowne: przytaczane „dowody” gwałcą elementarne zasady metodologii naukowej, w szczególności statystyki. Po trzecie wiadomo, że ludzie urodzeni w tej samej chwili i w tej samej miejscowości, którzy według *astrologii* powinni mieć taki sam los, mają w rzeczywistości nieraz losy najzupełniej odmienne (św. Augustyn).

Oto, dla ilustracji głębi tego zabobonu parę wyjątków z *astrologicznego* podręcznika niejakiego p. Francesco Wagnera, z rozdziału o tzw. planetach:

**Księżyc:** ... to on budzi w nas naturalne pragnienie zmiany, małych podróży... Daje nam wielką wnikliwość, intuicję, właściwości mediumiczne, bierność. Reguluje działanie organów kobiecych, zaburzenia płciowe, płodność, ciężę, porody...

**Merkury:** ... planeta inteligencji i ducha, pracy zawodowej,

interesów, zwłaszcza handlowych. To on roztrzyga o roli jaką jednostka będzie mogła odegrać...

*Saturn:* ...ureczywistnia przeznaczenie, popycha człowieka powoli po szczeblach postępu duchowego i społecznego — a równocześnie daje siły potrzebne do osiągnięcia celu. Jest planetą boleści i poczucia obowiązku...

Wszystko to jest zapewne piękne i budujące — szkoda tylko, że jest najzupełniej bezpodstawne. O tych planetach wiemy tylko, że są martwymi bryłami materii, pędzącymi poprzez przestworza zgodnie z prawami mechaniki. Wiemy także, że owe *astrologiczne* „wibracje” są tak słabe, że rozmowa toczona półgłosem w sąsiednim mieszkaniu działa na nas bez porównania silniej.

Przyczyną popularności *astrologii* jest zapewne między innymi fakt, że *astrologowie* są nieraz obdarzeni wnikliwą intuicją, znajomością duszy ludzkiej, a może także właściwościami mediumicznymi, co pozwala im wiedzieć to i owo o ich klientach, najzupełniej niezależnie od położenia jakichkolwiek ciał niebieskich. Po czym przypisują powodzenie swojej diagnozy „nauc” *astrologicznej*.

*AUTORYTET.* Wokoło *autorytetu* powstało kilka groźnych zabobonów. Aby zrozumieć ich przewrotność, wypada przede wszystkim wyjaśnić znaczenie nazwy *autorytet*. Mówimy, że jeden człowiek jest *autorytetem* dla drugiego w pewnej dziedzinie dokładnie wtedy, kiedy wszystko, co należy do tej dziedziny i zostało przez pierwszego podane z naciskiem do wiadomości drugiego (np. w postaci nauki, rozkazu itp.) zostaje przyjęte, uznane przez tego ostatniego. Istnieją dwa rodzaje *autorytetu*: *autorytet* znawcy, specjalisty, nazywany uczenie „epistemicznym” i *autorytet* przełożonego, szefa, zwany *autorytetem* deontycznym. W pierwszym wypadku ktoś jest dla mnie *autorytetem* wtedy i tylko wtedy, kiedy mam przekonanie, że daną dziedzinę zna lepiej ode mnie i że mówi prawdę. Einstein jest np. *autorytetem* epistemicznym w fizyce dla mnie, nauczyciel w szkole *autorytetem* epistemicznym w geografii dla uczniów tej szkoły itd. *Autorytetem* deontycznym jest natomiast dla mnie ktoś dokładnie wtedy, kiedy jestem przekonany, że nie mogę osiągnąć celu, do którego dążę, inaczej, niż wykonując jego rozkazy. Majster jest *autorytetem* deontycznym dla robotników w warsztacie, dowódca oddziału dla żołnierzy itd. *Autorytet* deontyczny rozpada się dalej na *autorytet* sankcji (gdzie *autorytet* ma inny cel niż ja, ale słucham jego rozkazów z obawy kary) i *autorytet* solidarności (gdzie obaj mamy

ten sam cel — jak np. marynarze mają ten sam cel co kapitan statku w niebezpieczeństwie).

1. Pierwszym zabobonem odnoszącym się do *autorytetu* jest mniemanie, że *autorytet* sprzeciwia się rozumowi. W rzeczywistości posłuch *autorytetowi* jest często postawą nader rozsądną, zgodną z rozumem. Kiedy np. matka mówi dziecku, że istnieje wielkie miasto zwane „Warszawą”, dziecko postępuje najzupełniej rozumnie, kiedy to uznaje za prawdę. Podobnie pilot postępuje rozumnie, kiedy wierzy meteorologowi, pouczającemu go, że w tej chwili jest w Warszawie wysokie ciśnienie i wiatr z zachodu, 15 węzłów — jako że wiedza *autorytetu* jest w obu wypadkach większa niż wiedza dziecka, względnie pilota. Co więcej, *autorytetu* używamy nawet w nauce. Aby się o tym przekonać, wystarczy zwrócić uwagę na obszerne biblioteki stojące w każdym instytucie naukowym. Książki w tych bibliotekach zawierają najczęściej referaty wyników naukowych osiągniętych przez innych naukowców — a więc wypowiedzi *autorytetów* epistemicznych. Podobnie bywa, że posłuch *autorytetowi*, np. kapitana statku, jest postawą najzupełniej rozsądną. Twierdzenie, że istnieje zawsze i wszędzie przeciwieństwo między *autorytetem* a rozumem jest zabobonem.

2. Drugi zabobon związany z *autorytetem* to przekonanie, że istnieją *autorytety*, że tak powiem, powszechne, to jest ludzie, którzy są *autorytetami* we wszystkich dziedzinach. Tak oczywiście nie jest — każdy człowiek jest najwyżej *autorytetem* w jakiejś określonej dziedzinie, albo paru dziedzinach, ale nigdy we wszystkich. Einstein na przykład był niewątpliwie *autorytetem* w dziedzinie fizyki, ale bynajmniej nie w dziedzinie moralności, polityki albo religii. Niestety uznawanie takich powszechnych *autorytetów* jest zabobonem bardzo rozpowszechnionym. Kiedy na przykład grono profesorów uniwersyteckich podpisuje zbiorowo manifest polityczny, zakłada się, że czytelnicy będą ich uważali za *autorytety* w polityce, którymi oni oczywiście nie są — a więc coś w rodzaju uznania *autorytetu* powszechnego uczonych. Bo ci profesorowie są zapewne *autorytetami* w zakresie rewolucji francuskiej, ceramiki chińskiej albo rachunku prawdopodobieństwa, ale nie w dziedzinie polityki — i nadużywają przez takie oświadczenia swojego *autorytetu*.

3. Trzecim szczególnie szkodliwym zabobonem jest tutaj pomieszanie *autorytetu* deontycznego (szefa) z *autorytetem* epistemicznym (znawcy). Wielu ludzi mniema, że kto ma władzę, a więc jest *autorytetem* deontycznym, jest tym samym *autorytetem* epistemicznym i może pouczać podwładnych, np. o astrono-

mii. Piszący te słowa był kiedyś świadkiem „wykładu” wygłoszonego przez wyższego oficera i ignorantą w tejże astronomii, a to wobec oddziału, w którym był strzelec, docent astronomii. Ofiarą tego zabobonu padają nieraz nawet ludzie wybitni, tak np. św. Ignacy Lojola, założyciel zakonu jezuitów, w słynnym liście do ojców portugalskich, w którym domaga się od nich, by „poddawali swój rozum przełożonemu”, a więc *autorytetowi* czysto deontycznemu.

Patrz: guru, intelektualista, racjonalizm, rozum.

**BAŁWOCHWALSTWO.** Dosłownie cześć boska oddawana bałwanom, a więc stworzeniom, co zakłada, że się te stworzenia, skończone przedmioty, „ubóstwia”, pojmując jako rodzaj bogów. Wyznawcy różnych religii (np. buddyści, wyznawcy religii biblijnych) bywali nieraz niesprawiedliwi względem ludzi, którzy rzekomo oddawali cześć bałwanom — podczas gdy owe posągi itd. odgrywały najczęściej tylko rolę symbolów bóstwa. Ale dzisiaj autentyczne *bałwochwalstwo* jest bardzo rozpowszechnione — jest nawet jednym z najczęściej spotykanych zabobonów. Postaciami *bałwochwalstwa* są m.in.: humanizm\* (ubóstwianie człowieka), nacjonalizm\* (ubóstwianie narodu), scjentyzm\* (ubóstwianie rozumu).

Można by na pierwszy rzut oka odnosić wrażenie, że *bałwochwalstwo* jest rodzajem religii\*. Inne religie uwielbiają pozaświatowego Boga, *bałwochwalstwo* jakiegoś byty istniejące wewnątrz świata. Ale właśnie dlatego *bałwochwalstwo* nie jest religią, lecz zabobonem. Różnica między nim a autentyczną religią polega na tym, że ta ostatnia ma za przedmiot Bóstwo niedostępne naukowemu doświadczeniu — natomiast *bałwochwalstwo* wypowiada się na temat przedmiotu bytującego w świecie. Co gorsza, *bałwochwalstwo*, wkraczając przez to w dziedzinę wiedzy, gwałci równocześnie jedną z podstawowych zasad myśli naukowej, zgodnie z którą nie ma w świecie niczego, co nie byłoby skończonym zjawiskiem.

W starożytności znany był także szczególny rodzaj *bałwochwalstwa*, polegający na ubóstwianiu jednostek ludzkich, w szczególności władców — np. cesarzy rzymskich. Ten zabobon, o którym sądzono, że wygasł, odrodził się w nowej postaci w XX wieku. Uwielbiano i przypisywano cechy boskie np. Mussoliniemu („Mussolini ma zawsze rację”), Hitlerowi i Stalinowi. Taka sama cześć jest nadal oddawana kacykom w wielu krajach

niedorozwiniętych. Jest to szczególnie haniebna postać *bałwochwalstwa*.

*Bałwochwalstwo* jest nadzwyczaj niebezpiecznym zabobonem, a to dlatego, że uwielbianie i przyznawanie cech boskich stworzeniom wyklucza przyznanie jakichkolwiek praw jednostce ludzkiej. Autentyczny Bóg jest z mocy definicji czymś „całkowicie różnym” od stworzeń i jako taki nie konkuruje z człowiekiem. Jego istnienie i działanie leżą na zupełnie innej płaszczyźnie niż istnienie i działanie ludzkie — taki Bóg może więc współistnieć z prawami jednostki stworzonej. Ale ubóstwiony bałwan jest i działa w świecie — a będąc ubóstwiony, odbiera wszystkiemu innemu, m.in. człowiekowi, wszelkie prawa. Nic więc dziwnego, że systemy, w których ubóstwiano stworzenia, były najczęściej ustrojami totalitarnymi, w których odmawiano jednostce wszelkich praw.

Powodem popularności *bałwochwalstwa* jest — jak się zdaje — głęboka potrzeba służenia jakiemuś, jak mówią filozofowie, absolutowi. Stąd człowiek, który nie wierzy w Boga, szuka naderz rozpaczliwie jakiegoś bytu, który mógłby Go zastąpić. Nadaje temu bytowi — ludzkości, narodowi, rozumowi itd. — cechy boskie, uwielbia go i służy mu. Nic więc dziwnego, że *bałwochwalstwo* szerzy się zwłaszcza w okresach upadku religii.

Patrz: humanizm, nacjonalizm, Oświecenie, religia, rozum, sejentyzm.

**BEHAVIORYZM.** W ścisłym słowa znaczeniu metodologia, zabraniająca brania pod uwagę przeżyć badanego przedmiotu i nakazująca ograniczenie do badania jego zachowania się (angielskie *behaviour*). Czy ta metodologia jest słuszna, czy nie, o tym powinni rozstrzygać psychiatrzy. Ale *behaviorizm* przybiera naderz inne, zabobonne znaczenie: wówczas jest mniemaniem, zgodnie z którym nie ma zjawisk psychicznych, czyli duszy\*. W tym drugim znaczeniu *behaviorizm* jest oczywistym zabobonem.

Patrz: dusza, materializm.

**BELKOT.** Mowa ludzka pozbawiona sensu. Sam *belkot* nie jest zabobonem; jest nim natomiast wierzenie, że można za pomocą *belkotu* przekazać informacje o przedmiotach. Istnieją dwa podstawowe rodzaje *belkotu*: pierwszy polega na używaniu

słów, których nikt w ogóle nie rozumie, drugi na używaniu wyrażań w zasadzie zrozumiałych dla słuchacza względnie czytelnika, ale stosowanych w znaczeniu najzupełniej obcym przyjętemu w danym środowisku. Przykładem *bełkotu* pierwszego rodzaju są wyrażenia magiczne, np. „hokus-pokus”, „abrakadabra” itp. Przykładem drugiego rodzaju *bełkotu* jest często spotykane, zwłaszcza u filozofów i teologów, nadużywanie znaczenia słów. Chodzi wówczas najczęściej o wyrażenia, które robią wrażenie uczonych. Kiedy uczony teolog rozprawia na przykład o dialogu wierzących z Bogiem, bełkocze — jako że „dialog”, wyrażenie greckie, znaczy tyle co „rozmowa”, a wierzący całkiem oczywiście z Bogiem nie rozmawiają.

Używający *bełkotu* niekoniecznie wierzy sam w możliwość przekazania informacji w ten sposób, nie jest więc koniecznie zabobonny — bywa, że chce po prostu zaimponować słuchaczom albo wprowadzić ich w błąd. Ale kto bierze *bełkot* za środek komunikowania przedmiotowej informacji, jest ofiarą zabobonu.

Głównym powodem, dlaczego tak łatwo do tego dochodzi, jest pomieszanie dwu różnych funkcji słowa. Słowo może mianowicie z jednej strony — o ile jest zrozumiałe — przekazać pewną informację o jakimś przedmiocie, o czymś różnym od stanów mówiącego; tak np. powiedzenie „pali się” komunikuje informację o pożarze, który wybuchł niedaleko od człowieka, który je wygłasza. Z drugiej strony słowo, nawet gdy nie jest zrozumiałe, pokazuje pewną postawę, pewien stan psychiczny mówiącego. Tak na przykład to samo powiedzenie „pali się”! wykrzyknięte głośno i ze strachem, pokazuje, że wygłaszający je boi się ognia. Gdy aktorka wykrzykuje na scenie trzy razy i coraz głośniej „Nie chcę wyjść za hrabiego!”, to dwa ostatnie „Nie chcę!” nie dodają żadnej nowej informacji do pierwszego, ale dają wyraz żywym uczuciom kobiety względem owego hrabiego. W ten drugi sposób nawet najgorszy *bełkot* może przekazać pewną informację, ale nie przedmiotową — a mianowicie o tyle, o ile pokazuje jaką postawę zajmuje, jakie stany psychiczne przeżywa ten, kto tego wyrażenia używa. Ale jest całkowicie wykluczone, aby *bełkot* mógł przekazać jakąkolwiek informację przedmiotową, o czymkolwiek różnym od przedmiotu. Stąd *bełkot* jest najzupełniej bezużyteczny wszędzie tam, gdzie chodzi o przekazanie informacji przedmiotowych, a więc w szczególności w nauce. Mniemanie, że może być do czegoś w tej dziedzinie przydatny, jest grubym zabobonem. Zabobonem jest zatem także mniemanie, że filozof może, a nawet powinien posługiwać się *bełkotem*.

Uleganie temu zabobonowi jest tym bardziej szkodliwe, że użytek słów mających przedmiotowe znaczenie jest cechą specy-



ficzną człowieka (i zapewne, przynajmniej po części, wyższych zwierząt). Ci, którzy by chcieli mowę ludzką, przedmiotową i zrozumiałą, zastąpić *bełkotem*, sprowadzają tym samym człowieka na poziom niższy od poziomu mały i nosorożców, bo nawet te bydlęta używają nie tylko *bełkotu*.

Patrz: tajemnica.

**DEMOKRACJA.** *Demokracji* w ogóle zdefiniować niepodobna — tak wielkie jest pomieszanie pojęć w jej sprawie. Samo przekonanie, że *demokracja* jest dobrym ustrojem, nie jest zabobonem. Jest natomiast zabobonem ślepe wierzenie, że tylko *demokracja* jest dopuszczalną formą ustroju — i to bez rozróżnienia różnych znaczeń tego słowa. Tych znaczeń jest co najmniej sześć: *demokracja ustrojowa*, określony rodzaj tejsze, ustrój wolnościowy, ustrój praworządny, *demokracja społeczna* i wreszcie dyktatura partii.

1. „*Demokracja*” oznacza więc najpierw i przede wszystkim ustrój, którym lud rządzi, względnie wybiera rządzących, czyli ludowładztwo. Nawiasem mówiąc, skoro tak jest, należy nazwać wyrażenie „*demokracja ludowa*” dziwactwem — bo ono znaczy tyle co „*ludowe ludowładztwo*” — czyli coś podobnego do „*maślanego masła*”. Bo *demokracja* pochodzi z greckiego *demos* — lud i *kratein* — rządzić.

2. Nieraz nazywa się jednak *demokracją* nie *demokrację* w ogóle, ale określoną postać, formę ustroju *demokratycznego*. Bo istnieją najróżniejsze postaci *demokracji*. Jedną z nich to np. tzw. *demokracja bezpośrednia*, praktykowana jeszcze w niektórych małych kantonach szwajcarskich, gdzie cały lud zbiera się na tzw. *Landesgemeinde* i rozstrzyga o najważniejszych sprawach państwowych; w pewnym stopniu jest taka *demokracja* stosowana także w konfederacji szwajcarskiej. Inną formą *demokracji ustrojowej* jest *demokracja parlamentarna*, w której lud wybiera swoich przedstawicieli (parlamentarzystów). Ta ostatnia może przybierać jeszcze różne formy — istnieje np. *demokracja prezydencjalna* (ministrowie odpowiedzialni przed prezydentem wybranym przez lud) i *partyjna* (ministrowie odpowiedzialni przed sejmem). Często spotyka się uważanie jednej z tych licznych postaci *demokracji ustrojowych* za jedyną „*prawdziwą*” *demokrację*, co jest oczywistym zabobonem.

3. Od *demokracji ustrojowej* należy odróżnić ustrój wolnościowy, to jest taki, w którym panuje np. wolność prasy, zebrań

itp. Bywa mianowicie, że w ustroju *demokratycznym* takie wolności są ograniczone (tak np. z reguły w czasie wojen) i na odwrót, że w ustroju *niedemokratycznym* istnieje wiele wolności.

4. Praworządność jest jeszcze czymś innym, aczkolwiek i ona bywa nazywana czasem *demokracją*. Ustrój praworządny to mianowicie taki, w którym prawo jest szanowane. Że nie należy praworządności mieszać z *demokracją ustrojową* wynika z faktu, że znane są liczne państwa z ustrojem *demokratycznym*, ale w których prawo nie jest szanowane — i na odwrót, państwa *niedemokratyczne*, ale praworządne. Obraz państwa tego ostatniego rodzaju daje znana anegdota z czasów Fryderyka Wielkiego, który był samowładcą i w którego państwie nie było ani śladu *demokracji ustrojowej*. Anegdota opowiada, że młynarz, któremu urzędnicy królewscy zabrali młyn, oświadczył, że idzie do Berlina, bo — powiadał — „są jeszcze sędziowie w Berlinie”. Ów młynarz z anegdoty wierzył więc w praworządność swojego *niedemokratycznego* państwa.

5. Nie trzeba także mieszać *demokracji ustrojowej*, względnie ustroju wolnościowego czy praworządnego z *demokracją społeczną*. Ta ostatnia jest ustrojem społecznym, w którym nie istnieją zapory psychiczne między poszczególnymi warstwami społecznymi. Że *demokracja społeczna* i *demokracja ustrojowa* to dwie różne rzeczy, wynika z istnienia krajów o ustroju czysto *demokratycznym*, ale w którym takie zapory są bardzo wielkie — i odwrotnie, krajów *niedemokratycznych* ustrojowo, ale w których nie ma wielkich przedziałów między ludźmi należącymi do różnych warstw społecznych. Taka *demokracja społeczna* istnieje nawet dość często w krajach, w których rządzi tyran, starający się sprowadzić wszystkich obywateli do poziomu *nie-wolników*.

6. Wreszcie marksiści-leniniści zwykli są nazywać *demokracją* dyktaturę swojej partii; podobnej terminologii używają także tyrańscy władcy w wielu krajach niedorozwiniętych, gdzie istnieje często jedna tylko partia. Nazywanie takiego ustroju *demokracją* jest możliwie najgrubszym zabobonem, jaki tylko można sobie wyobrazić — jako że nie ma w nim *demokracji* w żadnym z powyższych znaczeń: ani ustrojowej, ani wolnościowej itd.

Niezależnie od pomieszania pojęć w sprawie *demokracji* i zabobonu polegającego na uważaniu za „prawdziwą” *demokrację* tylko jedno ze znaczeń słowa, istnieje jeszcze inny, bardzo rozpowszechniony zabobon. Polega on na dziwnym mniemaniu, że *demokracja* albo nawet jedna z postaci *demokracji ustrojowej*, która okazała się dobrą formą rządów w naszym kraju albo krainku, powinna być wprowadzona wszędzie na świecie, równie dobrze

w Chinach, Etiopii jak i Brazylii. Że jest to zabobon, wynika już z prostego faktu, że na około 160 państw istniejących obecnie, zaledwie 21 ma ustrój *demokratyczny*. Uleganie temu zabobonowi jest jednym z najgorszych i najbardziej kompromitujących przejawów parafianśszczyzny.

**Patrz:** autorytet, elita, lud, państwo, równość, wolność.

**DIALEKTYKA.** Nazwa *dialektyka* pochodzi od greckiego *dialegein*, co znaczy dyskutować; *dialektyka* była więc pierwotnie sztuką dyskutowania. W ciągu długich okresów — np. u starożytnych stoików i u scholastyków — nazywano *dialektyką* logikę\*. W tym znaczeniu *dialektyka* nie jest bynajmniej zabobonem, ale może być sztuką bardzo pożyteczną. Dopiero filozof niemiecki Hegel nadał słowu nowe, zabobonne znaczenie i odtąd przyznawanie się do *dialektyki* jest zabobonem. O ile myśl Hegla można w ogóle zrozumieć — bo pisze nader mętnie — to według niego przyroda dyskutuje niejako sama ze sobą. Wskutek tej dyskusji powstaje ruch, wyłaniają się kolejno różne istoty itd. W dalszym ciągu Hegel i jego zwolennicy twierdzą, że w świecie istnieją sprzeczności\*, bo przyroda dyskutuje przecież sama ze sobą, a w dyskusji jeden partner przeczy temu, co drugi mówi. A skoro tak jest, skoro świat jest pełen sprzeczności, to zwyczajna logika, która ich nie uznaje, nie jest dobrą logiką, może najwyżej wystarczyć „do kuchennego użytku” (Lenin). W filozofii obowiązuje inna, „wyższa” logika *dialektyczna*, ze sprzecznościami i tymi podobnymi dziwolągami. Zwolennicy Hegla mówią też wiele o nieistnieniu jednostek: naprawdę ma istnieć tylko całość. Tak np. w państwie jednostka ludzka ma być „dialektycznym momentem” owej całości, a więc państwa, czymś jakby przemieszczającą falą na powierzchni oceanu.

Z tak pojętej *dialektyki obiektywnej*, czyli z tego opisu świata, wyrasta następnie tak zwana *dialektyka subiektywna*, czyli owa rzekomo „wyższa” logika i metodologia myślenia. Lenin, a po nim Stalin, próbowali ustalić reguły tej *dialektycznej metody*. Według Stalina np. polega ona na tym, że należy patrzeć na zjawiska z punktu widzenia całości, badać dokąd ruch zdąża, zwracać uwagę na przeciwieństwa (Stalin nazywa je — jak wszyscy *dialektycy* — „sprzecznościami”) itd. *Dialektyka* tak pojęta ma być właściwą logiką proletariatu, rewolucji, komunizmu itd.

Większość twierdzeń tak rozumianej *dialektyki* jest kompro-

mitującym zabobonem. Zabobonem jest na przykład wierzenie, że przyroda „dyskutuje” sama ze sobą. Zabobonem jest wiara w jakąś rzekomo „wyższą” logikę. Innym zabobonem jest wierzenie, że ktokolwiek uzyskał jakiegokolwiek wyniki za pomocą owej rzekomej *logiki dialektycznej*, która jest, w najlepszym razie, zbiorem bardzo prymitywnych rad, nie mogących w żaden sposób równać się zasadom współczesnej metodologii nauk. Sam Marks, na którego *dialektycy* lubią się powoływać, nie używał nigdy niczego poza zwyczajną logiką formalną i metodologią nauk przyrodniczych. Wierzył zresztą w użyteczność tej ostatniej jak w proroka.

Zabobonny charakter *dialektyki* jest tak oczywisty, że nawet w Związku Sowieckim, gdzie narzucano ją siłą, odważniejsi filozofowie podnieśli protest. Obecnie toleruje się tam, obok urzędowej *dialektyki*, także zwykły ludzki rozsądek i autentyczną logikę.

Skąd pochodzi powodzenie *dialektyki*? Byłoby ono niewątpliwie znacznie mniejsze, gdyby partie komunistyczne całego świata nie przyznawały się do niej i nie narzucały jej wszędzie, gdzie są u władzy. Ale obok przymusu partyjnego odegrała pewną rolę także wiara w znakomitość zabobonnych filozofii w rodzaju heglowskiej. Rozumuje się przy tym mniej więcej tak: wszystko co znakomity filozof zaleca jest pożyteczne i dobre; otóż Hegel jest znakomitym filozofem i zaleca *dialektykę*. A więc *dialektyka* jest pożyteczna i dobra. W ten sposób jeden zabobon pociąga za sobą drugi. Skądinąd *dialektyka* ma tę „zaletę”, że zwalnia swego wyznawcę z obowiązku przedstawiania ścisłych dowodów. Sama *dialektyka* nie zawiera *ani jednego* prawa, względnie *ani jednej* dyrektywy, którą można by nazwać „logiczną”; ale przecząc prawom logiki formalnej, daje swoim wyznawcom złudne wrażenie wolności\*: wszystko wydaje się być dopuszczalne. Ta fałszywa wolność od praw logiki formalnej jest tylko prawem do bełkotania\*, do nonsensu.

Niestety w imię tego *dialektycznego* zabobonu prześladowało się i prześladowuje się jeszcze ludzi, zabijając ich nieraz. Zabobon *dialektyczny* jest jednym z najbardziej złowrogich, jakie znamy.

Patrz: bełkot, logika, marksizm, sprzeczność, wolność.

*DIALOG*. Wyrażenie greckie, znaczące to samo co „rozmowa”, „dyskusja”, niekiedy z naciskiem na lepsze poznanie jakiegoś

przedmiotu, jako celem. *Dialog* nie ma więc sam w sobie nic szczególnie tajemniczego ani „filozoficznego”. Niestety niektórzy egzystencjaliści zrobili z *dialogu* prawdziwy zabobon. Według nich *dialog* jest w życiu ludzkim czymś zasadniczym, „głębokim” i niezmiernie ważnym. Jeden taki filozof powiada, że praca ludzka jest *dialogiem*, jako że ludzie rozmawiają w czasie pracy. Równie dobrze mógłbym twierdzić, że palenie fajki jest *dialogiem*, skoro ludzie przy paleniu fajki rozmawiają. Szczególnie rozpowszechniony zdaje się być zabobon, zgodnie z którym religia byłaby *dialogiem*. To twierdzenie jest o tyle zadziwiające, że Bóg rozmawiał być może z Abrahamem i z prorokami, ale jako żywo nie rozmawia ze zwykłymi wierzącymi. Jeśli więc religia jest *dialogiem*, to chyba tego samego rodzaju, co rozmowa dziada z obrazem w piosence polskiej: „przemówił dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu”. Chodzi więc o oczywisty zabobon.

Nie wydaje się, by *dialogiczny* zabobon był jak dotąd rozpowszechniony w masach, ale spotyka się go nieraz u kaznodziei, dziennikarzy, intelektualistów i tym podobnych. Jednym z jego głównych źródeł jest zapewne doktryna egzystencjalistyczna, według której człowiek istnieje tylko wtedy, gdy „komunikuje” z kimś innym. Ale jeśli prawdą jest, że nasze pojęcia są związane ze słowami, a słów używamy właśnie w *dialogu*, nie wynika z tego wcale, by człowiek nie mógł istnieć — i to bardzo intensywnie — bez żadnej wymiany myśli z innymi. Faktem jest w każdym razie, że wielcy ludzie dokonywali nieraz największych rzeczy — a więc i istnieli najbardziej intensywnie — w samotności.

Ale *dialogiczny* zabobon odpowiada, rzecz jasna, ludziom słabym, którzy potrzebują innych, bo nie czują się dość silni, by samemu stawiać czoło życiu. Tacy słabeusze przyjmują zabobon o *dialogu* z wielkim entuzjazmem. Dochodzi do tego dalsza przyczyna: kolektywizm\*, przesadny nacisk na społeczeństwo: wmawia się stale w ludzi, że są niczym bez społecznego zaplecza, a więc i bez dialogu.

**Patrz:** egzystencja, kolektywizm.

**DUSZA.** Mało jest wyrażeń i pojęć, wokół których narosło tyle zabobonów, co wokół *duszy*. Najważniejsze to bodaj dwa, wzajemnie sobie przeciwne: zabobon materialistyczny i zabobon reistyczny.

1. Zabobon materialistyczny polega na przeczeniu oczywis-

temu faktowi, że człowiek — a razem z nim chyba także wyższe zwierzęta — ma jakieś przeżycia, wyobrażenia, myśli i uczucia, że coś wie i czegoś pragnie. Wszystkie te zjawiska nazywamy razem uczonym słowem „psychika” — a w języku popularnym mówimy o *duszy*. Przeczyć istnieniu *duszy* w tym słowa znaczeniu może tylko skrajnie zabobonny człowiek, który zupełnie oślepił na najbardziej oczywiste rzeczy. Warto może podkreślić, że poważniejsi materialści nie są aż w tym stopniu zabobonni: nie przeczą istnieniu *duszy*, powiadają tylko, że jest ona „czymś materialnym”. Ale i to jest zabobon — równie dobrze można by twierdzić, że drzewo jest w rzeczywistości masłem, a woda żelazem, bo zjawiska psychiczne są przecież najzupełniej różne od fizycznych, materialnych.

2. Istnieje także inny zabobon dotyczący *duszy*. Nazywamy go tutaj „zabobonem reistycznym”, od łacińskiego *res*, co znaczy tyle co „rzecz”. Ów drugi zabobon polega na mniemaniu, że *dusza* ludzka jest rzeczą podobną do takich rzeczy jak stoły, maszyny do pisania, góry i krokodyle. Skrajny wyraz temu zabobonowi dał francuski filozof Kartezjusz. Według niego człowiek składa się z dwóch rzeczy, z dwóch kawałków (nazywa je „substancjami”) a mianowicie z rzeczy cielesnej, to jest ciała, i z rzeczy duchowej, tj. *duszy*. Pogląd Kartezjusza jest zresztą tylko pseudonaukowym sformułowaniem szeroko rozpowszechnionego zabobonu o *duszach* ludzkich przechadzających się poza ciałem. Tak np. starożytni Egipcjanie wierzyli już w XXV wieku przed Chrystusem, to jest 4500 lat temu, że *dusza* ludzka (nazywali ją „Ba”) przechadza się po śmierci ciała w postaci ptaszka z ludzką głową wokoło grobu zmarłego.

Wobec starożytności tego zabobonu, wspartego jeszcze przez „autorytet” Kartezjusza i jemu podobnych, a także przez źle zrozumianą wiarę chrześcijańską, mamy do czynienia z wierzeniem trudnym do przewyciężenia. Tym bardziej stanowczo wypada powiedzieć, że mniemanie, jakoby człowiek składał się z dwóch kawałków, ciała i *duszy*, jest bardzo nędznym zabobonem. Cała nasza nauka i wszyscy poważni myśliciele odrzucają go stanowczo. Aby tylko jeden przykład podać, św. Tomasz z Akwinu, jeden z największych myślicieli chrześcijaństwa, przeczy stanowczo, by *dusza* ludzka była „substancją zupełną”, tj. kawałkiem i broni poglądu, że jest „treścią (*forma*) ciała”.

Rzecz mianowicie w tym, że człowiek nie jest połączeniem dwóch rzeczy, cielesnej i duchowej, ale jedną jedyną rzeczą posiadającą jakby różne strony czy różne warstwy. Takich warstw znajdujemy w człowieku nawet więcej niż dwie. Człowiek jest

przecież najpierw ciałem. Jest istotą wyposażoną we wszystkie właściwości roślin, bo odżywia się, rozmnaża itd. jak one. Jest dalej także zwierzęciem, choć nasi humaniści\* nie chcą jakoś tego dojrzeć. Jest wreszcie istotą, która umie się modlić itd., słowem jest istotą duchową. Ale te wszystkie jego cechy czy funkcje, wszystkie warstwy składające się na jego istotę, nie są rzeczami, ale stronami, cechami, funkcjami tego samego jedynego podmiotu, jedynej rzeczy, jaką jest sam człowiek.

Jeśli chodzi o przyczynę powstania tych zabobonów, wypada powiedzieć, że pierwszy, materialistyczny, wywodzi się z tego, że człowiek z natury rzeczy znacznie łatwiej poznaje rzeczy leżące wokoło niego, a więc byty materialne, niż nawet własną psychikę — i stąd skłonność do pojmowania wszystkiego na kształt bytów fizycznych jest u nas wrodzona. Ta sama skłonność leży u podstaw zabobonu reistycznego — najprzyjemniej by nam było, gdybyśmy mogli pojąć *duzę* na kształt jakiegoś kawałka, choćby duchowego kawałka, jak chciał Kartezjusz. Ale ten drugi zabobon czerpie też swoją popularność z owej góry guseł i przesądów, nagromadzonych w ciągu stuleci wokoło śmierci\*, pogrzebów itp. Uwolnić się od jej ciężaru nie jest łatwo. Swoją rolę odegrało także powszechne pragnienie nieśmiertelności\*, której ludzie nie umieją sobie nieraz inaczej wyobrazić jak przyjmując reistyczny zabobon.

**Patrz:** humanizm, materializm, nieśmiertelność, śmierć.

**DZIENNIKARZ.** *Dziennikarstwo* jest zawodem ludzi wyspecjalizowanych w tak zwanych środkach masowego przekazu, a więc w dziennikach, periodykach, telewizji, radiu itp. Jak sama nazwa wskazuje, zadaniem środków masowego przekazu jest przekazywanie masom informacji. Stąd *dziennikarz* jest sprawozdawcą i niczym innym. Jest specjalistą w zbieraniu, przedstawianiu i podawaniu innym informacji. Jak długo pozostaje w tej dziedzinie, jego praca jest pożyteczna i nie można mu niczego zarzucić. Ale w ciągu ostatniego wieku *dziennikarze* przywłaszczyli sobie inną funkcję, a mianowicie występują w roli nauczycieli, kaznodziei moralności. Nie tylko informują czytelników i słuchaczy o tym, co się stało, ale wydaje się im, że mają prawo pouczać ich, co powinni myśleć i czynić. A że ich poglądy są rozpowszechniane masowo, *dziennikarze* zajmują uprzywilejowane stanowisko, mają niekiedy istny monopol na pouczanie ludzi, co jest dobre, a co niedobre.

Wiara, że tak ma być, że *dziennikarz* ma prawo tak się zachowywać, że należy mu wierzyć, gdy nas poucza, jest jednym z typowych zabobonów współczesnych. Bo jeśli chodzi o pouczanie nas, *dziennikarz* nie ma żadnego autorytetu. Nie jest, jako taki, ani specjalistą w żadnej nauce, ani autorytetem moralnym, ani przywódcą politycznym. Jest po prostu dobrym obserwatorem i umie pisać, względnie mówić. Co gorzej, sam zawód *dziennikarza* jest dla niego samego o tyle niebezpieczny, że musi pisać o najróżniejszych rzeczach, o których zwykle niewiele wie, a w każdym razie nie posiada głębszej wiedzy. *Dziennikarz* jest więc niemal z konieczności dyletantem. Uważać go za autorytet, pozwalać mu pouczać innych ludzi, jak to się obecnie stale czyni, jest zabobonem.

Kiedy szukamy przyczyny szerzenia się tego zabobonu, wypada przyznać ze wstydem, że nie ma chyba innej, niż dziecinne wierzenie, że wszystko co drukowane jest prawdziwe — a zwłaszcza jeśli jest drukowane pięknymi słowami.

Patrz: artysta, autorytet, intelektualista.

**EGOIZM.** Postawa człowieka, który dobro własne przekłada ponad dobro innych; przeciwieństwo altruizmu\*. Od czasów A. Comte'a rozpowszechniony jest zabobon głoszący, że człowiek nie ma prawa dbać w pierwszym rzędzie o samego siebie, że powinien zawsze i wszędzie dawać pierwszeństwo innym, a zwłaszcza ludzkości\*. Jeśli tego nie czyni, jest pogardy godnym *egoistą*. Zdrowy rozsądek twierdzi, że prawda jest wręcz odwrotna, mimo że od wieków usiłuje się w ludzi wmówić podobny do *egoizmu* zabobon. Sądzi mianowicie, że człowiek ma także potrzeby społeczne, że powinien zatem dbać także o innych — w pewnych warunkach nawet poświęcić się za nich — ale że jego obowiązki wobec innych opierają się ostatecznie na obowiązkach wobec samego siebie. Spełnienie tych obowiązków nie jest więc nie tylko niczym złym, ale przeciwnie, podstawowym obowiązkiem moralnym. Bo obowiązki wobec innych oparte są na ich częściowej tożsamości z nami. Tak np. największe obowiązki mają rodzice wobec dzieci, bo te są im najbliższe, są częścią ich samych. Kto więc odmawia człowiekowi prawa do zabiegania w pierwszym rzędzie o siebie, podrywa tym samym podstawę wszystkich obowiązków wobec innych.

Ten zabobon połączony jest przy tym zwykle z dwoma inny-



mi: z kolektywizmem\* i z egalitaryzmem moralnym (p. równość\*). Pierwszy każe stawiać dobro gromady, a zwłaszcza ludzkości, ponad dobro własne, drugi przeczy, by bliscy mieli pierwszeństwo przed obcymi i domaga się, byśmy o wszystkich dbali w równej mierze.

Zabobony dotyczące *egoizmu* zawdzięczają swoją popularność okoliczności, że wielu ludzi przywiązuje, w rzeczy samej, zbyt wielką wagę do potrzeb indywidualnych, zapominając o społecznych. Wypada jednak zrozumieć, że potrzeby społeczne są także potrzebami jednostki i że kto ich nie zaspokaja, przygotowuje sobie prawdopodobnie zły los w przyszłości. Ale z tego, że należy uwzględnić także i te potrzeby, nie wynika wcale, byśmy nie mieli prawa dbać o siebie, jak chciałby *egoistyczny* zabobon.

Patrz: altruizm, kolektywizm, ludzkość, miłość, równość.

**EGZYSTENCJA.** Nazwa *egzystencja* oznaczała tradycyjnie to samo co „istnienie”, mówiono więc nie tylko o *egzystencji* ludzkiej, ale także o *egzystencji* zwierząt, kamieni itp. Od czasu powstania *egzystencjalizmu* nadano jednak tej nazwie nowe, zabobonne znaczenie. Określa się ją mianowicie w tych kołach jak następuje: po pierwsze, *egzystencję* posiada tylko człowiek. Tylko on jeden „egzystuje”, podczas gdy inne istoty „istnieją” (co jest wyrazem skrajnego humanizmu\*). Po drugie, nie cały człowiek egzystuje, ale tylko, że się tak wyrazimy, czysty ludzki podmiot, czyste „ja” człowiecze. Ów czysty podmiot to to, co pozostaje, gdy usuniemy w myśli wszystko mogące być przedmiotem, np. ciało itd. Po trzecie, nie należy mówić, że człowiek *ma* *egzystencję*, ale że *jest* *egzystencją*. Na temat tak pojętej *egzystencji* napisano całą bibliotekę.

Otóż ta biblioteka zawiera niemało zabobonów, z tej prostej przyczyny, że samo pojęcie *egzystencji* jest nieporozumieniem. W rzeczywistości nie ma niczego takiego — *egzystencja* jest abstrakcją. Tworzymy jej pojęcie, opuszczając wszystko poza samą jaźnią. Dalej nieprawdą jest, by człowiek był tylko ową *egzystencją*: każdy wie, że do jego istoty należy nie tylko czyste „ja”, ale także cała psychika, z owym mnóstwem wspomnień, informacji, uczuć, pragnień itp. Co więcej, należy do niej także nasze ciało, którego nie wolno odrzucać z istoty ludzkiej pod pozorem, że może być przedmiotem — bo jest ono całkiem oczywiście składnikiem nas samych.

Z tego nie wynika, naturalnie, by wszystko, co mówią *egzys-*

*tencjaliści* było fałszem. Zwrócili oni np. słusznie uwagę na tzw. zagadnienia *egzystencjalne*\*. Tylko, że te nader ważne zagadnienia są pytaniami dotyczącymi nie jakiejś oderwanej *egzystencji*, ale po prostu pełnego, żywego człowieka. Rozprawianie o *egzystencji* jest więc zabobonem.

Patrz: dusza, *egzystencjalne* zagadnienia, humanizm.

**EGZYSTENCJALNE ZAGADNIENIA** — pytania dotyczące sensu życia ludzkiego, ale leżące, jeśli wolno się tak wyrazić, na kraju życia i świata. Jako takie wymienia się zwykle: śmierć, sam sens życia, cierpienia, zawód, miłość. Z *egzystencjalnymi* zagadnieniami związane są dwa zabobony.

1. Jeden z nich, bardzo rozpowszechniony w czasach Oświecenia\* i jeszcze dziś reprezentowany przez marksizm-leninizm\*, przeczy po prostu istnieniu *egzystencjalnych* zagadnień. Kiedy pytamy przedstawicieli tego zabobonu, jaki jest np. sens życia ludzkiego, a w szczególności śmierci, odpowiadają, że wszystko będzie w porządku, kiedy ludzkość wejdzie do raju na ziemi itd. Otóż to wychodzi na jedno z zaprzeczeniem istnienia tych zagadnień, jako że my sami musimy umrzeć, zanim ludzkość dojdzie do owego raju, a w każdym razie nasza śmierć jest sprawą czysto indywidualną: żaden postęp społeczny nie może rozwiązać zagadnienia dotyczącego tej śmierci. Jeden z filozofów nowożytnych sformułował wyraźnie ten zabobon: „Człowiek mądry — pisze — o niczym nie myśli mniej niż o śmierci i jego mądrość jest medytacją życia, nie śmierci” (Spinoza).

2. Inny zabobon dotyczący zagadnień *egzystencjalnych* to mniemanie, że chodzi w nich o sprawy wewnętrzno-światowe, a więc podlegające badaniom naukowym. Zwolennik pozytywizmu\* musi, w rzeczy samej, zajmować takie stanowisko, bo według niego tylko nauka może dać odpowiedź na dręczące nas pytania.

Ale oba te wierzenia są zabobonami. Zagadnienia *egzystencjalne* należą do najważniejszych, jakie człowiek może sobie postawić, jeśli nie są najważniejszymi w ogóle. Mamy wprawdzie wszyscy wrodzoną skłonność do zamykania oczu na nie (Heidegger), ale one narzucają się każdemu prędzej czy później, z wielką siłą. Nie uznawać ich istnienia jest więc dziwacznym zabobonem. Zabobonem jest także mniemanie, że zagadnienia *egzystencjalne* dadzą się rozwiązać za pomocą metody naukowej — jako że nauka

jest wobec nich najzupełniej bezsilna: leżą one całkowicie poza jej dziedziną. Rozwiązanie *zagadnień egzystencjalnych* daje zwykle światopogląd\*, a w szczególności religia\*.

Patrz: egzystencja, nauka, pozytywizm, religia, światopogląd.

**EKONOMIZM.** Zabobonne wierzenie, że człowiek ma tylko tzw. potrzeby materialne (jadło, mieszkanie itp.) względnie, że zaspokojenie potrzeb materialnych pociąga za sobą automatycznie zaspokojenie wszystkich innych i szczęście ludzi. Że jest to zabobon, widać choćby w krajach bogatych, gdzie potrzeby materialne są zaspokojone z nadmiarem, ale gdzie wielu ludzi, zwłaszcza młodych, czuje się nieszczęśliwymi i cierpi.

Pochodzenie tego zabobonu, który jest wspólną podstawą zarówno kapitalizmu\* jak i marksizmu\*, jest jasne: w okresach, w których materialne potrzeby ludzi nie są zaspokojone, gdy nie mają dość jedzenia np., wszystkie inne potrzeby wydają im się drugorzędne i pragną przede wszystkim zaspokojenia potrzeb materialnych. Ale przenoszenie tego stanu na okresy dobrobytu — a takich w dziejach, chwała Bogu, nie brak — jest właśnie *ekonomizmem* i zabobonem.

Patrz: kapitalizm, marksizm, wartość.

**ELITA.** Autentyczna *elita* to tyle co ogół najwybitniejszych ludzi w danym społeczeństwie, najwybitniejszych pod względem charakteru, wiedzy, inteligencji, zdolności twórczych itd. W tym znaczeniu *elita* jest przeciwieństwem ludu\*. Najważniejszym dzisiaj zabobonem odnoszącym się do *elity* jest przekonanie, że jest ona niepotrzebna, albo nawet szkodliwa dla społeczeństwa, że więc należy wszelką *elitę* niszczyć i nie dopuszczać do jej tworzenia. Tak np. w wielu szkołach w Stanach Zjednoczonych nie wolno dawać uczniom złych stopni przy egzaminach, aby „nie dawać przywilejów” zdolniejszym dzieciom. Zwolennicy tego zabobonu mówią też zwykle wiele o tym, jak *elita* wyzyskuje lud itd. Powinno być rzeczą jasną, że chodzi o zabobon. Uleganie mu pociąga za sobą groźne skutki dla społeczeństwa. Jest tak dlatego, że dobrobyt, postęp a nieraz i samo życie społeczeństwa zależy od tego, czy potrafiło wytworzyć dobrą *elitę*. Społeczeństwo bez *elity* skazane jest na skostnienie i rychłą śmierć.

Główną przyczyną powstania tego zabobonu jest — obok naturalnej ludzom zazdrości — inny, przeciwny poniekąd zabobon, którego istotą jest uważanie za *elitę* ludzi, wyróżniających się wyłącznie pochodzeniem od rodziców bogatych albo wpływowych, a więc należących do arystokracji, do plutokracji albo do „nomenklatury” urzędniczej. Tego rodzaju kasty nie mają nic wspólnego z autentyczną *elitą* — mają zarazem tendencję do zamykania się w sobie. Ich istnienie i ich pretensje do wyższości są odczuwane przez innych jako niesprawiedliwość — i stąd rodzi się niechęć do każdej, nawet autentycznej *elity*.

Z *elitą* związany jest wreszcie trzeci zabobon, niezależny w zasadzie od dwóch pierwszych — a mianowicie mniemanie, że członkowie *elity* nie powinni być lepiej opłacani niż inni. Poprawna postawa jest odwrotnością tego zabobonu: społeczeństwo, które chce mieć dobrą *elitę*, musi zachęcać ludzi do wejścia do niej, m.in. przez nadzieję lepszych zarobków. Nic nie opłaca się lepiej niż taka polityka.

**Patrz: lud, równość.**

**ETYKA.** Zespół zasad postępowania ludzkiego (zwany czasem, choć mniej poprawnie, „moralnością”). *Etyki* dotyczy kilka zabobonów.

1. Jeden z nich polega na mniemaniu, że istnieje jakaś „*etyka naukowa*”, to jest, że z nauki można się dowiedzieć, jak powinniśmy postępować w życiu. Jest to zabobon, jako że nauka zajmuje się tylko faktami, tym co jest — a z tego, że coś *jest*, a więc z wiedzy o faktach, nie wynika nigdy co *ma być*, a więc żadna dyrektywa, norma czy zasada postępowania. Co prawda, aby móc powziąć poprawną decyzję, człowiek musi także znać pewne fakty — ale ta wiedza sama jeszcze nie wystarcza — potrzeba ponadto przyjęcia zasady *etycznej*. Na przykład Anna dowiaduje się, że jej koleżanka Basia jest chora i odosobniona. To jest fakt. Ale z tego, że Anna go zna, że wie, iż Basia jest chora, nie wynika jeszcze, że powinna ją odwiedzić. Aby móc wyciągnąć ten wniosek, Anna musi jeszcze wyznawać zasadę moralną: „chorą i odosobnioną koleżankę należy odwiedzić”. Bez tej etycznej przesłanki żadna decyzja nie jest możliwa. A tej przesłanki nie da się uzyskać z żadnej wiedzy o faktach, naukowej czy nie naukowej. Wierzenie w *naukową etykę* jest więc zabobonem.

Podgatunkiem tego zabobonu jest wiara w istnienie jakiejś

*etyki filozoficznej*. Zadaniem filozofii naukowej jest nie moralizowanie, ale analizowanie. Niemniej filozof może wykonać odnośnię do przykazań moralnych trzy zadania. Może, po pierwsze, zanalizować je, starać się zrozumieć, o co właściwie chodzi (co często nie jest bynajmniej oczywiste). Może po drugie badać, czy nie ma w owym przykazaniu sprzeczności wewnętrznej. Wreszcie może zadać sobie pytanie, jaki jest jego stosunek do *etyki* uznawanej w danym kręgu kulturowym, a zwłaszcza przez ludzi głoszących owo przykazanie. Ale filozof jako taki nie może przepisywać ludziom, jak mają się zachowywać, to jest moralizować.

2. Inny zabobon, szerzący się ostatnio głównie wśród teologów, to tzw. *etyka sytuacyjna*: to co mam czynić, powiada ten zabobon, zależy tylko i wyłącznie od sytuacji, od położenia, w którym się znajduję. Prawdy jest w tym tyle, że sytuacja, to zespół faktów, które powinny być wzięte pod uwagę w decyzji — ale sama znajomość faktów nie wystarcza: z żadnej sytuacji nie można wywieść obowiązku, o ile się nie przyjmie zarazem jakiejś dyrektywy, zasady etycznej. Ten zabobon jest więc w zasadzie tylko postacią poprzednio wymienionego — ale różni się od niego naciskiem, jaki kładzie na względność zasad postępowania — jest więc równocześnie jedną z postaci relatywizmu\* etycznego.

3. Równie zabobonne jest częste sprowadzanie *etyki* do techniki. Różnica między tymi dwiema dziedzinami polega mianowicie na tym, że nakazy, dyrektywy techniczne są zawsze uwarunkowane przez cel działania, podczas gdy *normy etyczne* są bezwzględne, od żadnego celu nie zależą. Oto przykład. Technika prowadzenia samochodu uczy, że kto chce dobrze i pewnie wziąć ostry zakręt, powinien przed zakrętem zwolnić i założyć niższy bieg. Jak wszystkie przepisy techniczne, ta dyrektywa jest zależna od celu: bo jeśli jakaś starsza pani nie pragnie wcale swojego wozu przeprowadzić szybko przez zakręt, ale jedzie stale w tempie 25 km na godzinę, nie potrzebuje wcale ani zwalniać, ani schodzić na niższy bieg. Ale nakaz moralny „nie będziesz twojej matce podrzynał gardła dla zdobycia dziesięciu dolarów na wódkę” nie zależy od żadnego celu. W szczególności nie zależy wcale od tego, czy syn podrzynający gardło swojej matce pójdzie za to czy nie pójdzie do piekła. Nawet gdyby żadnego piekła nie było, nawet gdyby miał pójść do piekła za niepodrzynanie gardła swojej matce, *zasada etyczna* „nie będziesz podrzynał gardła twojej matce dla zdobycia 10 dolarów na wódkę” pozostałaby bezwzględnie w mocy. Kto miesza technikę z *etyką* i uzależnia *nakazy etyczne* od celu, pada ofiarą zabobonu. Ten zabobon głosił m.in. Lenin, według którego „dobre i moralne jest to, co służy do zburzenia dawnego świata itd.” — że więc moralność czynu zależy od celu.

Skrajny wyraz temu zabobonowi daje znane powiedzenie „cel uświęca środki”. Otóż prawdą jest, że żaden cel, nawet najwznioślejszy, nie uświęca, nie usprawiedliwia i nie może usprawiedliwiać złych środków.

4. Wypada jeszcze wymienić zabobony dotyczące autorytetu w dziedzinie *etyki*. Stosunkowo wielu ludzi mniema, że kto posiada wielkie wykształcenie — na przykład profesor uniwersytetu — albo wielki talent — na przykład wybitny artysta malarz — jest tym samym autorytetem w sprawach moralnych. Jest to zabobon: dziedzina wartości moralnych różni się od dziedziny nauki i od dziedziny sztuki — specjaliści w tych dwóch ostatnich nie są autorytetami w *etyce*. Bywa nieraz, że człowiek nieuczony stoi moralnie znacznie wyżej od mędrca, a prostak pod względem sztuki wyżej od artysty. Autorytetem w sprawach moralnych jest wyłącznie człowiek wysoko stojący moralnie.

Patrz: artysta, relatywizm, wartości.

**FILOZOFIA CHRZEŚCIJAŃSKA.** Wyrażenie *filozofia chrześcijańska* może oznaczać bądź filozofię, która rozwinęła się w środowisku chrześcijańskim (filozofię historycznie chrześcijańską), bądź taką, która zakłada dogmaty chrześcijańskie. Że *filozofia chrześcijańska* w pierwszym znaczeniu istnieje, jest faktem i uznawanie jej za filozofię nie jest zabobonem. Jest nim natomiast uznawanie za filozofię *filozofii chrześcijańskiej* w drugim znaczeniu. Otóż okoliczność, że przedstawiciele *filozofii chrześcijańskiej* starają się udowodnić takie twierdzenia, jak że Bóg istnieje, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, że wola człowieka jest wolna itp., nasuwa podejrzenie, że chodzi najczęściej o *filozofię chrześcijańską* w tym drugim, zabobonnym znaczeniu. Że chodzi o zabobon, wynika z definicji filozofii, która jest nauką niezależną od jakiegokolwiek światopoglądu\*, więc nie może, m.in., zakładać dogmatów chrześcijańskich.

Ten zabobon jest tym dziwniejszy, że jego zwolennicy powołują się nieraz na św. Tomasza z Akwinu, któremu zawdzięczamy pierwsze jasne rozgraniczenie wiary od wiedzy, a więc i od filozofii.

Jedną z przyczyn powstania i rozpowszechnienia się tego zabobonu było istnienie innych, równie zabobonnych filozofii nowożytnych\*, najczęściej opartych na jakimś światopoglądzie — jak np. owych filozofii wywodzących się z Oświecenia\*. Pow-

stanie marksizmu\*, którego zwolennicy praktykują otwarcie podobny zabobon („filozofię marksistowską”) przyczyniło się znacznie do wzmocnienia tradycji *filozofii chrześcijańskiej*.

**Patrz:** *filozofia nowożytna*, marksizm, nauka, Oświecenie, światopogląd, wiara.

**FILOZOFIA NOWOŻYTNA.** Ciemny okres w dziejach myśli filozoficznej trwający od Odrodzenia\* (XVI wiek) do mniej więcej połowy XIX wieku. Aczkolwiek nie można powiedzieć, by wszyscy *filozofowie nowożytni* byli zabobonni, mniemanie że *filozofia nowożytna* jest świetnym, postępowym okresem w historii myśli europejskiej jest zabobonem. Dokładniej mówiąc należy przy ocenie tej filozofii odróżnić dwie rzeczy: analizę i syntezę. Jeśli chodzi o pierwszą, niektórzy *filozofowie nowożytni* — np. Hume i Leibniz — wnieśli wartościowe myśli i przyczynili się do lepszego zrozumienia zagadnień szczegółowych. Natomiast wielkie syntezy budowane przez większość tych filozofów posiadają w najlepszym razie pewną wartość literacką, ale z nauką, a więc i z filozofią naukową nie mają nic wspólnego. Wbrew rozpowszechnionym mniemaniom okres nowożytny jest, w przeciwieństwie do poprzedzającego go i do naszych czasów, okresem upadku filozofii.

Aby się o tym przekonać, wystarczy zadać sobie pytanie: na czym polega istota filozofii? Polega oczywiście na badaniu zagadnień logicznych, ontologicznych, dotyczących języka i tym podobnych. Otóż stwierdzamy najpierw, że w *filozofii nowożytnej* nie ma prawie żadnej poważnej logiki (genialne dzieło Leibniza jest wyjątkiem). Co więcej, dorobek logiczny poprzednich okresów został wówczas niemal całkowicie zapomniany; nawet najwybitniejsi filozofowie — np. Kant i Hegel — znali tylko jakieś mizerne i w dodatku źle zrozumiane resztki logiki antycznej i średniowiecznej. Położenie logiki było wówczas tak beznadziejne, że znakomita większość genialnych prac Leibniza mogła być ogłoszona dopiero w roku... 1903. *Filozofia nowożytna* nie zna ponadto wcale, albo prawie wcale ontologii, opisu najbardziej ogólnych cech przedmiotu w ogóle, a więc podstawowej dyscypliny filozoficznej. Nie ma też praktycznie żadnej filozofii języka. *Filozofowie nowożytni* mają dziwny zwyczaj rozprawiania o pojęciach, jak gdyby one bujały w powietrzu, a nie były po prostu znaczeniami słów. Każda poważna filozofia, zarówno europejska (starożytność, scholastyka, XX wiek), jak i indyjska (brahmanizm

i buddyzm) zawiera rozbudowaną filozofię języka — ale *filozofia nowożytna* nie ma o niej pojęcia. Aby przytoczyć jeszcze jeden szczegół, *filozofia nowożytna* nie zna żadnej godnej tej nazwy filozofii miłości. Taki np. pisarz jak Spinoza, uchodzący za wielkiego filozofa, definiuje miłość jako „przyjemność połączoną z ideą przyczyny zewnętrznej”. O czym Max Scheler, znakomity filozof miłości XX wieku, powiedział słusznie, że jeśli tak jest, muszę miłować kiełbasę, skoro zjadam ją z przyjemnością i z ideą, że jest ona w stosunku do mnie (przed zjedzeniem) czymś zewnętrznym. Są to wprost niepoważne pomysły, nie mogące w żaden sposób równać się ani z filozofiami miłości rozpracowanymi przez starożytnych Greków (Platon, Arystoteles, Plotyn) i scholastyków (św. Tomasz, Duns Szkot) — ani z analizami tego samego przedmiotu przez filozofów XX stulecia (Freud, Scheler, Jaspers, Sartre).

Za to znajdujemy w *filozofii nowożytnej* dwie inne rzeczy: wielkie systemy i teorię poznania. *Filozofowie nowożytni* fabrykują najpierw masowo wielkie systemy, syntezy, które mają albo podierać (u ludzi słabej wiary) religię — tak np. u Kanta — albo ją zastąpić, jak u Spinozy. Z drugiej strony oddają się rozważaniom o tym, czy świat istnieje, czy nie istnieje poza naszą głową i tym podobnym, to jest nad tak zwaną ogólną teorią poznania. Otóż ta teoria jest bardzo prawdopodobnie zbiorem pseudo-problemów, bo dotyczy wszystkich zdań, a o wszystkich zdaniach w ogóle niczego się powiedzieć nie da, jak uczy naukowa logika. W każdym razie w filozofii naukowej współczesnej takich rozważań nie znajdziesz.

Kto więc uważa *filozofię nowożytną* nie tylko za naukową, ale na dobitkę za jedynie prawdziwą i wartościową, ten padł ofiarą dziwnego zabobonu.

W związku z tym można sobie zadać dwa pytania: co spowodowało upadek filozofii w czasach nowożytnych i co jest powodem zabobonnego wierzenia, że *filozofia nowożytna* jest świetną, postępową, naukową filozofią. Jedną z przyczyn wspólną obu zjawiskom jest propaganda prowadzona przez pisarzy z okresu Odrodzenia\*. Ci pisarze kpili sobie tak świetnie ze Średniowiecza, z logiki i w wielu wypadkach po prostu z rozumu w filozofii, że przekonali ludzi o zupełnej nicości myśli średniowiecznej. Doszła do tego także okoliczność, że podczas gdy Średniowiecze było okresem katolickim, w ciągu wieków nowożytnych przeważała znacznie wroga katolicyzmowi myśl protestancka i racjonalistyczna. Jej przedstawicielom zależało oczywiście na potępieniu i zapomnieniu wszystkiego, co poprzedzało Lutera, w tym całej filozofii naukowej. Skądinąd obserwujemy w tym czasie — po-



cząwszy od Odrodzenia — ciekawe zjawisko, na które zwrócił uwagę Whitehead: „geniusz — powiada — wywędrował do fizyki”. W filozofii zostali (w przeciwieństwie do starożytności i Średniowiecza) tylko ludzie drugiej klasy. Stąd jej upadek.

Patrz: logika, metafizyka, Odrodzenie, scholastyka, teoria poznania.

**FILOZOFIA SYNTETYCZNA.** Zabobonny rodzaj filozofii uprawianej w celu stworzenia wszystko obejmującej syntezy. *Filozofia syntetyczna* buduje więc systemy, które tłumaczą całość ludzkiego doświadczenia — zarówno doświadczenia faktów, jak i przeżyć moralnych, estetycznych itp. Tego rodzaju wielka synteza jest, jak dziś wiemy, rzeczą światopoglądu a nie nauki, a więc także nie filozofii. Platon i Arystoteles nie znali jeszcze rozróżnienia między nauką a światopoglądem, nie można więc dziwić się, że starali się tworzyć *filozofię syntetyczną*. W czasach nowożytnych niemal każdy „wielki” filozof uprawiał *filozofię syntetyczną* i to mimo jasnego rozróżnienia wiary od wiedzy przez św. Tomasza z Akwinu. Ale jedną z podstawowych cech współczesnej filozofii naukowej jest odrzucenie możliwości tego rodzaju wielkich syntez: naukowa filozofia współczesna jest w swojej istocie filozofią analityczną. Istnieje po temu kilka powodów.

1. Przede wszystkim, nawet gdy chodzi o samą wiedzę dotyczącą faktów zachodzących w świecie, jej synteza nie jest obecnie możliwa, po prostu dlatego, że wiedzy jest dzisiaj tak wiele. Istnieje na przykład podobno nie mniej niż sto tysięcy czasopism i biuletynów naukowych poświęconych poszczególnym dziedzinom nauki. Autor tego słownika spotkał ongiś parę małżeńską, gdzie i mąż i żona byli uczonymi biologami. Zapytani, czy w domu często mówią o biologii, odpowiedzieli, że nigdy, bo jedno drugiego nie rozumie. A pracowali przecież w tej samej nauce, tylko w dwóch jej różnych odcinkach. Myśl o syntezie całości współczesnej nauki jest więc mrzonką. Czas średniowiecznych „sum” minął bezpowrotnie — żyjemy w epoce encyklopedii. *Filozofia syntetyczna* nie jest możliwa nawet jako synteza wyników nauk.

2. Następnie *filozofia syntetyczna* obejmuje także etykę i odpowiedź na zagadnienia egzystencjalne, a więc rozprawia o sprawach, które nie dadzą się rozstrzygnąć naukowo, nie należą więc do dziedziny filozofii. *Filozofia syntetyczna* jest więc zabobonem także dlatego, że wkracza w te dziedziny. Nie jest np. rzeczą filozofa uczyć ludzi, co powinni czynić a czego unikać. To jest

zadanie kaznodziei, moralistów, ideologów itp., a nie naukowców. Skądinąd na tzw. pytania egzystencjalne nie ma odpowiedzi naukowej. Jaki jest sens życia, cierpienia, śmierci\* itp., tego naukowiec, a więc i filozof, nie wie i wiedzieć nie może.

3. Wreszcie *filozofia syntetyczna* zawiera także zwykle metafizykę\*. Otóż metafizyka naukowa jest zapewne możliwa, a przynajmniej, jak dotąd, nikt nie udowodnił przekonywująco, że nią nie jest; niemniej wiemy dzisiaj, że jest bardzo trudną dyscypliną, w której niezmiernie łatwo o błędy. Stąd nieufność do niej, a tym samym do *filozofii syntetycznej*.

Dochodzi do tego jeszcze okoliczność, że w dziejach zbudowano wiele *filozofii syntetycznych*, które kolejno okazały się wszystkie nie do przyjęcia. Do dziś dnia nie ma zgody między filozofami syntetycznymi. Kant wyciągnął z tego wniosek, że *filozofia syntetyczna* (dokładniej: metafizyka) „przekracza granice doświadczenia” i dlatego zawodzi. Nie potrzeba iść tak daleko jak on, wystarczy stwierdzić, że zawierając etykę, odpowiedź na pytania egzystencjalne a także pośpiesznie zbudowaną metafizykę, *filozofia syntetyczna* była z góry skazana na niepowodzenie.

Toteż samo mniemanie, że *filozofia syntetyczna* jest filozofią, to jest rodzajem nauki, jest zabobonem, niestety do dziś bardzo popularnym wśród nefachowców.

Patrz: egzystencjalne zagadnienia, etyka, metafizyka, nauka.

**GURU.** Indyjskie wyrażenie, odpowiadające mniej więcej polskiemu „mistrz”. Są dwa rodzaje *gurów* i dwa związane z tym zabobony. Jeden, to *guru* w ścisłym słowa znaczeniu, czyli czarodziej kierujący sektą; drugi to filozof przeszłości, którego późniejsi filozofowie, należący do jego „szkoły”, uważają za bezwzględny autorytet\*. Różnica między tymi dwoma zabobonami polega na tym, że pierwszy *guru*, sekciarski, jest dla jego wyznawców nieprawym połączeniem autorytetu epistemicznego i deontycznego, a nawet autorytetem powszechnym (p. autorytet\*). Natomiast *guru* filozoficzny jest tylko autorytetem epistemicznym (tamże). O pierwszym rodzaju zabobonu mowa pod hasłem sekty\*. Tu pokrótce o drugim.

Wyznawcy tego zabobonu obierają sobie za mistrza i przewodnika jakiegoś filozofa przeszłości, np. św. Tomasza, Kanta, Marksa, czy jeszcze innego. Ich stosunek do niego polega na tym, że: 1. wszystko co *guru* powiedział, albo niemal wszystko, uwa-

żają z góry za prawdziwe; 2. przy każdej sposobności powołują się na niego; tak np. jeden z moich znajomych filozofów mówił „to samo nie może równocześnie być i nie być, jak wiemy od Spinozy” — jak gdyby zdrowy ludzki rozsądek na to nie wystarczył; 3. ich praca filozoficzna polega w gruncie rzeczy na komentowaniu owego *guru*. Zwykli także z dumą podkreślać, że są X-istami (tomistami, szkotystami, kantystami, heglistami, marksistami itp.).

Postawa takiego X-isty jest w tym sensie zabobonna, że jest oczywiście niegodna filozofa, a przecież zajmowana przez ludzi, którzy nazywają się „filozofami”. Prawdziwy filozof nie jest i nie może być żadnym X-istą, nie może znać żadnego *guru*. Wolno mu co prawda stwierdzać, że jego postawa zgadza się, jeśli chodzi o rzeczy zasadnicze, z postawą takiego czy innego myśliciela przeszłości — ale nie wolno mu uznawać za prawdę wszystkich powiedzeń *guru*, powoływać się bezustannie na niego jednego, ograniczać się do komentowania *guru*. Jest też nieładnie, żeby nie powiedzieć szpetnie, kiedy on się X-tą nazywa.

Patrz: autorytet, filozofia chrześcijańska, marksizm, sekty.

**HAWELIZM.** Neologizm utworzony z hebrajskiego rzeczownika *hawel*, tłumaczonego tradycyjnie przez „marność”. *Hawelizm* oznacza pogląd przypisywany autorowi biblijnego Eklezjastesa, że „marność nad marnościami — wszystko jest marnością”. Nie ma, innymi słowami, w świecie niczego, o co warto by zachodzić, walczyć, do czego należałoby dążyć — co by w ogóle miało jakikolwiek sens. *Hawelizm* jest zabobonem szeroko rozpowszechnionym w różnych kręgach kulturowych. W skrajnej postaci wyznaje go buddyzm, albo przynajmniej jego postać uchodzącą za pierwotną (Mały Wóz). Ale i wśród chrześcijan wielu przyznawało się i nadal przyznaje się do tego zabobonu.

Że to jest zabobon, łatwo wykazać przez prostą analizę pojęcia owej marności. Taka analiza pokazuje mianowicie, że w *hawelizmie* chodzi o bezwzględne, a przy tym wiecznie trwające szczęście — i że wszystko, co tego absolutnego i wiecznego szczęścia nie daje, nie zasługuje jego zdaniem na uwagę, jest „marnością”. A to jest przecież oczywisty fałsz. Weźmy na przykład przypadek człowieka, który cierpi na silny ból zębów. Wydaje się jasnym, że usunięcie tego bólu jest dla niego czymś bardzo ważnym, bardzo godnym zachodu, starań i wysiłków — i to mimo, że ono nie da mu stuprocentowego i wiecznie trwającego szczęścia. Po-

dobnie jest w zawodach sportowych. Zawodnik uważa zwycięstwo w turnieju za coś nader ważnego dla siebie, dąży do niego całą siłą woli — aczkolwiek i on wie, że zwycięstwo nie da mu owego bezwzględnego i wiecznego szczęścia, o którym marzą *haweliści*.

Tak więc *hawelizm* jest ideałem, którego nie można urzeczywistnić. Nawet samo dążenie do takiego ideału pociąga za sobą złowrogie skutki, bo pozbawia człowieka owych częściowych i przemijających zadowoleń, na których zdaje się polegać jedyne szczęście dla nas w tym świecie.

Patrz: *etyka*.

*HERMENEUTYKA*. Uczni historycy i filozofowie używali od dawna racjonalnej metody zwanej *hermeneutyką*; polegała ona na rozpatrywaniu i tłumaczeniu tekstów w ramach współczesnej im literatury i wypadków. Ale od czasów niemieckiego filozofa Diltheya nazwano *hermeneutyką* coś całkiem innego, a mianowicie nie racjonalną, ale irracjonalną metodę mającą służyć tzw. *Verstehen*, tj. wczuwaniu się historyka. Dilthey twierdził nawet, że jego praca badawcza polega na „ruchu życia do życia” — i temu „ruchowi” ma nowoczesna *hermeneutyka* służyć.

W tym znaczeniu *hermeneutyka* jest zabobonem, na równi z owym diltheyowskim *Verstehen*. Bo, po pierwsze, twierdzenie, że historycy i filozofowie posługują się jakimś „wczuwaniem się” jest najzupełniej gołostowne: ktokolwiek zada sobie trud zbadania, jak ci uczeni rozumują, przekona się łatwo, że chodzi praktycznie zawsze o postępowanie racjonalne. Zbiera się dokumenty, poddaje teksty krytyce tekstualnej, tłumaczy na język współczesny, określa czas, w którym zostały zredagowane i autora, bada się jego wiedzę i prawdomówność, i dopiero w wyniku tych żmudnych, drobiazgowych, a zawsze czysto racjonalnych zabiegów, dochodzi się do poprawnego zrozumienia dokumentu. Następnie sama myśl o ruchu życia historyka ku życiu człowieka, o którym on pisze, jest zabobonem, bo np. Aleksander Wielki umarł i go nie ma, więc i nie może być żadnego „ruchu” ku jego życiu. Historyk spotyka tylko dokumenty, napisy — a postacie historyczne muszą być na ich podstawie rekonstruowane. Gdy ta praca jest zakończona można się oddawać wczuwaniu — ale to wczuwanie się nie jest metodą badania.

Patrz: *intuicja, nauka, rozum*.

**HISTORIOZOFIA.** Rzekoma filozofia historii, która umie przewidzieć dokąd historia zdąży. *Historiozofia* jest zabobonem, jako że nie mamy żadnej podstawy do stawiania prognozy długoterminowej: po prostu nie wiemy, jak potoczą się wypadki. Rzecz mianowicie w tym, że każda prognoza jest rozumowaniem, mającym postać następującą: „jeśli okoliczności się nie zmienią, nastąpi to a to; otóż okoliczności się nie zmienią; a więc to a to nastąpi”. W tym rozumowaniu pierwsza przesłanka jest najzupełniej gołosłowna — znamy bardzo niewiele praw dotyczących mechaniki rozwoju społecznego, a te które znamy, należą przeważnie do dziedziny demografii, nie do innych, jedynie w tej sprawie ważnych. Natomiast druga przesłanka, że okoliczności się nie zmieniają, jest prawdopodobnie fałszywa — z wszystkiego co wiemy, zdaje się mianowicie wynikać, że okoliczności się zmieniają, przynajmniej na długą metę, że nie pozostaną takie same jak dzisiaj.

Tak więc długoterminowa prognoza jest niemożliwa w dziejach — a takie właśnie prognozy formułuje *historiozofia*. Trzeba więc powiedzieć, że *historiozofia* jest nie nauką, ale zabobonem.

**HUMANIZM.** Prawdopodobnie najbardziej rozpowszechniony współcześnie zabobon. Żgodnie z panującymi poglądami wolno być czymkolwiek kto chce, tylko nie wolno nie być humanistą. *Humanizm* jest wspólnym wierzeniem ogromnej większości kandydatów, polityków, filozofów, dziennikarzy i tym podobnych. Kto się do niego nie przyznaje, uchodzi za podłego barbarzyńcę. A jednak *humanizm* jest kompromitującym zabobonem.

Samo słowo „*humanizm*” ma kilka znaczeń. To, o które tu chodzi, można określić następująco: każdy człowiek bez wyjątku jest czymś istotnie, zasadniczo różnym od innych stworzeń, w szczególności od zwierząt. Człowiek żyje wprawdzie w przyrodzie, ale do przyrody nie należy. Jest czymś wyniesionym ponad wszystko inne, w wielu wypadkach po prostu czymś świętym. Człowiek to „wielka rzecz” mówi się, przy czym często chodzi o rodzaj bałwochwalstwa\*.

Istnieją co prawda odmiany tak rozumianego *humanizmu*, które nie są zabobonami. Takim jest, przede wszystkim, *humanizm intuicyjny*, a więc wierzenie, że człowiek jest czymś znakomitym itd., oparte na jakimś bezpośrednim wglądzie we własną istotę. Kto taki przyjemny wgląd w samego siebie ma i rzeczywiście widzi, że jest czymś wyniesionym ponad całą przyrodę,

ten ma, oczywiście, prawo być *humanistą*. Co prawda taki *humanizm* wydaje się już dlatego podejrzany, że zbyt schlebia podmiotowi. Gdyby krokodyle mogły filozofować, utworzyłyby zapewne krokodylizm, bo to przecież tak przyjemnie uważać się za coś bardzo wzniosłego. Drugi rodzaj dopuszczalnego *humanizmu*, to *humanizm religijny*. Jeśli ktoś wierzy, że Bóg w Swojej niepojętej dla nas mądrości wybrał to szczególnie okrutne zwierzę, jakim jest człowiek, i uczynił go Swoim przyjacielem, ten ma oczywiście prawo przyznawać się do *humanizmu*.

Ale nikt nie ma prawa powoływać się przy tym na rozum, doświadczenie czy naukę. Bo one wszystkie jednym głosem twierdzą, że człowiek nie jest czymś szczególnym w świecie, ale po prostu częścią przyrody.

Najpierw, żaden z argumentów wysuwanych przez *humanistów* na rzecz rzekomej zasadniczej wyższości człowieka, nie jest przekonujący w świetle tego, co wiemy. Człowiek jest wprawdzie istotą stosunkowo znacznie bardziej złożoną, a zatem stosunkowo znacznie „wyższą” niż np. pies albo małpa, ale twierdzenie, że on sam posiada pewne cechy obce wszystkim innym istotom, jest gołosłowne. Jako takie wymienia się m.in. mowę, rozum, technikę, kulturę, tzw. ideację (zdolność tworzenia pojęć oderwanych), wreszcie ostatnio trwogę. Mówi się więc, że człowiek i tylko człowiek posiada te cechy, albo niektóre spośród nich. Otóż wiadomo dziś, że to nieprawda i że wiele wyższych zwierząt posiada je także, choć zwykle w niższym stopniu niż my.

Aby zacząć od mowy, nieprawdą jest, by zwierzęta były nieme. Mają swoją własną mowę, której część jest nawet nabyta przez wychowanie, np. pewne ptaki uczą się od rodziców pewnego rodzaju śpiewów, za pomocą których porozumiewają się ze sobą. Naukowcy potrafili już zredagować prawdziwe słowniki mowy niektórych zwierząt, obejmujące czasem do paruset znaków. Prawda, że są to mowy biedniejsze od naszych, ale twierdzić, że wyższe zwierzęta nie mają w ogóle mowy może tylko ktoś, kto niczego nie wie o tej dziedzinie.

Podobnie jest z rozumem. Raz jeszcze, rozum psów czy słońi jest na pewno niższy od ludzkiego, ale jakiś rozum te bydłeta przecież mają, potrafią rozumować w pewien sposób, przystosowywać środki do celów itd. Wyniki przeprowadzonych ostatnio w tej dziedzinie badań są najzupełniej jasne: przynajmniej wyższe zwierzęta nie są wcale pozbawione rozumu.

Co za tym idzie, nie są także pozbawione techniki. Małpa używa kija, aby strącić banany, a niektóre ptaki łamią skorupę jaj za pomocą kamienia przyniesionego w dziobie. Bobry budują

dość skomplikowane sztuczne tamy. Jakaś prosta, prymitywną technikę, ale przecież technikę spotykamy więc także u zwierząt. Nie jest ona zatem wyłączną właściwością człowieka.

To samo wypada powiedzieć o kulturze. Nie tylko ludzie ale i ptaki umieją śpiewać, wiele zwierząt tańczy w sposób złożony. Niektórzy uczeni twierdzą nawet, że u pewnych termitów spotkali coś, co bardzo wygląda na obrzędy religijne. Innymi słowami spotykamy jakieś zaczątki kultury także u zwierząt. A jeśli chodzi o moralność, to ludzie mogliby się jej często od zwierząt uczyć. Kiedy filozof angielski Hobbes powiedział, że człowiek jest człowiekowi wilkiem, zauważono słusznie, że jest to obelga dla wilków — jako że żaden wilk nie jest nigdy wobec innego wilka tak okrutny, jak ludzie są często źli wobec innych ludzi.

To samo wreszcie da się powiedzieć i o ideacji i o trwodze. Po prostu nie ma najmniejszego dowodu na to, że zwierzęta ich nie znają.

Tak więc wszystkie argumenty wysuwane na rzecz rzekomo zasadniczej różnicy między człowiekiem a zwierzętami są niesprawne i nieprzekonywujące.

Zarazem istnieje szereg racji, które każą myśleć, że nie ma żadnej zasadniczej różnicy między ludźmi a wyższymi zwierzętami. Stwierdzamy więc najpierw, że człowiek i pod względem budowy, i jeśli chodzi o zachowanie należy do świata zwierzęcego. Posiada np. ręce i nogi, wątrobę, mózg itd. Posiada także instynkty stadne, samozachowawcze, pćiowe i tym podobne. Zachowanie człowieka jest wprawdzie nieraz znacznie bardziej złożone, bardziej wyrafinowane niż zachowanie zwierząt, ale w zasadzie chodzi o to samo. Wystarczy przypatrzeć się bliżej powiedzmy urzędnikowi bankowemu, który rano wstaje, przeciąga się, myje, je śniadanie i idzie do pracy (na polowanie) aby zrozumieć, że chodzi w zasadzie o coś bardzo podobnego do zachowania się, powiedzmy, dzikiego psa czy hieny.

To jedno. Po drugie dzisiejsza biologia uczy, że człowiek nie pochodzi wprawdzie od małpy, jak dawniej sądzono, ale przecież od jakiegoś zwierzęcia, że rozwinął się, osiągnął obecny poziom przez długą ewolucję. Teoria ewolucji jest dziś tak dobrze uzasadniona, że niepodobna rozumnie ją odrzucić.

Wreszcie, po trzecie, astronomia uczy nas, że świat jest nieprawdopodobnie wielki. W samej naszej mgławicy (drodze mlecznej) mają być miliardy gwiazd, a mgławic jest przecież wiele — być może miliardy. Otóż wśród owych miliardów słońc na pewno jest wiele takich, które posiadają planety, jak nasze słońce; wiemy to z obserwacji, jeśli chodzi o parę gwiazd

nam najbliższych. Wobec tego ogromu jest w najwyższym stopniu prawdopodobne, że życie, a z nim i coś w rodzaju człowieka, istnieje także, i to w wielu wypadkach, gdzie indziej we wszechświecie. Twierdzić wobec tego, że człowiek, mieszkaniec owego pyłku kosmicznego, jakim jest Ziemia, i on tylko jest czymś wyjątkowym, wydaje się niemal niedorzecznością.

Tak więc *humanizm „naukowy”* to tyle, co żelazne drewno albo kwadratowe koło. Cała nauka przemawia jednym głosem nie za, ale przeciw temu zabobonowi.

A kiedy pytamy, skąd pochodzi i dlaczego zyskał sobie dzisiaj tylu zwolenników, odpowiedź brzmi, że powodem jest szukanie przez ludzi czegoś, co mogliby uważać za święte i godne uwielbienia. Człowiek wygląda na zwierzę potrzebujące jakiejś religii. Skoro więc nie wierzy w Boga, zaczyna sobie tworzyć bożka w postaci Człowieka pisanego przez wielkie „C”, staje się *humanistą*. Ale to jest już całkiem oczywiste bałwochwalstwo\*.

**IDEALIZM.** Wyrażenie *idealizm* ma przynajmniej cztery różne znaczenia, w niektórych *idealizm* jest zabobonem. Odróżniamy mianowicie najpierw *idealizm* moralny: postawę człowieka, który wierzy w ideały moralne, albo nawet bierze ideał za rzeczywistość. W tym znaczeniu *idealizm* niekoniecznie jest zabobonem — może być nawet postawą rozsądną. W drugim znaczeniu chodzi o *idealizm* ontologiczny, którego pierwszym wybitnym przedstawicielem był filozof grecki Platon; stąd zwolennicy *idealizmu* w tym słowa znaczeniu zwani są czasem „platończykami”. Sądzą oni, że obok przedmiotów realnych (takich jak krowy i krzesła) są jeszcze byty idealne (w rodzaju praw matematycznych i wartości). Owe byty idealne istnieją w poznaniu ludzkim, ale są czymś przedmiotowym. W trzecim słowa znaczeniu chodzi o *idealizm teoriopoznawczy podmiotowy* (subiektywny). Ten *idealizm* polega na wierzeniu, że niczego nie ma poza myślami w naszej psychice (czy głowie) — człowiek może poznać tylko własne myśli, „idee”. Wreszcie istnieje czwarty, subtelniejszy rodzaj *idealizmu*, *idealizm transcendentálny*, według którego przedmioty poznania nie istnieją tylko w świadomości ludzkiej, ale przecież nie poza nią; są — jak mówią zwolennicy tego poglądu — uzależnione *a priori* od tzw. transcendentálnych form poznania.

Te dwie ostatnie postacie *idealizmu* są zabobonami. *Idealizm* subiektywny mniema np., że chirurg, który operuje na mózgu pa-



cjenta, nie widzi wcale mózgu tego pacjenta (bo według *idealizmu* podmiotowego nie możemy znać niczego, co by było poza nami), ale raczej kawałek swojego własnego mózgu (Russell). Jest to pogląd jaskrawo przeciwny zdrowemu rozsądkowi i, jak się zdaje, obciążony wieloma wewnętrznymi sprzecznościami. W XX wieku tylko bardzo nieliczni filozofowie wyznają ten zabobon — natomiast w XVIII i XIX wieku była to filozofia modna (p. *filozofia nowożytna\**). *Idealizm transcendentalny* jest mniej bezpośrednio zabobonny, ale w ostatecznym rozrachunku okazuje się, że operuje słowami, których znaczenie nie da się po ludzku wytłumaczyć, czyli uprawia bełkot\*. Obie postacie *idealizmu teorio-poznawczego* są więc zabobonami.

**IDEOLOGIA.** Należy odróżnić potoczne i marksowskie znaczenie nazwy *ideologia*. W potocznym znaczeniu używamy tego słowa, gdy mówimy np. o *ideologii* Oświecenia, hitlerowskiej albo komunistycznej. W tym znaczeniu *ideologia* jest szczególnym rodzajem światopoglądu\*, zawierającym, obok odpowiedzi na pytania metafizyczne, egzystencjalne i moralne, także dwa inne składniki, które znajdujemy tylko w *ideologiach*.

Tymi składnikami są, po pierwsze, pewna teoria historiozoficzna\*, tłumacząca rolę danej grupy ludzkiej (narodu\*, klasy\* itd.) w dziejach ludzkości\*, a po drugie, recepta na zbawienie ludzkości. Rozpowszechnione są dwa zabobony związane z *ideologią* w tym potocznym słowa znaczeniu.

Jeden z nich wynika z pomieszania pojęć i polega na zaliczaniu każdego światopoglądu do *ideologii*. W tym wypadku np. religia\* byłaby *ideologią*. Jest to zabobon, bo autentyczna religia nie zawiera żadnej recepty na poprawienie losu ludzkości, ale zwykle tylko przykazania, których zachowanie ma prowadzić do zbawienia osobistego wierzących. Robienie z religii *ideologii* jest zabobonem także z tego względu, że religia obejmuje składniki obce *ideologii* jako takiej (w szczególności postawę wobec menu).

Inny zabobon idzie jeszcze dalej i nazywa każdy pogląd, nawet najlepiej naukowo uzasadniony, *ideologią*. Niektórzy filozofowie idą pod tym względem tak daleko, że nawet logikę\* i matematykę uważają za *ideologię*. Ten zabobon oparty jest na sceptycyzmie\*. Że to jest zabobon widać jasno, gdy się zważy na sposób, w jaki jego zwolennicy starają się uzasadnić to mniemanie. Wychodzą mianowicie ze stwierdzenia czegoś, co jest faktem, to znaczy, że człowiek bardzo często jest powodowany w swoich sądach

*ideologią*, zwłaszcza gdy chodzi o poglądy polityczne itp. ale następnie uogólniają ten fakt, przenosząc *ideologiczny* charakter nawet na nauki ścisłe. Otóż wiadomo, że wszyscy ludzie przytomni i dostatecznie znający sprawę zawsze uznawali np. te same prawa matematyki elementarnej, niezależnie od najróżnorodniejszych światopoglądów, do których się przyznawali.

2. *Ideologia* w marksowskim słowa znaczeniu to tyle, co cała treść duchowego życia grupy ludzkiej, a więc jej religia, sztuka, poglądy polityczne, nauki humanistyczne i filozofia. *Ideologia* ma być tak zwaną nadbudową określonych stosunków produkcji, tj. ich duchowym obrazem, a równocześnie bronią w walce. A ponieważ każdy typ stosunków produkcji jest według Marksa podporządkowany do pewnej klasy, *ideologia* jest zawsze wyrazem myśli i bronią tej klasy. Stąd *ideologia* głosi zawsze jako prawdę wszystko, co jest pozytywne dla danej klasy, a odrzuca jako fałsz wszystko, co mogłoby jej szkodzić. Tak na przykład *ideologia* komunistyczna, która jest *ideologią* klasy proletariackiej, głosi jako prawdę, że robotnicy w Szwajcarii przymierają głodem, bo to jest pozytywne w walce tzw. proletariatu, tj. partii komunistycznej. Odrzuca natomiast twierdzenie, że płace robotników szwajcarskich należą do najwyższych na świecie, że praktycznie każda rodzina robotnicza w tym kraju posiada samochód itd., bo to jest dla tejże partii szkodliwe. Te twierdzenia zawierają co najmniej dwa zabobony. Z jednej strony sprowadzają wszystko w tej dziedzinie do interesów klasy, co jest oczywistą nieprawdą, jako że poglądy ludzkie ulegają bardzo silnym wpływom także innych czynników, zwłaszcza narodowych, religijnych itp. Z drugiej strony teoria Marksa jest typowym relatywizmem\*, tj. odmianą sceptycyzmu. Jest też, jak wszystkie sceptycyzmy, obciążona trudnościami wewnętrznymi: podaje się sama np. za *ideologię*, a równocześnie twierdzi, że jest bezwzględnie prawdziwa.

Patrz: relatywizm, religia, sceptycyzm, światopogląd.

**INTELEKTUALISTA.** Człowiek, który: 1. posiada pewne wykształcenie akademickie, albo podobne do akademickiego; 2. nie ma nic wspólnego z życiem gospodarczym, w szczególności nie jest robotnikiem; 3. zabiera publicznie głos i chce uchodzić za autorytet\* w sprawach moralności, polityki, filozofii i światopoglądu\*. Robotnik nie jest więc *intelektualistą*, nawet jeśli jest geniuszem, podobnie kupiec albo profesor uniwersytetu, jak dłu-

go trzyma się swojej specjalności. Każdy z nich może jednak być niejako dokooptowany do grona *intelektualistów*, skoro zacznie wypowiadać się w powyżej wymienionych sprawach. *Intelektualistami* są najczęściej dziennikarze\*, literaci\*, artyści\*, ale znajdujemy wśród nich nieraz także profesorów uniwersyteckich, tych mianowicie, którzy podpisują zbiorowo manifesty społeczno-polityczne i moralne.

Zabobon dotyczący *intelektualisty* — a chodzi o bardzo grubego zabobon — polega na mniemaniu, że *intelektualiście* przysługują jako takiemu autorytet w dziedzinie etyki, polityki i poglądu na świat. Wskutek rozpowszechnienia tego zabobonu *intelektualiści* odegrali i nadal odgrywają nieraz rozstrzygającą rolę w życiu społeczeństw. To oni m.in. kierowali wieloma rewolucjami, które — wbrew panującym przesądom — były niemal zawsze dziełem nie mas ludowych, ale *intelektualistów*.

Że to jest zabobon, nie potrzeba dowodzić, bo wierzenie w autorytet *intelektualisty* jest dosłownie na niczym nieoparte. Tak np. profesor wykładający historię nowożytną jest zapewne autorytetem (epistemicznym) gdy chodzi o rewolucję francuską, ale nie w dziedzinie użytkowania energii atomowej. Skoro więc taki profesor podpisuje razem z kolegami wyspecjalizowanymi w ceramice chińskiej, zoologii, względnie w rachunku prawdopodobieństwa deklaracje dotyczące tej energii, popełnia jaskrawe nadużycie autorytetu, tym gorsze, że wywołuje wrażenie, iż to sama „nauka” się wypowiada.

Jedną z przyczyn powstania tego zabobonu jest brak zaufania we własny zdrowy rozsądek ze strony zwykłych pracowników, a także mir, jakim są otaczane nauka, sztuka itd. — mir, który się niesłusznie przenosi na *intelektualistów*.

Patrz: artysta, autorytet, dziennikarz, literat.

**INTUICJA.** Tyle co poznanie bezpośrednie, „wgląd” w przedmiot dany, obecny przed oczami względnie przed umysłem. Istnieją dwa rodzaje *intuicji*. Jedna poprzedza rozumowanie, druga jest rodzajem wizji całości systemu, już zbudowanego przez rozumowanie. Z *intuicją* związane są dwa zabobony. Jeden z nich chciałby się bez niej obejść — albo przynajmniej bez *intuicji umysłowej* (ogranicza więc *intuicję* do zmysłów). Według tego zabobonu człowiek nie poznaje nigdy niczego bezpośrednio, może tylko rozumować, wnioskować. Ze jest to zabobon, wynika nie

tylko z oczywistych faktów (jest rzeczą pewną, że poznajemy wiele prawd bezpośrednio), ale także z tego, że jeśli nie ma *intuicji*, rozumowanie nie ma podstaw i popadamy w sceptycyzm\*.

Innym zabobonem jest wierzenie, że *intuicja* może zastąpić rozumowanie, to jest poznać przedmioty, które nie są dane podmiotowi. Otóż jest wprawdzie rzeczą jasną, że np. dwoje kochających się ludzi ma pewną intuicję jedno drugiego, gdy patrzą sobie w oczy; ale takiej intuicji — powiedzmy — rozwoju życia, albo budowy materii nie ma i być nie może.

Niepodobna nawet za pomocą samej *intuicji* zorientować się w bardziej złożonych rozumowaniach, np. w dziedzinie matematyki. Stąd wierzenie, że *intuicja* może zastąpić rozum jest zabobonem.

Powodem sukcesów tego zabobonu jest z jednej strony przesadny nacisk położony na rozumowanie przez niektórych racjonalistów, z drugiej po prostu lenistwo. Chce się za pomocą *intuicji* uniknąć trudnej pracy wnioskowania, kontrolowania rozumowań, itd. Co nie przeszkadza, że chodzi o zabobon.

Wypada jednak wiedzieć, że nazwę „intuicjonizm” nosi także pewna tzw. „holenderska” filozofia matematyki i logiki, która z tym zabobonem nie ma nic wspólnego, prócz nazwy.

Patrz: logika, nauka, racjonalizm, rozum.

**IRRACJONALIZM.** Zabobon polegający na wierzeniu, że człowiek może lepiej poznać świat za pomocą uczuć, intuicji\* itp., niż za pomocą rozumu\*. Zabobonność tego poglądu jest oczywista, jako że wszystko, co wiemy o świecie zostało poznane za pomocą doświadczenia i wnioskowania, tj. za pomocą rozumu. Przeczenie temu jest czymś tak dziwnym, że pytanie, dlaczego tylu ludzi ulega irracjonalistycznemu zabobonowi, nasuwa się z wielką siłą. Odpowiedź polega bodaj na zwróceniu uwagi, że owe intuicje itp. odgrywają rzeczywiście znaczną rolę w stosunkach międzyludzkich, gdzie obdarzona intuicją kobieta wie często znacznie więcej o innym człowieku niż najbardziej uczony psycholog. *Irracjonalizm* jest przeniesieniem tej prawdy na płaszczyznę poznania świata, przedmiotów fizycznych, gdzie staje się oczywistym fałszem. Kto w to wątpi, niech spróbuje poznać w drodze intuicji np. dane zebrane przez astronomów o mgławicach, albo zbudować teorię Einsteina itp. Innym powodem popularności *irracjonalizmu* jest zapewne okoliczność,

że zwalnia swoich wyznawców od ciężkiej drobiazgowej pracy, wymaganej przez metodę racjonalną. Wreszcie odegrała swoją rolę także demagogia dziennikarzy\* i literatów\*.

Patrz: intuicja, logika, nauka, racjonalizm, rozum.

**KAPITALIZM.** Przez *kapitalizm* rozumie się w pierwszym rzędzie pewien ustrój (gospodarczy, u marksistów także polityczny), a wtórnie pogląd, zgodnie z którym ten ustrój jest dobry, pożądania godny. W tym drugim znaczeniu *kapitalizm* to tyle co liberalizm gospodarczy. Analizując dyskusję między zwolennikami tego liberalizmu a marksistami, znajdujemy nie mniej niż siedem zabobonów. Niektóre z nich są wspólne obu stronom, inne występują tylko po jednej albo po drugiej.

1. Wspólnym założeniem obustronnym jest najpierw ekonomizm\*, przekonanie, że zaspokojenie potrzeb materialnych pociąga za sobą automatycznie zaspokojenie wszystkich innych i szczęście ludzi. Ten ekonomizm jest oczywistym zabobonem.

2. Innym zabobonem głoszonym również przez obie strony w dyskusji jest utożsamianie właściciela kapitału z przedsiębiorcą. Swojego czasu, w połowie ub. wieku, przedsiębiorca był rzeczywiście najczęściej właścicielem kapitału — stąd doszło do utożsamienia obu funkcji. Ale chodzi o funkcje najzupełniej odmienne: *kapitalista* to ten, co daje środki produkcji, przedsiębiorca to człowiek, który scala najróżniejsze czynniki tworzące przedsiębiorstwo (kapitał, pracę, wynalazek, odbiorców, rejon, państwo itd.), tworzy przedsiębiorstwo i kieruje nim. Dzisiaj obie funkcje są zwykle wykonywane przez różne osoby, tak że utożsamianie ich jest fałszywe nie tylko w świetle analizy pojęciowej, ale także w świetle faktów. Mamy więc do czynienia z grubym zabobonem, wyznawanym niestety przez większość współczesnych, zarówno u liberałów, jak i u socjalistów. Ci ostatni starają się zniszczyć każdego przedsiębiorcę, utożsamiając go z *kapitalistą* i pozbawiając przez to przedsiębiorstwo głównego motoru rozwoju.

3. Wreszcie trzeci zabobon wyznawany przez obie dyskutujące strony polega na dziwnym mniemaniu, że możliwe są tylko dwa rodzaje przedsiębiorstw: *kapitalistyczne*, którymi zarządzają *kapitaliści* i tzw. socjalistyczne, w których zarząd wykonują rzekomo pracownicy, a w rzeczywistości biurokracja państwowa. Jest to zabobon, wynikający z powierzchownej analizy przedsiębiorstwa. W okresie rewolucji przemysłowej wspomniane dwa czynniki były rzeczywiście jedynie widoczne. Ale jakakolwiek poważna

analiza współczesnego przedsiębiorstwa wykazuje, że obok kapitału i pracy inne czynniki odgrywają ogromną rolę w przedsiębiorstwie. I tak, wynalazek techniczny ma często znaczenie rozstrzygające dla powodzenia przedsiębiorstwa. Nieodzowni są dla niego odbiorcy. Ważną rolę odgrywa okolica (rejon, miasto), w której przedsiębiorstwo działa. Wreszcie państwo jest zawsze dalszym czynnikiem, bez którego przedsiębiorstwo nie może istnieć i który jest w nim zainteresowany. Mamy więc do czynienia z co najmniej sześcioma czynnikami, do czego dochodzi jeszcze przedsiębiorca, który nie jest składnikiem przedsiębiorstwa, ale reprezentuje w nim syntezę, połączenie wszystkich składników dla celu całości. Toteż mamy najpierw co najmniej sześć możliwych ustrojów: przedsiębiorstwa zarządzane przez *kapitalistów*, przez pracowników, wynalazców, odbiorców, gminę albo przez państwo. Co więcej, możliwe są także przedsiębiorstwa, w których przedstawiciele dwóch albo więcej czynników rządzą razem. Ogółem, zakładając, że jest w przedsiębiorstwie tylko 6 czynników, otrzymujemy nie dwa, ale 64 możliwe ustroje. Wiele spośród nich zostało urzeczywistnionych: znane są np. przedsiębiorstwa zarządzane przez pracowników (kibuce), przez odbiorców (kooperatywy konsumentów), przez gminy i przez państwo. W zachodnioeuropejskim przemyśle węgla i stali obowiązuje ustawa, zgodnie z którą rady nadzorcze muszą się składać po połowie z przedstawicieli akcjonariuszy (*kapitalistów*) i pracowników (związków zawodowych).

W tej sytuacji upieranie się przy istnieniu dwóch i tylko dwóch możliwych ustrojów — jak to czynią do dziś dnia w większości, zarówno zwolennicy *kapitalizmu* jak i marksiści — jest zaiste kompromitującym zabobonem.

4. Zabobonem występującym tylko po stronie zwolenników *kapitalizmu* jest mniemanie, że *kapitaliści* (akcjonariusze itp.) mają wyłączne prawo do zarządzania przedsiębiorstwami. To mniemanie zdaje się zakładać dwa inne poglądy: że wszystko można kupić i że właściciel może dysponować swoją własnością bez żadnych ograniczeń. Ten pogląd i jego przesłanki należą do dziedziny etyki i jako takie nie podlegają osądowi naukowemu. Ale stają się zabobonem przez to, że ludzie przyznający się do nich uznają równocześnie normy moralne dotyczące godności osoby ludzkiej. Między tymi normami a *kapitalizmem* zachodzi bowiem sprzeczność i głoszenie go w tych warunkach jest zabobonem. *Kapitalizm* prowadzi logicznie do uznania osoby ludzkiej za rzecz, którą właściciel kapitału kupuje i którą może rozporządzać jak chce — wbrew przyjętym zasadom moralnym.

5. Po stronie marksistów natrafiamy na co najmniej trzy

zabobony. Pierwszy z nich polega na twierdzeniu, że kapitalista w niczym nie przyczynia się do produkcji, że zatem jego zysk (odsetki itp.) jest kradzieżą. Jest to zaiste dziwny zabobon, jako że produkcja nie jest możliwa bez narzędzi, maszyn, itd. i że kapitalista (np. akcjonariusz), dając przedsiębiorstwu kapitał, umożliwia ich nabycie. Wydaje się oczywiście, że za tę usługę należy mu się odszkodowanie — przy czym nie trzeba wpadać w zabobon przeciwny i wyobrażać sobie, że kapitaliście i tylko jemu przysługują wszystkie prawa w przedsiębiorstwie.

6. Innym marksistowskim zabobonem jest twierdzenie, że kapitaliści są wyłącznymi wyzyskiwaczami pracowników. Prawdą jest, że w pewnych okresach, np. w XIX wieku w Europie, robotnicy bywali nieraz wyzyskiwani przez przedsiębiorców, którymi byli zwykle kapitaliści. Ale to są raczej wyjątkowe okresy w dziejach ludzkości. Wiemy dzisiaj, że głównymi wyzyskiwaczami mas robotniczych byli w dziejach i do dziś dnia są nie właściciele kapitału, względnie środków produkcji, ale urzędnicy państwowi. Tak było w starożytnym Egipcie i Asyrii, tak jest jeszcze dzisiaj w Związku Sowieckim. Mniemanie, że tylko właściciel kapitału wyzyskuje robotników, jest więc zabobonem.

7. Zabobonem jest wreszcie marksistowskie twierdzenie, że wszędzie gdzie nie rządzi partia komunistyczna, władza jest w rękach właścicieli kapitału. Prawdą jest mianowicie, że państwa nowoczesne posiadają bardzo złożoną budowę — odgrywają w nich rolę np. związki zawodowe, partie polityczne, organizacje religijne, prasa itd., tak że sprowadzanie wszystkiego do wpływów *kapitalistów* jest bardzo dziwnym zabobonem. W związku z tym wypada jeszcze wspomnieć, że samo nazywanie krajów niekomunistycznych *kapitalistycznymi* jest zabobonem, bo sugeruje, że w nich rządzą sami właściciele kapitału.

Patrz: ekonomizm, klasa, marksizm.

KARA. Rozpowszechniony zabobon uważa *karę* za nieporozumienie. Przestępcy, powiada, nie należy karać, ale z jednej strony unieszkodliwić (podobnie jak unieszkodliwia się umyślowo chorego), a z drugiej strony reedukować, wychować. Ten zabobon prowadzi do uważania okrutnych morderców itp. za biednych, prześladowanych ludzi. Stąd starania, by więzienia urządzić jak najwygodniej, stąd zniesienie kary śmierci itd.

Są to wszystko zabobony, wynikające z zaprzeczenia wolności\* i godności ludzkiej, a z nią także istnieniu winy. Nie ma prze-

stępstw, są tylko skutki złego wychowania, wrodzonych złych skłonności itd. Ten rzekomo humanistyczny zabobon obdziera w rzeczywistości człowieka z tego, co w nim najbardziej ludzkie, a mianowicie z wolności. Kto nie popadł w ten zabobon, rozumie *karę* jako zadośćuczynienie za winę, dane społeczeństwu przez przestępcę. Karząc, uznaje się jego wolność.

Do czego prowadzi zabobon przeczący winie i odrzucający karę, niech świadczy następujące prawdziwe wydarzenie. W czasie buntu w jednym z więzień amerykańskich telewizja sfilmowała spotkanie więźnia Murzyna ze swoją matką. Zdjęcia z tego spotkania obieły całą prasę i wzbudziły wielką sympatię dla więźnia. Niestety redakcja głównego miejscowego dziennika otrzymała nazajutrz list od Murzynki, która informowała, że więzień ów zgwałcił i zamordował jej ośmioletnią córeczkę. „Nade mną i nad moim dzieckiem nikt się nie litował — litość macie tylko dla modercy” — napisała.

**KLASA.** Wielka grupa ludzi, określona przez ich udział w dochodzie społecznym i przez sposób, w jaki ten udział otrzymują (Lenin). Według marksizmu\* istnieją obecnie dwie główne *klasy*, proletariat i burżuazja. Tak rozumianej klasy dotyczą różne zabobony.

Pierwszym jest wierzenie, że owe wielkie grupy ludzi, rzekomo rozstrzygające w życiu społecznym, dadzą się określić w wyżej podany sposób. Wiadomo na przykład, że w krajach uprzemysłowionych, a zwłaszcza w krajach zwanych „socjalistycznymi”, ogromną rolę odgrywają urzędnicy\*, wielka grupa ludzi, ale ci urzędnicy otrzymują swój udział dokładnie w ten sam sposób, co robotnicy, a mianowicie w postaci płacy. Z czego wynikałoby, że oni i robotnicy stanowią tę samą *klasę*, co jest niedorzecznością. Skądinąd nowoczesne społeczeństwa są znacznie bardziej zróżnicowane, niż na to pozwala zabobon klasowy. Wielką rolę odgrywają np. dziedzina, w której dany człowiek jest zatrudniony i stanowisko, jakie zajmuje w zawodzie; jeżeli się komuś podoba, może nawet dyrektora wielkiego kombinatu nazywać robotnikiem, ale w rzeczywistości należy on do całkiem innej *klasy*.

Innym zabobonem jest wierzenie, że ludzie są w pierwszym rzędzie, jeśli nie wyłącznie, związani ze swoją *klasą*. W rzeczywistości każdy człowiek należy do kilku grup i nie widać, dlaczego by jego przynależność do jednej z nich, mianowicie do *klasy*, miała mieć pierwszeństwo przed innymi. Robotnik w fabryce cukru jest np. związany, i to dość ściśle, z rolnikami, którzy ho-



dują buraki cukrowe, z cukiernikami, którzy kupują wytwarzany w jego fabryce cukier itd.; jest też bardzo ściśle związany ze swoimi rodakami, należy do pewnej wspólnoty religijnej itd. W XX wieku związanie z narodem okazało się praktycznie wszędzie znacznie silniejsze niż więź łącząca robotnika z *klasą* — świadczy o tym postawa robotników w czasie wojen i takich wypadków, jak rewolucja węgierska albo powstanie polskiej „Solidarności”.

Upieranie się marksistów i niektórych innych przy tym zabobonie wymaga, rzecz jasna, wyjaśnienia. Znajdujemy je w typowym dla tych kół skrajnym konserwatyzmie. W rzeczy samej, w okresie rewolucji przemysłowej, a więc w czasie pobytu Marksa w Anglii, położenie robotników było tak rozpaczliwe, że można zrozumieć jego twierdzenie, że robotnicy nie mają ojczyzny, tj. więzi narodowej, że łączy ich jedynie solidarność klasowa. Ale te czasy dawno minęły.

Marginesowo wypada jeszcze wymienić pospolite u marksistów utożsamianie *klasy* i jej interesów z imperium sowieckim i jego interesami. Tak np. w czasie powstania na Węgrzech, niesionego w wielkiej mierze przez masy robotnicze, mówiono, że chodzi o ruch wrogi *klasie robotniczej* — tę miały reprezentować czółgi sowieckie. Podobnie w sporze między strajkującymi robotnikami Gdańska a biurokracją narzuconą Polakom przez Związek Sowiecki twierdzono, że ta ostatnia „broni klasy robotniczej” przeciw „agentom amerykańskiego imperializmu”, którymi mieli być robotnicy. Najciekawsze jest przy tym, że te dziwolągi są brane za prawdę nie tylko w Rosji, ale nieraz np. we Francji i w Anglii.

Patrz: marksizm, proletariat, urzędnik.

**KOBIETA.** Wokół *kobiety* powstały dwa zabobony. Jeden z nich polega na tym, że uważa się ją za człowieka niższego rodzaju, czasem nawet (tak podobno w Koranie) za istotę pozbawioną duszy\*. Drugi zabobon, przeciwny pierwszemu, uważa *kobietę* po prostu za męzczyznę i chciałby ją jak najbardziej do niego upodobnić. Pierwszy z tych zabobonów jest tak dalece sprzeczny z całym naszym doświadczeniem, że nie warto z nim nawet dyskutować. *Kobieta* jest całkiem oczywiście w pełni człowiekiem, obdarzonym w zasadzie tymi samymi władzami i możliwościami co męczyzna. Co więcej, wydaje się, że natura ludzka osiąga swój szczyt właśnie w *kobiecie*, a mianowicie w tzw. ma-

tronie, tj. w kobiecie po klimakterium. Wówczas dzieje się coś, co wygląda na chęć wynagrodzenia kobiety za wszystko, co uczyniła dla gatunku w młodości: matrona jest rodzajem nad-mężczyzny. Trzeba zupełnie nie znać historii i być ślepy na to, co się wokoło nas dzieje, aby móc temu zaprzeczyć. Jedynym problemem, jaki się tu nasuwa, jest, jak było możliwe, by ludzie rozsądni przeczyli w ciągu długich wieków tej oczywistości i odmawiali kobiecie pełni człowieczeństwa.

Drugi zabobon, to sprowadzanie *kobiety* do mężczyzny. *Kobieta* jest człowiekiem, ale nie jest mężczyzną — stanowi „drugą stronę” człowieczeństwa. Jej rola w życiu jest inna niż rola mężczyzny. Stąd domaganie się, by *kobieta* pełniła w społeczeństwie dokładnie te same funkcje co mężczyzna jest zabobonem. Wypada stwierdzić, że *kobieta* jest z natury (wystarczy zwrócić uwagę na budowę jej ciała) przyporządkowana do dzieci, które są jej pierwszym i podstawowym powołaniem. Mniemanie, że młoda *kobieta* powinna zajmować się sprawami, które z natury rzeczy leżą poza jej głównym zadaniem, jest więc zabobonem. Społeczeństwa, które zmuszają *kobiety* np. do stałej pracy zarobkowej poza domem są prawdopodobnie skazane na zagładę. Ale sytuacja matrony jest zupełnie odmienna.

Wydaje się, że jasne odróżnienie zadań młodej i starszej *kobiety* jest warunkiem przewyciężenia tych zabobonów.

**KOLEKTYWIZM.** Wyrażenie *kolektywizm* znaczy z jednej strony tyle, co „komunizm” w szerokim słowa znaczeniu. Z drugiej strony oznacza pogląd ogólniejszy, a mianowicie przyznawanie bezwzględного pierwszeństwa zbiorowości, społeczeństwu przed jednostką ludzką. Parafrazując znane powiedzenie Mussoliniego, można *kolektywizm* zdefiniować słowami: „Wszystko w społeczeństwie, wszystko przez społeczeństwo, wszystko dla społeczeństwa”. *Kolektywizm* podporządkowuje więc jednostkę całkowicie zbiorowości, jego pełnym wyrazem jest totalitaryzm\*. W rzeczy samej według konsekwentnie przemyślanego *kolektywizmu* jednostka nie ma żadnych praw.

Teoretyczną podbudową *kolektywizmu* jest wierzenie, że tylko zbiorowość istnieje w pełni, podczas gdy poszczególni ludzie, jednostki, są tylko jej „momentami”. Ale to wierzenie jest oczywistym zabobonem. Prawdą jest jego przeciwieństwo: jedyną pełną rzeczywistością w społeczeństwie są właśnie poszczególni ludzie, nie zbiorowość. Jeśli ona posiada także pewną rzeczywistość, to mniejszą od rzeczywistości jednostek ludzkich.

**KOMUNIZM.** Istnieją co najmniej dwa różne znaczenia nazwy *komunizm*. Ich pomieszanie jest rozpowszechnionym dziś zabobonem. W pierwszym, szerokim słowa znaczeniu, *komunizm* to ustrój, w którym środki produkcji, wszystkie dobra, a czasem nawet kobiety są wszystkim wspólne. Wtórnie każda ideologia, filozofia, partia itd., która taki ustrój uważa za cel do osiągnięcia, nazywa się też *komunizmem*. W drugim, węższym znaczeniu, *komunizm* to tyle co całość poglądów, organizacji i praktyki rosyjskiej partii komunistycznej i związanych z nią partii podobnego typu w innych krajach. W tym drugim znaczeniu *komunizm* jest pojęciem znacznie bogatszym niż *komunizm* w znaczeniu szerokim, obejmuje bowiem: 1. ideologię, tj. marksizm-leninizm; 2. organizację partii komunistycznej i jej praktykę. Otóż ani ta ideologia, ani owa organizacja nie wchodzi w skład *komunizmu* w szerokim słowa znaczeniu. Ludzie, którzy mówią: „Komunizm jest piękną rzeczą, ale jego urzeczywistnienie w Sowietach jest złe”, używają słowa *komunizm* w dwóch znaczeniach. *Komunizm* w szerokim tego słowa znaczeniu jest być może (choć wolno i w to wątpić) pięknym ideałem, natomiast to, co znajdujemy dziś w Związku Sowieckim i tzw. krajach socjalistycznych jest *komunizmem* w węższym znaczeniu, obejmuje więc takie składniki jak dyktaturę partii, dialektyczny materializm\* itp., nie mające nic wspólnego z komunistycznym ideałem (w szerokim znaczeniu). Do pomieszania pojęć przyczynia się tutaj okoliczność, że sami komuniści używają słowa *komunizm* w innym jeszcze znaczeniu, a mianowicie jako przeciwieństwo socjalizmu, przy czym *komunizm* ma być końcowym, a socjalizm pośrednim okresem rozwoju społeczeństwa w drodze do raju na ziemi. Główną przyczyną szerzenia się tego zabobonu jest celowa dezinformacja prowadzona przez komunistów.

Patrz: marksizm, socjalizm.

**KONWENCJONALIZM.** Zabobonne mniemanie, że wszystko opiera się na umowie (umowa nazywa się po francusku *convention*). Jeśli mnie na przykład boli ząb, to dlatego żeśmy się tak umówili. Od umowy zależy także wniosek, że skoro miałem sto dolarów i wydałem dwa razy po pięćdziesiąt, to nic mi już nie zostaje. Gdybyśmy byli umówili się inaczej, to by mnie ząb nie bolał i miałbym w kieszeni jeszcze dwieście dolarów. Wypada naprawdę zapytać człowieka wyznającego *konwencjonalizm*: kpi czy o drogę pyta?

Powodem powstania tego zabobonu jest, obok ogólnego zwątpienia w możliwość poznania, także fakt, że w wielu dziedzinach umowa odgrywa rzeczywiście znaczną rolę. Tak na przykład słowa jakich używamy, mają znaczenie *konwencjonalne*, umowne. Mogłyby znaczyć także coś całkiem innego. Ale wyciągać z tego wnioski, że każde twierdzenie bez wyjątku jest konwencjonalne — jak chce *konwencjonalizm* — jest skrajną postacią relatywizmu\*, a co za tym idzie sceptycyzmem\* i zabobonem.

Patrz: prawda, relatywizm, sceptycyzm.

*LITERAT.* Literatura w dzisiejszym słowa znaczeniu, tzw. literatura piękna, to tyle, co zespół wierszy, powieści, opowiadań itp. *Literat* jest więc człowiekiem, który takie pisma tworzy. Istnieje rozpowszechniony zabobon, zgodnie z którym literat miałby prawo występować, jako taki, w roli nauczyciela wszelkiej mądrości. Tym samym literat staje się intelektualistą\*. Ten zabobon był i bodaj jeszcze jest bardzo rozpowszechniony w Polsce, zwłaszcza odnośnie do tzw. wieszczów. Ale *literat*, nawet największy wieszcz, jest tylko specjalistą w sztuce pięknego pisania, w żywym przedstawianiu ludzkich przeżyć, wydarzeń i ideałów — nie posiada natomiast żadnego innego autorytetu. W szczególności nie jest jako taki prorokiem religijnym, filozofem, przywódcą politycznym ani nauczycielem moralności.

Patrz: autorytet, dziennikarz, etyka, guru, intelektualista.

*LOGIKA.* Tradycyjnie pojmowano *logikę* jako naukę o poprawnym wnioskowaniu. Obecnie *logika* składa się z trzech głównych części, a mianowicie z *logiki* formalnej, która jest teorią przedmiotów w ogóle, a więc pewnego rodzaju ontologią, z ogólnej metodologii nauk i z semiotyki, tj. logicznej teorii mowy. *Logika* formalna ma obecnie postać matematyczną (logistyka\*). Wokoło logiki istnieje długi szereg zabobonów, z których wymienimy pięć.

1. Stosunkowo najbardziej niewinnym zabobonem jest pogląd, wyznawany przez wielu filozofów, zgodnie z którym współczesną *logikę* należałoby zastąpić przez jakąś *logikę* dawniejszą, np. kartezjańską, albo scholastyczną. Jest to zabobon, jako że

współczesna (matematyczna) *logika* obejmuje wszystko, co ma jakąkolwiek wartość w dawniejszych, historycznych postaciach *logiki* i to zwykle w znacznie poprawniejszym sformułowaniu, a zarazem wiele rzeczy nowych. Wydaje się, że filozofowie broniący przestarzałych postaci *logiki* powodowani są chęcią uniknięcia ścisłości, jakiej domaga się *logika* dzisiejsza.

2. Znacznie groźniejszy jest zabobon polegający na uznawaniu jakichś innych, rzekomo „głębszych” *logik*, np. *logiki uczuć*, *transcendentalnej*, *dialektycznej* itp. Skrajnym przykładem tych *logik* jest rzekoma „*logika objawienia*”. Na jej przykładzie łatwo jest poznać, że owe „głębsze” *logiki* są zabobonami. Bo jeśli objawienie podane jest ludziom przez Boga i ma zapewne treść boską, to przecież musi być im podane w postaci zrozumiałej dla ludzi, a więc w ludzkim języku. Otóż ludzki język to język podlegający prawom semiotyki logicznej i logiki formalnej. Mowa naruszająca ich prawa nie jest w ogóle ludzką mową, ale niezrozumiałym bełkotem\*. Podobnym bełkotem jest mowa „dialektyczna”, tj. gwałcząca zasadę niesprzeczności.

3. Ten zabobon zyskał u niefachowców niemało wskutek powstania tzw. *logik heterodoksyjnych*, przede wszystkim *logik wielowartościowych*. Mówi się np., że w *logice trójwartościowej* Łukasiewicza nie ma prawa niesprzeczności. Wobec istnienia wielu takich *logik*, mamy — powiada ten zabobon — zupełną wolność w wyborze między różnymi, wzajemnie sprzecznymi *logikami* czyli, w gruncie rzeczy, wolność wszelkiej *logiki*. Ten zabobon wynika z nieznamości rzeczywistego położenia. Albowiem *logiki heterodoksyjne* albo 1. w ogóle nie są *logikami*, a tylko formalizmami bez logicznej interpretacji, tj. zbiorami znaków, dla których nie ma modelu logicznego, albo są 2. *logikami częściowymi*, wycinkami *logiki ogólnej* (taką jest np. wspomniana *logika trójwartościowa* Łukasiewicza), albo wreszcie 3. istnieją dla nich interpretacje, pozwalające przekładać ich twierdzenia na złożone prawa *logiki zwykłej*, *dwuwartościowej*.

4. Najradykałniejszą postacią logicznego zabobonu jest mniemanie sformułowane przez Pascala w słowach *le cœur a ses raisons que la raison ne connaît point* — „Serce ma racje, których rozum nie zna”. Mamy tu wyraz zabobonnego pragnienia wolności od „kajdanów *logiki*”.

Wspólnym korzeniem tych wszystkich zabobonów jest irracjonalizm\* — zabobon polegający na przyjmowaniu u człowieka jakiejś władzy rzekomo „wyższej”, która zdaniem zwolenników tego wierzenia zastępuje z korzyścią rozum, a nie podlega pra-

wom *logiki*. Ale *logika (formalna)* nie jest niczym innym jak opisem najogólniejszych cech przedmiotów w ogóle — kto więc uwalnia się od niej, bełkocze. Poza *logiką* jest tylko nonsens.

5. W porównaniu z tymi groźnymi zabobonami znacznie mniej niebezpieczny jest zabobon poniekąd przeciwny, a mianowicie wierzenie, że *logika naukowa* jest niezbędna do poprawnego rozumowania w życiu codziennym. W rzeczywistości każdy człowiek ma *logikę naturalną*, wrodzoną, która mu pozwala poprawnie rozumować, jak długo nie chodzi o wnioskowania bardzo złożone. Znaczenie *logiki* polega zresztą na jej roli narzędzia nie tyle wnioskowania, ile analizy pojęć. Decydujące znaczenie posiada *logika*, gdy chodzi o filozofię (podstawy) matematyki, cybernetykę i przy analizie bardzo złożonych dowodów, np. w matematyce i w metafizyce\*.

Patrz: dialektyka, filozofia nowożytna, intuicja, irracjonalizm, rozum.

**LOGISTYKA.** Nazwa nadana w 1902 roku współczesnej logice\* matematycznej. Wielu filozofów używa jednak tej nazwy jako rodzaju wyzwiska, mając na celu podkreślenie, że ich zdaniem *logistyka* nie jest logiką. Otóż ten pogląd jest zabobonem. *Logistyka* jest bowiem całkiem oczywiście logiką w sensie Arystotelesa, którego podstawowe poglądy i program logiczny urzeczywistnia, rozszerzając go. *Logistyka* różni się mianowicie od wszystkich dawniejszych postaci logiki tylko pod następującymi względami: 1. jeśli chodzi o treść, *logistyka* zawiera wszystkie prawa względnie dyrektywy występujące w starszych, historycznych postaciach logiki, np. całą *logikę* Arystotelesa — ale zarazem znacznie więcej niż one. Np. podczas gdy traktaty logiki z okresu upadku filozofii (XVI-XIX wiek) zawierały w najlepszym razie trzy tuziny praw logicznych, *logistyka* zawiera ich wiele tysięcy. *Logistyka* zawiera także całe nowe rozdziały logiki, dawniej nieznanne — np. teorię wielokrotnej kwantyfikacji, logikę relacji itp. 2. Pod względem metody *logistyka* urzeczywistnia w doskonalszy sposób program Arystotelesa: odznacza się bardzo wielką ścisłością, jest zaksjomatyzowana, używa sztucznego języka (tj. metody zapoczątkowanej przez twórcę logiki), wreszcie stosuje formalizm.

Kto przeciwstawia *logistyce* inną logikę, jest ofiarą zabobonu opartego na ignorancji.

Patrz: filozofia nowożytna, logika.

**LUD.** Nazwa *lud* ma dwa znaczenia. W jednym *lud* to tyle, co wszyscy obywatele danego kraju; w drugim to ci spośród nich, którzy się w społeczeństwie niczym nie wyróżnili, a więc przeciwieństwo elity\*. Rozpowszechniony dzisiaj zabobon głosi, że *lud* jest szczególnie mądry, cnotliwy i kulturalny, że jego przedstawiciele mają więcej wiedzy od uczonych, więcej szlachetności niż członkowie elity, więcej kultury niż artyści i poeci. Otóż zdarza się wprawdzie, że człowiek z *ludu* jest rzeczywiście mądry, szlachetny i kulturalny; takie wypadki zdają się być nawet liczne, gdy chodzi o moralność. Ale z reguły jest przeciwnie: *lud* jako przeciwieństwo elity jest zespołem ludzi głupich, mało szlachetnych i prostackich. Wiara w wyższość *ludu* nad elitą pod tym względem jest zaiste dziwnym głupstwem. Jeżeli tyle ludzi przyznaje się do tego zabobonu, to dlatego, że mają na myśli fałszywą elitę, ale przede wszystkim dlatego, że *ludu* jest znacznie więcej niż elity, że więc opłaca się mu schlebiać, zwłaszcza gdy jest się politykiem. Co nie przeszkadza, że chodzi o szkodliwy zabobon.

Patrz: elita, równość.

**LUDZKOŚĆ.** Najważniejszym zabobonem związanym z pojęciem *ludzkości* jest proste bałwochwalstwo\* francuskiego filozofa A. Comte'a, który nazywał *ludzkość* „wielką istotą” (*grand être*) i uwielbiał ją. Pod jego wpływem podobne bałwochwalstwo rozpowszechniło się w wielu krajach, gdzie *ludzkość* jest do dziś dnia uważana za coś nie tylko wielkiego, ale i za świętość: jest po prostu ubóstwiana. O tym zabobonie wypada powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, że *ludzkość* to nie jakiś byt bujający w obłokach ponad nami, ale po prostu zespół wszystkich indywidualnych ludzi. Jediną pełną rzeczywistością w *ludzkości* są właśnie ci indywidualni ludzie. Po drugie trzeba podkreślić, że *ludzkość* nie jest ani nieskończona, ani święta — jest stworzeniem bardzo mizernym, istniejącym tylko przez jakiś mikroskopijny ułamek chwili astronomicznej na powierzchni owego pyłku kosmicznego, jakim jest Ziemia. Ubóstwianie takiego stworzenia graniczy z pomieszaniem zmysłów, na które cierpiał zresztą od czasu do czasu twórca „*religii ludzkości*”.

Drugim zabobonem występującym w tej dziedzinie jest mniemanie, że *ludzkość* ma ten sam charakter co naród\* i inne mniejsze wspólnoty. Stąd zabobon żądający od ludzi, by kochali innych członków *ludzkości* dokładnie w ten sam sposób, w jaki kochają

członków własnego narodu i aby byli gotowi poświęcić się dla niej. I te poglądy są zabobonami, bo miłość członków narodu itp. jest, jak wiadomo, funkcją wojny: członkowie grupy muszą być wzajemnie solidarni, aby móc się skutecznie przeciwstawić innym grupom. Ale taka inna grupa nie istnieje, gdy chodzi o *ludzkość*, która obejmuje wszystkich ludzi. Przenoszenie na nią zasad obowiązujących odnośnie do narodu itp. jest grubym nieporozumieniem. H. Bergson (Zbytkower), który na tę różnicę zwrócił uwagę, twierdził, że jeśli miłość *ludzkości* jest w ogóle możliwa, to tylko na zupełnie innej podstawie — przez intuicję Boga.

Patrz: altruizm, bałwochwalstwo, humanizm.

**MAGIA.** Zabobonna technika zakładająca, że człowiek może za pomocą mniej lub więcej tajemniczych słów, ruchów, amuletów itp. zmusić siły przyrody, a nawet duchy i samego Boga, do pełnienia jego woli. Sama *magia* jest zabobonem, ale zabobonem jest również mieszanie jej z religią\*, która jest w zasadzie przeciwieństwem *magii*, jako że ludzie religijni przeżywają intensywnie swoją zależność od Bóstwa, a nie odwrotnie. Prawdą jest jednak, że *magia* bywa często połączona z wierzeniami i postawami religijnymi. Innym zabobonem w tej dziedzinie jest utożsamianie nauki\* z *magią*, głoszone przez niektórych historyków nauki (Feyerabend).

Patrz: nauka, religia.

**MARKSIZM.** Najważniejsza — bodaj jedyna naprawdę ważna — odmiana *marksizmu*, a mianowicie tzw. marksizm-leninizm, jest prawdopodobnie najbogatszym zbiorem zabobonów, jaki kiedykolwiek utworzono. Jego wyznawcy są typową sektą\* z typowym guru\*. Ich poglądy, a mianowicie *marksizm*, zawierają m.in. tzw. „naukowy” światopogląd\*, materializm dialektyczny\*, scjentyzm\*, historiozofię\*, ekonomizm\*, zabobonną teorię klas\*, wiarę w postęp\*, aby tylko te gusła wymienić. Zostały one omówione gdzie indziej. Tutaj wypada wspomnieć tylko o podstawowym zabobonie *marksizmu*, a mianowicie o stosunku jego zwolenników do ich guru, Karola Marksa.

Aby zrozumieć głębię tego zabobonu, należy przeprowadzić dwa rozróżnienia: jedno między poglądami Marksa a poglądami



jego poprzedników i następców, drugie między różnymi składnikami poglądów samego Marksa. *Marksizm* miesza to wszystko.

1. Wiele poglądów występujących w *marksizmie* nie pochodzi od Marksa. Niektóre istniały przed nim, np. pogląd, że społeczeństwo rozpada się zasadniczo na klasy, że istnieje walka klas, że należy dążyć do komunizmu\* itd. Jeśli chodzi np. o pojęcie klasy, było ono w czasach Marksa tak dalece przyjęte, że Marks sam nigdy nie spróbował klasy zdefiniować. Skądinąd wokoło poglądów Marksa narosło wiele myśli, jemu samemu obcych. Najważniejsze spośród nich pochodzą od Engelsa, miernego myśliciela, którego filozofia została uznana za wyraz poglądów Marksa. Engels jest m.in. wynalazcą zabobonu zwanego materializmem dialektycznym, którego nie ma u Marksa. Do tego pomieszania pojęć doszło dlatego, że Marks przestał się zajmować filozofią w wieku dojrzałym, a nawet (całkiem słusznie zresztą) potępił zajmowanie się ówczesną filozofią syntetyczną\*. Ponieważ zaś zwolennicy marksizmu mieli najpierw najwięcej powodzenia w Niemczech, gdzie każdy guru musi być filozofem, szukano owej marksowskiej filozofii i, nie znając wczesnych pism Marksa, uwierzono, że znajduje się ona u Engelsa. Wiemy dziś, że tak nie jest, że wiele poglądów Engelsa jest wprost sprzecznych z zasadniczą postawą Marksa.

Po Engelsie największy wpływ na „rozwój” *marksizmu* mieli Rosjanie, w szczególności Plechanow i Lenin; połączenie myśli tego ostatniego ze wspomnianym powyżej pomieszaniem Marksa z Engelsem zostało nazwane marksizmem-leninizmem i jest do dziś najbardziej wpływowym rodzajem marksistowskiego zabobonu.

2. Poza tym poglądy samego Marksa są złożone i należy starannie odróżnić kilka aspektów jego myśli, których wartość jest niejednakowa. Marks był mianowicie przede wszystkim naukowcem i uważał się za takiego. Chciał stworzyć „naukowy socjalizm” i zbudować socjologię (której jest współzałożycielem) na wzór fizyki. Jako taki Marks był niewątpliwie wybitnym myślicielem, choć nie miał szczęścia o tyle, że większość jego hipotez naukowych została sfalsyfikowana przez nowszą wiedzę (tak np. hipoteza zbliżającego się królestwa wolności, hipoteza coraz większej pauperyzacji proletariuszy, hipoteza załamania się kapitalizmu itd., itd.). Wynika stąd, że choć owe hipotezy były nieraz w czasach Marksa dobrymi naukowymi hipotezami, jest dziecinnym zabobonem uważać je dzisiaj za filozoficzne dogmaty. Marks miał także kilka oryginalnych pomysłów filozoficznych, ale nie wypracował niemal żadnego z nich tak dalece, że uważanie go za filo-

zofa jest nieporozumieniem: bo aby być filozofem, nie wystarczy mieć pomysły, wypada jeszcze je rozpracować, zracjonalizować, a Marks niemal nigdy tego nie dokonał. Marks był dalej moralistą i jako taki odegrał niewątpliwie ogromną rolę, tak dalece, że jeśli chodzi o moralność, jesteśmy dziś w Europie wszyscy jego uczniami. Wreszcie Marks był w zasadzie wyznawcą światopoglądu Oświecenia\*: wierzył w konieczny postęp ludzkości ku rajowi na ziemi, a to głównie dzięki „światłu” nauki. Nikt znający położenie nie może dziś dzielić tych poglądów, ale czynią to masy ludowe, a także intelektualności\* w krajach zafananych.

Powinno więc być jasne, że przyjmowanie wszystkiego, co powiedział Marks z dodatkiem tego co wymyślili jego wyznawcy w rodzaju Lenina, jest kompromitującym zabobonem.

*Marksizm* jest jeszcze o tyle gorszym zabobonem, że w przeciwieństwie do wielu innych (np. do astrologii\*, albo idealizmu\*) jest nadal narzucany siłą w krajach zwanych socjalistycznymi, gdzie naukowcy, filozofowie itd., choć wiedzą, że chodzi o zabobony, korzą się przed władzą i wysławiają *marksizm*, jak gdyby był nieomylnym prorocstwem. Można bez przesady powiedzieć, że od wielu wieków nie znano takiego poniżenia myśli ludzkiej jak to, którego doznała pod rządami *marksizmu*.

**MATERIALIZM.** Zabobon polegający na twierdzeniu, że wszystko co jest, a w szczególności wszystkie zjawiska psychiczne, są materialne, to jest fizyczne, że więc myśl, świadomość, uczucie, wola itp. bądź wcale nie istnieją, bądź muszą być rozumiane jako coś fizycznego, w gruncie rzeczy jako ruchy kawałków materii. Tak pojęty *materializm* jest jednym z najdziwniejszych zabobonów, jakie filozofowie wymyślili kiedykolwiek, jako że zjawiska psychiczne są całkiem oczywiście czymś najzupełniej różnym od fizycznych. Aby się o tym przekonać, wystarczy wyobrazić sobie, jak radził niemiecki filozof Leibniz, mózg powiększony do rozmiarów młyna. Przechadzając się w tym młynie widzielibyśmy różne kawałki materii popychające się nawzajem ale nigdy najmniejszego śladu czegoś, co można by nazwać świadomością — bo to jest czymś najzupełniej różnym od tych kawałków i ich ruchów. Innymi słowami, twierdzić, że świadomość itd. jest materialna jest dziwołogiem podobnym do twierdzenia, że woda jest właściwie żelazem, albo srebro właściwie woskiem.

Trzeba przyznać, że inteligentniejsi spośród ludzi, którzy się przyznają do *materializmu*, nie idą aż tak daleko. Przyznają, że zjawiska psychiczne są czymś różnym od fizycznych, ale — powiadają — są „w zasadzie” czymś materialnym. Ale i to jest zabobonem, jako że niepodobna zrozumieć, co oni tutaj przez „materialny” rozumieją. Można by równie dobrze twierdzić, że żelazo jest „w zasadzie” drzewem, co wygląda na bełkot\*.

Jedynym argumentem *materialistów* jest powołanie się na (oczywistą) zależność funkcji psychicznych od fizjologicznych. Ale z tego, że A zależy od B nie wynika bynajmniej, że A jest tym samym co B. Można by równie dobrze twierdzić, że skoro płaszcz wiszący na żelaznym haku porusza się, gdy poruszamy tym hakiem i spada razem z nim, to jest sam żelaznym hakiem (Bergson).

Wreszcie bywa, że chodzi o proste nieporozumienie: ludzie, którzy twierdzą, że są *materialistami*, chcą nieraz w rzeczywistości tylko odrzucić zabobon reistyczny dotyczący duszy\*, a mianowicie mniemanie, że jest ona rzeczą. W tym wypadku mają zupełną rację, ale szkoda, że nazywają ten słuszny pogląd zabobonnym imieniem *materializmu*.

Patrz: dusza.

**MATERIALIZM DIALEKTYCZNY.** Jeden z najdziwniejszych zabobonów wchodzących w skład głównej odmiany marksizmu\*, tzw. marksizmu-leninizmu. *Materializm dialektyczny* jest mianowicie połączeniem poglądów dwóch filozofów, którzy głosili twierdzenia wzajemnie sprzeczne. Chodzi mianowicie o Arystotelesa i Hegla. Bo wyrażenie „materializm” w *materializmie dialektycznym* ma niewiele wspólnego z materializmem\* w zwykłym słowa znaczeniu (patrz: dusza\*), zawiera natomiast główne twierdzenia filozofii Arystotelesa, że istnieją substancje, trwałe istoty, niezależna od umysłu rzeczywistość, że wartości moralne są bezwzględne, wyniesione ponad okresy dziejowe itd. Z drugiej strony „dialektyczny” znaczy, że *materializm dialektyczny* przyznaje się do filozofii Hegla, według której nie ma substancji, nie ma trwałych istot, nie ma rzeczywistości niezależnej od ducha, wartości moralne są zmienne itd. Trzeba było braku inteligencji, jakim odznaczał się twórca *materializmu dialektycznego*, Engels, aby połączyć takie wzajemnie wykluczające się poglądy.

Konsekwencje tego zabobonu są czasem rozbijające. Jedną z nich jest tzw. problem Spartakusa. Ów Spartakus przeprowadził mianowicie proletariacką rewolucję w czasie, kiedy klasa właści-

cieli niewolników była według marksizmu klasą przodującą, a więc jego rewolucja nie miała żadnych szans i — moralnie mówiąc — była zbrodnią, jako sprzeczna z interesami klasy przodującej. Tak ze stanowiska heglowskiego, a więc *materializmu dialektycznego*. Ale jednocześnie wychwała się Spartakusa jako bohatera. Dlaczego? Dlatego, że uznaje się potępienie wszelkiego wyzysku za wartość bezwzględną, wyniesioną ponad epoki i klasy — całkiem po arystotelowsku. Trzeba było wybierać. Kto przyjmuje równocześnie oba wzajemnie wykluczające się stanowiska, uprawia zabobon.

Patrz: marksizm, materializm.

**METAFIZYKA.** Ludzie mówią nieraz o *metafizyce* z zabobonnym strachem („dreszcze metafizyczne”). Ten zabobon jest skutkiem zbiegu kilku okoliczności. Zaczyna się wszystko od niejakiego Andronikosa z Rodos, który nie wiedząc jak nazwać paczkę notatek pozostawionych przez Arystotelesa, nadał im nazwę „to co przychodzi po (*meta*) fizykach”. Czego tam nie ma! Jest m.in. cały słowniczek wyrażeń filozoficznych. W każdym razie ów Andronikos został o tyle źle zrozumiany, że jego *meta* pojęto nie jako odnoszące się do miejsca w bibliotece („po”), ale jako odpowiednik naszego „poza”. *Metafizyka* to więc to, co jest poza światem fizycznym. Dlatego ludzie uważają np. upiory za zwierzęta *metafizyczne* i, naturalnie, mają dreszcze, gdy im ktoś o *metafizyce* wspomina.

Ale u filozofów *metafizyka* była rozumiana inaczej, mianowicie jako dyscyplina zajmująca się przedmiotami niedoświadczalnymi, leżącymi więc w tym słowa znaczeniu poza doświadczeniem zmysłowym. Jeden z tych filozofów, Emanuel Kant, wiedząc, że panuje w tej dziedzinie wielkie zamieszanie i nie ma żadnego postępu, przyszedł do przekonania, że racjonalna, rozumna *metafizyka* nie jest możliwa, że więc należy sięgać po owe pozadoświadczalne przedmioty jakąś inną drogą. Tymi przedmiotami były u Kanta (i są jeszcze dziś) dusza\*, świat i Bóg.

1. Ów pogląd kantowski, że rozumna *metafizyka* nie jest możliwa, bo przekracza granice doświadczenia, jest pierwszym zabobonem odnośnie do niej. Bo przecież każda jako taka rozwinięta nauka rozprawia wiele o przedmiotach niedoświadczalnych. Mają one w naukach przyrodniczych nawet swoistą nazwę — mówi się o „przedmiotach teoretycznych”. Nie ma więc powodu, by uważać dociekania *metafizyczne* za niemożliwe z tej racji.

2. Wiąże się z tym drugi zabobon, mniemanie, że przedmioty metafizyczne można poznać, jak to się mówi uczenie, w drodze irracjonalnej, tj. za pomocą jakichś uczuć, intuicji\*, trwogi, metafizycznych dreszczów czy tym podobnych. Jest to oczywisty zabobon. Uczucie np. może nam wprawdzie utorować drogę do lepszego poznania (tak np. miłość bynajmniej nie tylko zaślepia, ale także otwiera oczy duchowe na dodatnie cechy osoby kochanej), ale w żaden sposób nie może samo dać nam wiedzy o takich przedmiotach jak świat (w całości), Bóg itp. Jeśli możemy w ogóle czegoś się dowiedzieć o nich, to tylko w drodze rozumowania, a nie owych dreszczów i uczuć.

3. I tu mamy trzeci, dość rozpowszechniony zabobon, że każdy może z łatwością poznać przedmioty *metafizyczne*, np. Boga. Naprawdę jest tak, że rozumowania *metafizyczne* należą do najbardziej złożonych i trudnych, jakie w ogóle znamy. Aby mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia w tej dziedzinie, trzeba umieć stosować bardzo wyrafinowaną logikę matematyczną (tak np. gdy chodzi o dowody na istnienie Boga, wypada opanować skomplikowaną matematyczno-logiczną teorię ciągów, teorię nieskończoności itp.). Stąd, kto myśli, że każdy człowiek może łatwo uprawiać *metafizykę*, padł ofiarą zabobonu. Toteż filozofowie współcześni, choć nieraz nie przeczą możliwości *metafizyki*, wahają się często, kiedy chodzi o podjęcie badań w jej dziedzinie, tak wydaje im się trudna.

Jeszcze jedna uwaga: wielu miesza nieraz *metafizykę* z zupełnie inną dyscypliną, a mianowicie z ontologią, która jest nauką opisową (a więc nie rozumującą) o najbardziej oderwanych cechach każdego przedmiotu danego (a więc *nie* o Bogu, świecie itd.).

**MIŁOŚĆ.** Rzecz dziwna, że *miłość*, a więc przeżycie, zdałoby się, wszystkim dostępne i piękne, stała się przedmiotem zabobonów. Aby je zrozumieć, wypada przypomnieć parę zasadniczych cech *miłości*, wypracowanych w XX wieku przez filozofów (Scheler i inni). Pierwszą taką cechą jest to, że przedmiotem *miłości* godnej tej nazwy jest zawsze konkretna osoba ludzka, a nie anonimowe indywiduum, i to o tyle, o ile jest nam bliska, o ile ma tożsamości z nami. Inną cechą *miłości* jest jej wielka złożoność. Z jednej strony odróżniamy (już od czasu dawnych stoików) cztery typy czy rodzaje *miłości*: miłość rodzinną (*storge*), przyjaźń (*filia*), miłość erotyczną (*eros*) i miłość duchową (*agape*).

Skądinąd, wobec tego, że możemy wyróżnić w człowieku co najmniej trzy poziomy — roślinny, zwierzęcy i duchowy — *miłość* może występować na każdym z nich. Przy tym pełna *miłość* obejmuje je wszystkie równocześnie.

Pierwszy zabobon odnoszący się do *miłości* dotyczy jej przedmiotu. Tym zabobonem jest altruizm\*, który jest *miłością* innego człowieka w abstrakcji, anonimowego — i to dlatego, że on jest inny, obcy nam.

Innym zabobonem, bardzo niestety rozpowszechnionym, jest sprowadzanie *miłości* do jednej z jej postaci, przede wszystkim do jednego tylko poziomu. Niektórzy widzą *miłość* tylko na poziomie roślinnym, płciowym; tak np. w języku francuskim „uprawiać *miłość*” znaczy po prostu tyle, co spółkować. Inni — i to jest najbardziej rozpowszechniony zabobon — sprowadzają *miłość* do uczucia. *Miłość* jest niewątpliwie także uczuciem, ale nie tylko uczuciem. Jeśli jest pełna, obejmuje także z konieczności wolę służenia i wolę dobra ukochanej osoby.

Patrz: altruizm.

**MISTYKA.** Bezpośrednie doświadczenie Boga. Wokoło *mistyki* istnieje kilka zabobonów, wywołanych przez pomieszanie pojęć. Jednym z nich jest zabobon dialogiczny (patrz dialog\*), który przypisuje stany *mistyczne* wszystkim wierzącym. Inny zabobon polega na nazywaniu każdego bełkotu\* mową *mistyczną*. Jeszcze inny miesza *mistykę* ze zjawiskami niezwykłymi, np. wizjami, lewitacją itd. Autentyczna *mistyka* nie ma z nimi nic wspólnego, jest po prostu przeżyciem bezpośredniego zetknięcia z Bóstwem. Zgodnie z wynikami niezależnych badań w tej dziedzinie (Bergson) *mistyki* istnieją we wszystkich wielkich religiach, ale są wszędzie ludźmi wyjątkowymi.

Patrz: religia.

**MIT.** Opowiadanie, o którym wiemy, że jest fałszywe, a jednak trzymamy się go jak gdyby było prawdziwe. Istnieją dwa rodzaje *mitów*. Pierwszy to *mit* symboliczny, który jest fałszywy o ile się go rozumie dosłownie, ale może być prawdziwy w rozumieniu symbolicznym. Przykładem takiego *mitu* jest staroegipskie opowiadanie o Ozyrysie, który miał być zabity przez

Seta, pocięty na czternaście kawałków, a mimo to, po złożeniu tych kawałków, spłodził Horusa. To opowiadanie, wzięte dosłownie, jest oczywiście fałszywe — bo nie tylko nie było nigdy żadnego Ozyrysa ani Horusa, ale także nie jest możliwe, aby człowiek pocięty na czternaście kawałków mógł spłodzić kogośkolwiek. Ale w rozumieniu symbolicznym sprawa przedstawia się inaczej. Symbolicznie *mit* o Ozyrysie wyraża mianowicie wiarę Egipcjan w nieśmiertelność duszy, która niekoniecznie jest fałszywa.

Z tymi symbolicznymi *mitami* związane są dwa zabobony. Pierwszy, rozpowszechniony wśród wyznawców wielu religii, polega na dosłownym rozumieniu *mitów* i twierdzeniu, że one są w tym rozumieniu prawdziwe. Drugi, to tzw. entmitologizacja, spopularyzowana przez protestanckiego teologa Bultmanna. Według niego należy religię\* oczyścić z *mitów*, tak aby zostały z niej tylko zdania prawdziwe w dosłownym rozumieniu. Ta entmitologizacja jest oczywiście zabobonem, jako że do istoty religii należy mowa o przedmiocie, przekraczającym możliwości potocznej języka, a mianowicie o Bogu i dlatego każda religia posługuje się i musi posługiwać się *mitami* w symbolicznym znaczeniu. Religia bez *mitów* podobna jest do kwadratowego koła, albo czerwonej zieleni — wygląda na sprzeczność. Stąd doktryna entmitologizacyjna jest zabobonem.

Inny rodzaj *mitów* nie posiada symbolicznego znaczenia, ale wzięty w dosłownym rozumieniu służy jako zachęta do czynu. Klasycznym przykładem takiego *mitu* jest *mit* strajku powszechnego, w którego możliwość wielu socjalistów wątpiło, a mimo to trzymali się go, bo dawał im zapał do walki o socjalizm. Rosenberg, teoretyk hitleryzmu, wynalazł swój „mit dwudziestego wieku”, *mit rasistowski*, o roli narodu niemieckiego itd., w takim właśnie celu. Ten ostatni przykład świadczy o zabobonności *mitów* drugiego rodzaju: są one, w przeciwieństwie do *mitów* pierwszego rodzaju, prostym fałszem i zalecanie ich ludziom przytomnym jest oczywiście absurdem, tym bardziej, że wiadomo jak złowrogie skutki pociągało nieraz w dziejach wierzenie *mitom* tego rodzaju.

Wydaje się, że *mity* powstają przeważnie w ramach nacjonalizmów. Przyczyną szerzenia się ich jest wątpliwość w rozum, nieufność do prostego rozsądku, która prowadzi łatwo do łatania dziur w naszej wiedzy za pomocą kłamliwych historyjek, które się potem elegancko nazywa *mitami*.

Patrz: komunizm, religia, światopogląd, utopia.

**MŁODZIEŻ.** W połowie XX wieku rozpowszechniło się mniemanie, że młodzi ludzie, a nawet podrostrki, są pod każdym względem lepsi, mądrzejsi itd. od ludzi dorosłych. Podejrzewam nawet, że coś w tym rodzaju znajdujemy już w „Odzie do młodości”:

*Niechaj kogo wiek przytłoczy*

*Chyląc ku ziemi poradłone czoła...*

*Młodości: Ty nad poziomy wylatuj...*

Jakkolwiek by z tym było, mniemanie o bezwzględnej wyższości młodzieży jest na niczym nie opartym zabobonem. Każdy wiek ludzki ma swoje zalety i wady. Młodzi ludzie posiadają np. więcej dynamizmu niż starsi, ale za to dużo mniej doświadczenia, a nieraz i siły charakteru. Najlepszym wiekiem człowieka nie jest ani młodość, ani starość, ale wiek dojrzały i tylko ludzie w dojrzałym wieku powinni zajmować kierownicze stanowiska. Z czego nie wynika oczywiście, by nie potrzebowali zasięgać rady i u młodych, i zwłaszcza u starych. Ale przypisywanie *młodzieży* wyższości pod każdym względem jest doprawdy dziwnym zabobonem.

**NACJONALIZM.** Pogląd wyrażający się najczęściej słowami: „naród jest najwyższym dobrem”. Niezależnie od pojęcia narodu — różnego w różnych krajach — każdy *nacjonalizm* zawiera dwa twierdzenia: po pierwsze, że dany naród jest rodzajem absolutu, bóstwa stojącego ponad wszystkim, a więc także ponad jednostką, która winna wszystko dla niego poświęcić; po drugie, że dany naród jest czymś lepszym, godniejszym, bardziej wartościowym niż inne narody. Trudno oprzeć się tutaj pokusie zacytowania poety, w tym wypadku Miłosza:

*Nie znoszę ludzi, którym nazbyt słabe głowy*

*Zamąca moczopędny trunek narodowy.*

*Ich mieszanina jęków od czasów Popiela*

*Jątrzy mnie i do cierpkich wyrażań ośmiela.*

*Nacjonalizm* jest bałwochwalstwem\* i jako taki zabobonem — jest nawet zabobonem szczególnie niebezpiecznym, bo bardzo wiele morderstw i innych niesprawiedliwości dokonano niedawno i dalej się dokonuje w jego imieniu.

Pomijając bałwochwalczą stronę *nacjonalizmu*, jego zabobon-



ny charakter wynika już z tego, że naród jest tylko jedną z licznych grup, do których człowiek należy. Bo każdy człowiek jest przecież najpierw członkiem swojej rodziny, dalej regionu, grupy zawodowej, klasy. Poza granice narodu sięga jego przynależność do wspólnot kulturowych i religijnych. Pomijać je wszystkie na rzecz jednego tylko narodu, przypisywać mu bezwzględne pierwszeństwo przed wszystkimi innymi jest oczywistym zabobonem.

Co jest przyczyną ogromnego powodzenia tego zabobonu? Dlaczego ludzie tak łatwo i chętnie zabijają i dają się zabijać dla dobra narodu? Niełatwo jest na to pytanie odpowiedzieć. Wydaje się, że należy rozłożyć je na dwie części i pytać najpierw, dlaczego ludzie w ogóle poświęcają się dla jakiejś wspólnoty, a następnie dlaczego tą wspólnotą jest najczęściej właśnie naród. Odpowiedź na pierwsze pytanie jest zapewne złożona, a na drugie można bodaj najlepiej odpowiedzieć wskazując na wpływ literatów, poetów, wieszczów itp., którzy wmówili w ludzi, że ich naród jest godnym uwielbienia bóstwem, dla którego należy poświęcić wszystko, nawet życie własne i najbliższych. Można też wskazać na użyteczność tego zabobonu dla obrony grupy ludzkiej, gdyż motywuje ludzi do walki w obronie grupy.

Z *nacjonalizmem* nie należy mieszać patriotyzmu\*, który w przeciwieństwie do niego nie jest zabobonem, ale postawą rozsądną. Na skutek tego pomieszania zdarza się, że ludzie popadają w inny zabobon, a mianowicie w internacjonalizm, przeczący by człowiek miał prawo zabiegać o dobro własnego narodu, że bezwzględne pierwszeństwo przed innymi wspólnotami ludzkimi ma bądź klasa\*, bądź ludzkość\*.

Patrz: kolektywizm, ludzkość.

**NAUKA.** *Nauką* nazywa się zespół zdań posiadających następujące cechy: 1. dotyczą wyłącznie *faktów* zachodzących w *świecie*, 2. mają charakter *obiektywny*, są sprawdzalne intersubiektywnie, tj. przez co najmniej dwie różne osoby, 3. zostały ustalone i są porządkowane ze *starannością*, którą odznaczają się naukowcy, 4. zostały ogłoszone przez *specjalistów* pracujących w danej dziedzinie.

Z *nauką* związanych jest kilka zabobonów.

Pierwszy, dawniej bardzo rozpowszechniony, to pozytywizm\*, mniemanie, że *nauka*, a w szczególności *nauka przyrodnicza*, jest

kompetentna we wszystkich dziedzinach. Inny, przeciwny pierwszemu, polega na uważaniu za *naukę* zbiorów zdań, które z nią nie mają nic wspólnego, np. zabobonów w rodzaju astrologii\*. Skrajnym wypadkiem tego zabobonu jest często dziś spotykany pogląd, że nie ma właściwie żadnej różnicy między *nauką* a czarnoksięstwem (Feyerabend).

Ci, którzy wierzą w ten ostatni zabobon, popełniają kilka błędów. Najpierw mieszają faktyczny, historyczny przebieg rozwoju *nauki* i czarnoksięstwa z ich logiczną wartością. Następnie wybierają spośród zdań naukowych te, których uzasadnienie jest najtrudniejsze, a mianowicie wielkie teorie, zwane także paradygmatami (Kuhn). Wreszcie spośród nich wybierają te, których wprowadzenie, względnie odrzucenie było stosunkowo najtrudniejsze.

Z przytomnego punktu widzenia pewne są trzy rzeczy. Po pierwsze, że w *nauce* jest bardzo wiele zdań nie ulegających najmniejszej wątpliwości. Tak np. w *nauce*, która jest stosunkowo „słaba” logicznie, a mianowicie historiografii, nikt przytomny nie może wątpić, że Niemcy zostały pobite w drugiej wojnie światowej, ani że wojska sprzymierzone zwyciężyły pod Wiedniem w roku 1683. Po drugie pewne jest też, że czarnoksięstwo i tym podobne zabobony są oczywistym głupstwem. Oto przykład: zabobonni „egiptomani” opowiadają, że imię staroegipskiego bożka Ozyrysa powinno się odczytywać O-Sir-is, co po angielsku znaczy, że O (tj. Ozyrys) jest panem (intelektualnym). To twierdzenie jest monumentalnym głupstwem, jako że imię Ozyrysa występuje już w tekstach piramidalnych (XXV wiek przed Chrystusem), podczas gdy język angielski nie istniał przed XI wiekiem po Chrystusie. Jakże więc starożytni Egipcjanie mogli używać języka, który miał powstać dopiero 3500 lat później? Podobnych głupstw jest w zabobonach wiele.

Ale najważniejszy jest trzeci pewnik dotyczący *nauki*: jeśli chodzi o stwierdzenie i wytłumaczenie faktów zachodzących w świecie, nie posiadamy niczego lepszego niż metoda naukowa. *Nauka* jest więc jedynym poważnym autorytetem w tej dziedzinie. Próbować zastąpić *naukę* przez gusa, intuicję, trwogę czy cokolwiek innego jest zabobonem. W chwili obecnej wielu ludzi hołduje mu niestety.

Przyczyny nierozumnej nieufności do *nauki* są liczne, między innymi odegrał swoją rolę strach przed złymi skutkami zastosowania wyników fizyki w technice, np. jeśli chodzi o energię nuklearną. Widząc, że badania *naukowe* umożliwiły zbudowanie

bomb nuklearnych, ludzie wyobrażają sobie często, że *nauka* jest niebezpieczna, że więc należałoby ją zastąpić przez coś innego. Trzeba jednak powiedzieć, że to nie *nauka* jest niebezpieczna, ale użytek jaki ludzie z niej robią. Prosta maczuga zabija równie skutecznie jak kula karabinu maszynowego. Przyczyną zła w obu wypadkach jest człowiek, nie *nauka*. Poza tym, jeśli istnieje jakakolwiek nadzieja przewyciężenia trudności, jakie wywołała nowoczesna technika, to tylko w *nauce*, która, sądząc z dotychczasowego doświadczenia, była zawsze w stanie dostarczyć środków przeciw takim niebezpieczeństwom.

Patrz: irracjonalizm, pozytywizm, rozum, sceptycyzm, sejentyzm.

**NIEŚMIERTELNOŚĆ.** Co najmniej dwa zabobony dotyczą *nieśmiertelności*. Jeden z nich, bardzo rozpowszechniony wśród ludzi wierzących, polega na wyobrażaniu, że dusza\* ludzka żyje po śmierci dalej w sposób podobny do życia człowieka przed śmiercią. Skrajnym przykładem tego zabobonu były np. wierzenia staroegipskie, które nakazywały dostarczać zmarłym jedła, ubrania, narzędzia pracy itp., bo sądzono, że będą dokładnie tak żyli w zaświatach, jak żyli na ziemi. Ale i u chrześcijan niezadkie jest wierzenie w ten zabobon. Tymczasem dusza nie jest rzeczą i jest z ciałem tak ściśle związana, że choć myśl o jej istnieniu po śmierci nie zawiera sprzeczności, to istnienie musi być całkowicie różne od obecnego.

W rzeczy samej pojęcie treści (dawnej „formy”) istniejącej bez podmiotu, którego jest treścią, nie wydaje się sprzeczne, pod warunkiem, że treść o którą chodzi nie jest *tylko* treścią owego podmiotu, ale ma także inne funkcje. A taką jest właśnie dusza ludzka zgodnie z tradycją. Warto też przypomnieć, że wielu filozofów, którzy nie wierzyli w *nieśmiertelność* duszy, przyjmowało równocześnie istnienie „czystych treści” bez podmiotów.

Ale pewnym jest, że jeśli dusza istnieje po śmierci, to jej istnienie i działanie nie może być takie same, jak w ciele. Na przykład nasza myśl jest ściśle związana z funkcjami fizjologicznymi, to jest cielesnymi — nie ma myśli bez wyobrażeń, które są zjawiskami psychosomatycznymi. Takiej myśli nie może więc być w duszy istniejącej bez ciała. Wyobrażenie o duszy żyjącej po śmierci w ten sam sposób, w jaki istniała za życia, jest więc zabobonem.

Innym zabobonem dotyczącym *nieśmiertelności* jest opowia-

danie o „nieśmiertelnym duchu narodu”, o „nieśmiertelnych wieszczach”, „wartościach” i tym podobnych. Mało jest zabobonów tak oczywiście sprzecznych z prawdą, jak ten: świat jest przecież wielkim cmentarzyskiem umarłych narodów. Z wielkim trudem zbieramy w nim jakieś szczątki umarłych kultur i narodów, aby starać się choć w przybliżeniu zrozumieć, czym one były. Kto nie wierzy, niech pojedzie do Qantir (ok. 100 km na północ od Kairu) na miejsce, gdzie stał największy bodaj pałac, jaki człowiek kiedykolwiek zbudował — ponad 10 kilometrów kwadratowych budynku; zostało zaledwie kilka kamiennych odłamków.

Oba zabobony mają tę samą przyczynę: pragnienie, aby przetrwać śmierć i żyć dalej jak przed nią. To pragnienie nie jest zabobonem — jest psychologicznym faktem. Ale z tego, że czegoś pragniemy nie wynika, że to coś jest.

Patrz: dusza, naród.

**NUMEROLOGIA.** Wróżenie z liczb. Liczby mają być dobre albo niedobre, szczęśliwe albo nieszczęśliwe. Dwójka jest zawsze zła, fatalna, jako że diabeł ma dwa rogi. Trzynastka jest zła, nieszczęśliwa dla pospólstwa (podobno w tarocie odpowiada jej „śmierć”); natomiast mędrcomi ta sama trzynastka przynosi szczęście. Fatalna jest dla niego liczba 23. Stąd numer domu, w którym ktoś mieszka, dzień miesiąca, numer rejestracyjny samochodu czy telefonu mają ogromne znaczenie dla *numerologii*. Nawet tam, gdzie żadnych liczb nie ma, można je odnaleźć w następujący sposób. Najpierw przyporządkowuje się każdej literze liczbę porządkową — jedynekę literze A, dwójkę B itd. Podstawia się te liczby za odpowiadające im litery, np. w imieniu i nazwisku, dodaje się te liczby, powtarza to dodawanie, wynik orzeka o tym, czy czeka nas coś dobrego czy niedobrego.

Oto przykład. Przypuśćmy, że nazywam się Piotr Nowak. Podstawiając za litery odpowiadające im liczby, otrzymujemy dla „Piotra”  $16 + 9 + 15 + 20 + 18 = 78$ , a dla „Nowak”  $14 + 15 + 23 + 1 + 11 = 64$ .  $78 + 64 = 142$ .  $1 + 4 + 2 = 7$ . Otóż siódemka jest niezłą liczbą. Ale przypuśćmy, że wynik tej uczonej operacji jest niepomyślny, że otrzymaliśmy liczbę nieszczęśliwą. Nic łatwiejszego, jak temu zaradzić, na przykład zmieniając imię Piotr na Pieter albo Peter.

Jednym z najdziwniejszych faktów współczesności jest to, że

poważni ludzie wierzą nieraz w ten dziwaczny zabobon. Na szczęście jest on bardziej idiotyczny niż szkodliwy. Inne filozoficzne zabobony wyglądają mniej śmiesznie, ale są często śmiertelnie niebezpieczne.

**ODRODZENIE.** Niemal dwa i pół wieku trwający okres przejściowy między Średniowieczem a epoką nowoczesną w Europie. W tym okresie zaszły znaczne zmiany w wielu dziedzinach; wspaniale rozwinęła się m.in. nauka i sztuka. W *Odrodzeniu* należy odróżnić liczne składniki i fazy rozwoju. Związane są też z nim różne zabobony, tak dalece zakorzenione, że nauka nowoczesna dopiero obecnie stara się z wielkim trudem je obalić.

1. Pierwszym i bodaj głównym zabobonem jest wierzenie (do którego przyznawało się zresztą wielu ludzi *Odrodzenia*), że *Odrodzenie* jest właśnie *odrodzeniem*, zmartwychwstaniem kultury i cywilizacji po długim okresie barbarzyńskich „średnich wieków”, które mają być ciemną przerwą między dwoma okresami kultury. Jest to zabobon wynikający z zupełnej ignorancji Średniowiecza i ścisłego związku, jaki zachodzi między nim a *Odrodzeniem*, aby wymienić tylko dwie całkiem różne dziedziny, poezję i życie gospodarcze. Dante żył w wieku XIII, a więc w szczytowym wieku Średniowiecza, a Petrarca w XIV, nie w XVI. Jeśli chodzi o życie gospodarcze, to jego autentyczny renesans przypadł także na wiek XIII, kiedy wspaniale rozwijały się handel i bankowość. Nawet opowiadanie, że *Odrodzenie* odkryło pisarzy starożytnych jest zabobonem. Jak dziś wiadomo, przybyły w tym czasie tylko dwa rękopisy starogreckie — wszystkie inne były już na Zachodzie (głównie we Francji) — a to dlatego, że Europa Zachodnia przeżyła już w XII i XIII wieku inny nawrót do starożytności, połączony z wielkim zainteresowaniem człowiekiem i przyrodą.

2. Inny zabobon polega na pomieszeniu dwóch składników *Odrodzenia* wzajemnie sobie przeciwnych, a mianowicie tzw. humanizmu\* z nową nauką przyrodniczą. Humanizm jest wrogi wszelkiej logice, rozumowi, wszelkiej nauce przyrodniczej, uważa ją za pracę „mechaniczną”, niegodną kulturalnego człowieka, który ma być pisarzem, retorem, politykiem. Postać człowieka *Odrodzenia*, który jest równocześnie podobny i do Erazma z Rotterdamu i do Galileusza, jest mitem, a wiara w jakąś jednolitą *odrodzeniową* wizję świata zabobonem.

3. Trzeci zabobon to wychwalanie filozofii *Odrodzenia* jako

„wielkiej” w porównaniu do poprzedzającej ją scholastyki\*. Prawda jest taka, że jeśli wyjmiemy Mikołaja z Kuzy (który z duchem *Odrodzenia* nie ma nic wspólnego) i Galileusza (który żyje u schyłku *Odrodzenia*), ludzie *Odrodzenia* nie są, jak słusznie stwierdził Kristeller, ani dobrymi, ani złymi filozofami, ale w ogóle filozofami nie są. Są często znakomitymi pisarzami, uczonymi, znawcami tekstów starożytnych, umieją kpić, dowcipkować, tworzyć arcydzieła literackie, ale z filozofią mają niewiele wspólnego. Przeciwwstawianie ich myślicielom Średniowiecza jest więc czystym zabobonem.

4. Inny zabobon to wierzenie, że *Odrodzenie* stanowi gwałtowną rewolucję, całkowite zerwanie z przeszłością. Prawdą jest, że zachodzą w czasie owych wieków głębokie przemiany, ale są one wszystkie organicznie związane z przeszłością i można w każdym wypadku wskazać, gdzie się w łonie Średniowiecza zrodziły. Idzie to tak daleko, że jeden z najlepszych znawców *Odrodzenia*, Huyzinga, mógł je nazwać „jesienią Średniowiecza”.

5. Wreszcie zabobonem jest twierdzenie, że ludzie *Odrodzenia* są wszyscy, albo przynajmniej w większości protestantami z ducha, monoistami, ateistami albo racjonalistami. Prawda jest odwrotna: przytłaczająca większość wybitnych ludzi *Odrodzenia*, a w filozofii niemal wszyscy, od Leonarda poprzez Ficyna do Galileusza i Campanelli, byli katolikami, często gorliwymi wyznawcami i obrońcami katolickiej wiary, jak np. Marsiglio Ficino, który oksiężył się w 40-tym roku życia i jest twórcą nowożytnej apologetyki katolickiej.

Patrz: filozofia nowożytna, scholastyka.

**OŚWIECENIE.** Ruch kulturowy mający na celu zastąpienie autorytetu religijnego względnie politycznego przez tzw. rozum\*. Istotna dla *Oświecenia* jest wiara w konieczny postęp\* ludzkości\* ku „światłu” i wszelkiemu dobru, a to dzięki wszystko wyjaśniającej nauce\*. Łączy się z tym racjonalizm\*, przekonanie, że nie ma zagadnień niedostępnych dla nauki, że ona i ona sama jest dobroczynną siłą, warunkującą postęp ludzkości. *Oświecenie*, które było podstawową wiarą inteligentów europejskich XIX wieku, jest dziś uważane przez ludzi kulturalnych za zabobon, jako że 1. nic nie jest mniej pewne niż rzekomy postęp ludzkości, 2. pewnym jest natomiast, że wiele dziedzin jest dla nauki niedostępnych 3. sama nauka, zamiast obiecane go postępu, przyniosła często nieszczęścia (bomba nuklearna). Ale ten zabobon

jest ciągle rozpowszechniony w zacofanych masach i jest w dodatku szerzony przez partie komunistyczne całego świata — pozostaje więc groźnym zabobonem.

Różnica między *Oświeceniem* a pozytywizmem\* polega na tym, że *Oświecenie* uznaje także rolę filozofii, podczas gdy pozytywizm utożsamia tzw. rozum z metodą nauk przyrodniczych, a więc zawiera scjentyzm\*.

Przyczyny powstania *Oświecenia*, a zwłaszcza jego składnika, wiary w postęp, nie są jeszcze całkowicie wyjaśnione. Pewną rolę odegrało jednak niewątpliwie nadużywanie autorytetu, zwłaszcza ze strony przedstawicieli religii, którzy zaczęli wyrokować o sprawach należących do dziedziny nauki, choć przedmiotem religii są sprawy pozaświatowe (egzystencjalne, metafizyczne itd.). Tym tłumaczy się po części wrogie stanowisko *Oświecenia* wobec religii\*.

Patrz: postęp, racjonalizm, scjentyzm.

**PACYFIZM.** W zasadzie tyle co przekonanie, że pokój jest stanem godnym pożądania i że należy do niego dążyć. Ale w praktyce *pacyfizm* przejawia się zwykle w postaci dwóch zabobonów: 1. że można osiągnąć pokój rozbrajając narody pokojowe i 2. że żadna wojna nie jest moralnie dopuszczalna. Doświadczenie uczy, niestety, że rozbrajanie narodów pokojowych prowadzi do opanowania ich przez inne, wojownicze, a te z kolei zaczynają toczyć wojny z podobnymi do siebie drapieżnikami. Skądinąd twierdzenie, że każda wojna jest niesprawiedliwa nie wytrzymuje krytyki, są bowiem okoliczności, w których — zgodnie z normalnym wyczuciem — istnieje oczywisty obowiązek bronięcia orężem praw innych, powierzonych naszej opiece.

Następujący, zmyślony przykład unaocznia tę prawdę. Do farmera na Dzikim Zachodzie przychodzi sąsiad i oddaje mu pod opiekę 6-letnią córeczkę, bo jedzie do miasta, a czasy są — powiada — niespokojne. Nasz farmer wyczyścił właśnie swój rewolwer i nabił go. Dziewczynka bawi się koło drzwi, kiedy wchodzi bandyta i podnosi pałkę, aby roztrzaskać główkę dziecka. Pytanie: czy wolno naszemu farmerowi strzelić? Odpowiedź ze stanowiska zdrowego rozsądku brzmi: oczywiście nie tylko wolno mu strzelić, ale nawet, jeśli nie strzeli, zasługuje na naszą pogardę: jego świętym obowiązkiem jest bronić życia powierzonego mu dziecka. Otóż w wojnie obronnej chodzi bardzo często

— jak ostatnio podczas drugiej wojny światowej — po prostu o życie naszych współobywateli. Stąd jest prawdą oczywistą, że walka zbrojna w obronie grupy społecznej może być nie tylko dozwolona, ale i nakazana moralnie. Piłsudski pisał w 1908 roku: „Chcąc zwyciężyć, a bez walki, i to bez walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, a wprost bydłkiem, okładanym kijem czy nahajką”.

Podłożem *pacyfizmu* jest sentymentalizm: byłoby tak ładnie, gdybyśmy mogli uniknąć wojen. Wojna jest rzeczą nieładną, straszłą. Miesza się te oceny estetyczne z moralnymi, zapominając, że nieraz rzeczy niepiękne są przecież dobre i nakazane (np. operacje). *Pacyfizm* zasługuje więc w pełni na nazwę zabobonu i to mimo szlachetności niektórych jego wyznawców, niektórych, bo *pacyfizm* jest bardzo często używany przez przyszłych najeźdźców do moralnego rozbijania ich ofiar.

**PAŃSTWO.** Organizacja roszcząca sobie prawo do monopolu fizycznego przymusu, gwałtu. Poszczególni ludzie nie mają prawa odbierać innym dużej części ich dochodów, a nawet majątku, przepisywać po której stronie szosy mają jeździć, wydawać przepisów o tym, jak mają się zachowywać, a w razie gdy nie słuchają zakuwać ich w kajdanki i więzić. Gdy to czynią, są nazywani przestępcami, względnie zbrodniarzami. Natomiast *państwo* rości sobie prawo do tego wszystkiego: nakłada podatki, wydaje przepisy, więzi itd. Inne organizacje społeczne (np. gminy) mogą mieć część tych uprawnień, ale tylko o tyle, o ile *państwo* im na to pozwoli, tj. o ile im wydeleguje część swojego monopolu.

Z *państwem* związane są dwa zabobony. Pierwszy, obecnie najgroźniejszy, to ubóstwianie *państwa*, pojmowanie go na kształt bóstwa, któremu wszystko wolno, a wobec którego jednostka i inne organizacje nie mają żadnych praw. Jest to oczywisty zabobon, nie mający żadnych podstaw i wynikający bodaj z innego zabobonu, przyznającego społeczeństwu\* jedyną pełną rzeczywistość. Ale ten sam zabobon ma jeszcze inne oparcie, a mianowicie w interesach klasy urzędników\*. Bo *państwo* jest abstrakcją, a odpowiadająca jej konkretna rzeczywistość, to zespół urzędników, w których interesie leży naturalnie, by *państwo* — to jest oni sami — mieli jak największą władzę.

Drugi zabobon, przeciwny, głosi, że *państwo* nie tylko nie jest potrzebne ludziom, ale nawet jest szkodliwe i należałoby je



usunąć, aby ludzi uszczęśliwić. Jest to zabobon znany pod nazwą anarchizmu\*. Prawdą jest, że państwo jest ludziom potrzebne, ale że nie jest bożkiem, któremu wszystko powinno podlegać.

Patrz: społeczeństwo, urzędnik.

**PATRIOTYZM.** Miłość ojczyzny i rodaków bynajmniej nie jest zabobonem, ale cnotą godną pielęgnowania, podobnie jak miłość rodziny itd. Ale z *patriotyzmem* łączą się dwa wzajemnie przeciwne zabobony: jeden z nich przywiązuje do miłości ojczyzny zbyt wielką wagę i czyni z *patriotyzmu* nacjonalizm\*, a więc zabobon. Drugi, przeciwny mu, także miesza *patriotyzm* z nacjonalizmem a nawet z rasizmem i potępia go jako taki.

Jeśli chodzi o utożsamianie *patriotyzmu* z nacjonalizmem, wystarczy zauważyć, że kto kocha własny kraj, niekoniecznie musi tym samym ubóstwiać go ani pogardzać innymi krajami, a tym mniej ich nienawidzić. Nie musi też wcale uważać narodu\* za „najwyższe dobro”, tak jakby tego chciał nacjonalizm. Robić więc z *patriotyzmu* nacjonalizm jest zabobonem.

Znacznie groźniejszy jest drugi rozpowszechniony dziś zabobon. Wielu zwłaszcza tzw. lewicowców (wyrażenie którego sens bardzo trudno zrozumieć) przyznaje się do niego: każdy, kto ośmiela się twierdzić, że kocha swój kraj bardziej niż, powiedzmy, Ekwador czy Wietkong, jest oskarżany o „rasizm”. Tym bardziej każdy, kto zmuszony do wyboru, daje pierwszeństwo własnemu rodakowi przed obcym, uchodzi za rasistowskiego zbrodniarza, w rodzaju hitlerowców. Że to jest zabobonem, że każdy człowiek ma święte prawo dbać przede wszystkim o ludzi sobie bliskich, a to bez żadnej nawet myśli o wyższości tej czy innej rasy, czy narodowości, powinno być jasne.

Może następująca (prawdziwa) historyjka pomoże w zrozumieniu, o co chodzi. Jeden z moich przyjaciół, Jan, miał bardzo brzydką, zezującą matkę, która w dodatku była kleptomanką i raz już była aresztowana za kradzież. Kiedy go ktoś zapytał, a więc dlaczego ty ją tak kochasz, że stawiasz ją ponad wszystkich innych, Jan odpowiedział: dlaczego? — bo jest moją matką! Mniej więcej taki sam jest stosunek każdego uczciwego człowieka do swojej ojczyzny. Kto temu przeczy, jest ofiarą zabobonu.

Podłożem zabobonu jest zabobonna wiara w ludzkość\* i w równość\* ludzi.

Patrz: nacjonalizm.

**PEWNOŚĆ.** Mówimy, że ktoś jest czegoś pewny, kiedy nie może rozsądnie o tym czymś wątpić. Jestem np. w tej chwili pewny, że siedzę, że deszcz pada za moim oknem, że dwa i dwa to cztery i że jeśli deszcz pada, to nieprawdą jest, że nie pada. Istnieją dwa zabobony dotyczące *pewności*. Jeden z nich to sceptycyzm\*, zabobon polegający na twierdzeniu, że nikt nie jest nigdy niczego pewny, co jest nie tylko fałszem, ale nawet śmiesznym fałszem. Drugi zabobon, to żądanie, by człowiek szukał w każdej sprawie tzw. *pewności bezwzględnej*, to jest tej, która przysługuje np. prostym twierdzeniom matematycznym. Filozof francuski z okresu upadku, Kartezjusz, poszedł nawet dalej i szukał *pewności* jeszcze większej. Według niego taką *pewność* posiada tylko jego słynne *cogito*, zdanie „Myślę, więc jestem” (naprawdę to zdanie nie jest wcale pewniejsze od wspomnianych twierdzeń matematycznych).

Ten ostatni zabobon wynika z pomieszania dwóch różnych pojęć, a mianowicie pojęcia *pewności bezwzględnej* z pojęciem tzw. *pewności moralnej*, to jest z wysokim prawdopodobieństwem. W przytłaczającej większości wypadków osiągamy najwyższą ową *pewność moralną*, ale ona też najzupełniej wystarcza. Wbrew powszechnionym poglądom, teorie nauk przyrodniczych posiadają tylko tę względną. Nie jest np. bezwzględnie pewnym, że Ziemia obraca się wokół Słońca, ale przecież prawdopodobieństwo poglądu ks. kanonika Kopernika osiągnęło obecnie tak wysoki stopień, że podawać go w wątpliwość byłoby wysoce nierozsądnym. Podobnie nie mogę być bezwzględnie pewny, że w mojej zupie nie będzie dziś trucizny. Może kucharz zwariował albo powziął do mnie skrytą nienawiść (choć mnie nawet nie zna) i wlał do rosółu jakąś dioksynę czy inne paskudztwo. Czyż wynika z tego, że nie powinienem jeść zupy? Bynajmniej, bo w praktyce owa *pewność moralna*, że zupa nie jest zatruta i że Ziemia przecież się kręci wokół Słońca, wystarcza najzupełniej.

Inna rzecz, że w niektórych rzadkich wypadkach istnieje także *pewność bezwzględna*. Wielki logik polski, śp. Jan Łukasiewicz, pokazywał kiedyś autorowi przydługie twierdzenie logiczne, zaczynające się od bodaj czterestu liter i zapytany, czy jest prawdziwe, powiedział ze zdziwieniem: ono jest całkiem na pewno, bezwzględnie prawdziwe.

**POSTĘP.** Wierzenie w ciągły *postęp* ludzkości\* ku coraz wyższym, lepszym stanom, ku rajowi na ziemi, ku „światłu” i tym podobnym, jest jednym z najszkodliwszych zabobonów, jakie

odziedziczyliśmy po XIX wieku, i które jeszcze dzisiaj panują na wielkich obszarach, zwłaszcza w krajach zacofanych i socjalistycznych, gdzie jest narzucany przez partie komunistyczne. Jego treść jest mniej więcej następująca: człowiek jest w swojej istocie stworzeniem *postępowym*, to jest staje się, jako gatunek, coraz lepszy, coraz doskonalszy. Owo doskonalenie występuje we wszystkich dziedzinach. Na płaszczyźnie poglądu na świat człowiek przechodzi od zabobonu do nauki. W nauce idzie do coraz większej wiedzy, w technice opanowuje coraz lepiej świat. W moralności staje się coraz lepszy. W polityce wynajduje coraz doskonalsze formy rządów. W sztuce tworzy arcydzieła coraz doskonalsze. Tylko w religii\* nie ma *postępu*, bo ona jest zabobonem, który *postęp* skutecznie eliminuje. A skoro *postęp* daje tak wspaniałe wyniki, pierwszym i najświętszym obowiązkiem każdego zdrowego człowieka jest służenie *postępowi* ludzkości, któremu należy wszystko i wszystkich podporządkować.

Ten pogląd, bardzo rozpowszechniony w XIX wieku i jeszcze przed drugą wojną światową, jest dziś odrzucany przez przytłaczającą większość ludzi wykształconych w cywilizowanych krajach. Lepsze poznanie założeń wiary w *postęp* i doświadczenia przeżyte przez ludzkość w ciągu obecnego wieku wykazały jasno, że jest ona prostym zabobonem.

Zaczynając od pierwszej sprawy, wiara w *postęp* pochodząca z czasów Oświecenia\* (kiedy była jeszcze zupełnie bezpodstawna) otrzymała wsparcie ze strony teorii ewolucji Darwina oraz ze strony rozwoju nowoczesnych nauk przyrodniczych i techniki. Zoologia wykazała, że w świecie zwierzęcym występuje stały *postęp*. To twierdzenie przeniesiono na dzieje ludzkości. Tak jak ssaki były w świecie zwierzęcym *postępem* w stosunku do ptaków, podobnie człowiek nowoczesny jest *postępem* w porównaniu do starożytnego i średniowiecznego. Ale to przeniesienie kategorii biologicznych na naszą historię jest najzupełniej bezpodstawne, choćby dlatego, że mamy w niej do czynienia z bardzo krótkim okresem. Naprawdę dobrze znamy tylko trzy tysiące lat, około stu pokoleń, a sto pokoleń stanowi zaledwie jednostkę w skali biologicznej ewolucji. Mówić o *postępie* w obrębie tej biologicznej sekundy jest zabobonem.

Zarazem lepsze poznanie dziejów kultury pozwoliło stwierdzić, że *postęp* w jej dziedzinie jest raczej wyjątkiem, że przejawia się tylko w stosunkowo krótkich okresach i tylko w niektórych składnikach kultury. Prawdą jest mianowicie, że mieliśmy, począwszy od XVII wieku, wspaniały rozwój nauk przyrodniczych i opartych na nich technologii. Zwłaszcza wyniki tych ostatnich są imponujące. Ale nie ma w dziejach, o ile wiadomo, żadnego

*postępu* moralnego w ludzkości. Dokładniej mówiąc, w ramach jednego okresu, jednej cywilizacji, mamy często *postęp*. Na przykład oczywisty jest *postęp* w starożytnym Egipcie od czasów panowania Hyksosów do XVIII dynastii. Ale po *postępie* moralnym następuje z reguły cofnięcie się. Aby zostać przy przykładzie Egiptu, stanowisko kobiety było w Nowym Państwie (XVI-XIV wiek przed Chrystusem) lepsze, niż jest obecnie w Szwajcarii. Otóż w tym samym Egipcie panuje dziś islam, według którego kobieta nie ma ponoć nawet duszy. Nazywać to *postępem* — wolne żarty. Skądinąd przeżyliśmy w XX wieku zbrodnie na olbrzymią skalę, w postaci masowych mordów dokonanych w okrutnych obozach niemieckich i rosyjskich — prawdziwe ludobójstwa, jakich od dawna przynajmniej w Europie nie znaliśmy. Mówić o stałym *postępie* moralnym ludzkości jest więc zabobonem.

Podobnie jest bodaj i z kilkoma innymi dziedzinami. Nie jest np. wcale oczywiste, by obecnie istniejące formy ustrojowe były o tyle lepsze od starożytnych, jak to się tak często sądzi. Faktem jest, że mniej więcej 4/5 krajów świata rządzonych jest przez mniej lub bardziej okrutnych kacyków, gorzej niż to czynili dawni faraonowie albo rzymscy cesarze. Coś podobnego można bodaj powiedzieć także o nauce czystej i sztuce. Jedno jest pewne: zaznaliśmy ostatnio — od mniej więcej XVII wieku — znacznego *postępu* w technikach. Tak np. wynaleziono nową technikę zapisywania melodii (stąd powstać mogły wielkie opery, oratoria itp., których dawniej nie było). Powstały nowe techniki w budownictwie (beton), umożliwiające nowe formy architektoniczne. Nawet w logice zastosowanie techniki formalistycznej pozwoliło na znaczny *postęp*. Ale kiedy się zapytamy, czy malarz nowoczesny, dlatego że dysponuje lepszymi technikami, jest lepszym malarzem niż Michał Anioł, albo Frege większym logikiem niż Diodoros z Kronos, odpowiedź brzmi, że nie wiemy. Nie jest w każdym razie oczywiste, by zaszedł pod tym względem — jeśli chodzi o rzeczy istotne — jakikolwiek *postęp*.

Wynika z tego, że twierdzenie o istnieniu stałego ogólnego *postępu* ludzkości jest 1. najzupełniej gołosłowne, 2. sprzeczne ze znanymi faktami. A że chodzi o sprawy należące do dziedziny nauki, o których chce się rozstrzygać *a priori*, mamy do czynienia z typowym zabobonem. Prawda, że pewien ograniczony *postęp* jest możliwy i u jednostek i w narodach. O taki *postęp* należy więc zabiegać. Ale powyżej opisane „postępowe” stanowisko jest zabobonem.

Patrz: demokracja, historiozofia.

**POZYTYWIZM.** Zabobonna filozofia wynaleziona w czasach nowożytnych przez filozofa francuskiego A. Comte'a. Według niej tylko nauki „pozytywne”, tj. przyrodnicze, mogą nam dać odpowiedź na wszystkie pytania, jakie można sobie rozsądnie stawiać. Wszystko inne jest zabobonem. W nowszej postaci (neo-pozytywizm) wszystko inne jest bezsensownością, tj. bełkotem\*. Pozytywizm łączy się zwykle także z wierzeniem, że tylko poznanie zmysłowe ma jakąkolwiek wartość (Comte przeczy nawet nauko-wości psychologii). Jak słusznie zauważył N. Hartmann, filozofię tę należałoby nazwać nie *pozytywizmem*, ale *negatywizmem*, jako że jej istotą jest negacja wszelkiego innego poznania ludzkiego. Postęp, który był nadzwyczaj rozpowszechniony w XIX wieku, jest nim jeszcze w niektórych kołach naukowców, ale ostatnio stracił na znaczeniu pod wpływem jeszcze radykalniejszego zabobonu, mianowicie sceptycyzmu\*.

Że pozytywizm jest zabobonem wynika z prostego faktu, iż metoda nauk przyrodniczych nie nadaje się w ogóle do rozwiązania wielu zagadnień. Takimi są np. zagadnienia moralne, jako że nauki mogą mówić tylko o tym co *jest*, a nie o tym co *ma być*. Podobnie nie są dostępne metodzie nauk przyrodniczych zagadnienia ściśle filozoficzne. Na przykład psycholog-przyrodnik może wprawdzie odpowiedzieć na pytanie, jaki jest przebieg i wzajemna zależność zjawisk psychicznych u człowieka, ale nie na pytanie, czym jest dusza\*, czy jest czy nie jest rzeczą itp. Naukowiec nie może też, jako taki, nawet zdać sprawy z wartości logicznej jego własnej metody — np. odpowiedzieć na pytanie, czy nauki przyrodnicze mogą osiągnąć jakąkolwiek pewność\*, albo przynajmniej stopień prawdopodobieństwa — te zagadnienia przekraczają granice i możliwości nauk szczegółowych i należą do dziedziny filozofii. Wreszcie niepodobna za pomocą metody przyrodniczej odpowiedzieć na pytania egzystencjalne\*, bo ta metoda nadaje się wyłącznie do badania zjawisk wewnątrzświatowych, podczas gdy problemy egzystencjalne leżą, że się tak wyrazimy, na kraju świata, nie w świecie.

Zwolennicy *pozytywizmu* odpowiadają, że te pytania nie mają sensu, że należą więc wyłącznie do dziedziny uczuć i tym podobnych. Ale to jest dziwnie zabobonne i najzupełniej gołosłowne twierdzenie. Dlaczegoż byśmy nie mogli pytać się na serio, czy metoda nauk przyrodniczych daje pewność czy nie? Dlaczegoż zagadnienia stosunku duszy do ciała miałyby być zakazane? Na to obrońcy *pozytywizmu* nie mają żadnej odpowiedzi. Wydali dekret, że tak ma być, a nie inaczej. Ale taki dekret jest właśnie zabobonem.

Powody powodzenia pozytywizmu są rozliczne. Najważniej-

szym jest bodaj urok, jaki wywierały na ludzi w XIX i jeszcze w XX wieku, przed drugą wojną światową wielkie wyniki nauk przyrodniczych i opartej na nich techniki. Od stwierdzenia znakomitości tych wyników do zabobonu głoszącego, że tylko metoda nauk przyrodniczych jest człowiekowi dostępna, był tylko jeden krok. Inną przyczyną *pozytywizmu* był światopogląd Oświecenia\*. Wreszcie wypada przyznać, że wiele zawinił pod tym względem filozofowie syntetyczni\*, którzy, poczynawszy od XVI wieku, uprawiali nienaukową filozofię. Wielu ludziom wydawało się wówczas (m.in. na skutek zupełnej nieznajomości dawniejszej filozofii), że mamy wybór tylko między bajaniami tych filozofów a *pozytywizmem*. W rzeczywistości istnieje jednak obok nauk przyrodniczych i obok zabobonnej filozofii syntetycznej filozofia naukowa, zwana dzisiaj analityczną. W jej świetle *pozytywizm* jest zabobonem.

Patrz: filozofia syntetyczna, nauka, Oświecenie, pewność, racjonalizm.

**PRAWDA WZGLĘDNA.** Twierdzenie, że każda prawda jest względna, tak jak mówienie o „mojej prawdzie” itp., jest zabobonem. W rzeczywistości żadna prawda nie jest względna, a mowa o „mojej” prawdzie jest bełkotem\*. Mówimy bowiem, że dane zdanie jest *prawdziwe* dokładnie wtedy, kiedy to, co ono znaczy, jest tak, jak ono znaczy. Np. zdanie „grzmi teraz w Krakowie” posiada *prawdę*, jest *prawdziwe*, dokładnie o tyle, o ile w Krakowie rzeczywiście teraz grzmi. Jest *prawdziwe* względnie fałszywe całkiem niezależnie od tego, co ja, albo ktośkolwiek inny, o owym grzmocie w Krakowie wie i sądzi.

Ten zabobon jest wynikiem pomieszania dwóch całkiem różnych rzeczy, z jednej strony *prawdy*, z drugiej naszej *wiedzy* o tej *prawdzie*. Jest bowiem tak, że ludzka wiedza o *prawdziwości* zdań jest zawsze ludzka, to jest zależna od ludzkich podmiotów, jest więc — w tym słowa znaczeniu — zawsze względna. Natomiast sama *prawda* zdania nie ma z tą wiedzą nic wspólnego: zdanie jest prawdziwe albo fałszywe całkiem niezależnie od tego, czy ktoś tę prawdziwość względnie fałszywość zna czy nie zna.

W naszym przykładzie, zakładając, że w tej chwili rzeczywiście grzmi w Krakowie, może doskonale się zdarzyć, że jeden człowiek, np. Jan, wie, że tak jest, a inny, np. Karol, nie wie i sądzi nawet, że nie grzmi teraz w Krakowie. Wówczas Jan wie, że odnośne zdanie — „grzmi teraz w Krakowie” — jest prawdziwe, a Karol tego nie wie. Ich wiedza jest więc, jak po-

wiedziano, zależna od tego, czyją jest wiedzą: inaczej mówiąc, jest względna. Ale prawdziwość czy fałszywość zdania nie jest od tego zależna. Nawet gdyby nikt nie wiedział, że grzmi teraz w Krakowie, to gdyby tak rzeczywiście było, nasze zdanie byłoby bezwzględnie prawdziwe, niezależnie od tego, co Jan i Karol o nim wiedzą. Nawet takie zdania jak „liczba gwiazd w drodze mlecznej jest podzielna przez 17”, o których nikt nie wie, czy są prawdziwe, są prawdziwe albo fałszywe.

Mowa o „względnej” albo „mojej” *prawdzie* jest więc bełkotem\* w ścisłym tego słowa znaczeniu, podobnie jak bełkotem jest powiedzenie „Wisła płynie względnie przez Polskę”. Aby uniknąć bełkotu, wyznawca tego zabobonu musi przyjąć, że *prawdy* dostępnej dla nas nie ma, a więc przyjąć stanowisko sceptycyzmu\*, który jest innym zabobonem.

Do tej samej „względności” dadzą się sprowadzić inne rzekome pojęcia *prawdy*, np. pojęcie pragmatyczne, dialektyczne i tym podobne. Wszystkie te zabobony powołują się na pewne trudności techniczne, w zasadzie jednak wynikają ze sceptycznej postawy człowieka, który wątpi w możliwość poznania czegokolwiek. Owe trudności techniczne są pozorne. Na przykład mówi się, że powiedzenie „grzmi teraz w Krakowie” może być prawdziwe dziś, ale będzie fałszywe jutro, kiedy w Krakowie nie będzie grzmiało. Mówi się także, że np. zdanie „pada” jest prawdziwe we Fryburgu, ale fałszywe w Tarnowie, kiedy pada w pierwszym mieście, a słońce świeci w drugim.

Są to jednak nieporozumienia: wystarczy wspomniane zdania uściślić, powiedzieć np., że przez „teraz” rozumiemy 1 lipca 1987 roku, godzinę 10 i 15 minut wieczorem, aby usunąć ową rzekomą względność.

Prawda jest bezwzględna, albo jej nie ma. Twierdzenie, że jej nie ma jest zabobonem.

Patrz: relatywizm, sceptycyzm.

**PROLETARIAT.** *Proletariat* jest literalnie klasą ludzi, którzy nie posiadają niczego prócz dzieci (łacińskie *proles*). W czasach Marksa *proletariat* przemysłowy był rzeczywiście wielką klasą nędzarzy. Obecnie *proletariusze* stanowią tylko niewielki odsetek ludności. Z pojęciem *proletariatu* związanych jest w marksizmie\* kilka zabobonów.

1. Twierdzi się, że *proletariat* jest klasą robotniczą. Ale

równocześnie zalicza się do *proletariatu* urzędników w krajach socjalistycznych. Zarazem twierdzenie, że *proletariusze* są ludźmi, którzy niczego nie posiadają i stają się coraz nędzniejsi, jest oczywistym fałszem: większość robotników w krajach uprzemysłowionych cieszy się stale rosnącym dobrobytem.

2. Zgodnie z innym zabobonem marksistowskim, *proletariat* jest „klasą postępową”, nosicielem nadziei ludzkości, jest znacznie szlachetniejszy od innych, lepiej rozumie dzieje itd., itd. Wszystko to są zabobony. Badania doświadczalne wykazały, że do *proletariatu* należy zastosować wszystko to, co wiemy o ludzie\*. Wiara w jego wyższość jest zabobonem.

3. Wreszcie zabobonem jest twierdzenie, że partia komunistyczna jest partią *proletariatu*. W rzeczywistości ta partia była niemal zawsze prowadzona, a nieraz w większości złożona z intelektualistów\*, tj. ludzi, którzy nigdy robotnikami nie byli. Stąd w wielu krajach autentyczni robotnicy buntowali się nieraz przeciw rzekomym rządóm *proletariatu*, które w rzeczywistości były i są rządami grupy intelektualistów\* i urzędników\*.

Patrz: intelektualista, marksizm, urzędnik.

**PSYCHOANALIZA.** Freud, twórca *psychoanalizy*, ma wielkie zasługi w zwalczaniu dwóch niebezpiecznych zabobonów: materializmu\*, przeczącego istnieniu duszy\* i pozytywizmu\*, odmawiającego psychologom prawa do mówienia o przedmiotach leżących poza doświadczeniem (tzw. pojęciach teoretycznych). *Psychoanaliza* okazywała się także nieraz, w rękach dobrych znawców, pożyteczną metodą terapeutyczną. Ale i sam Freud i zwłaszcza jego następcy zrobili z *psychoanalizy* coś w rodzaju wszystko ogarniającego światopoglądu: chodzi przy tym przede wszystkim o dwa oczywiste błędy. Z jednej strony *psychoanaliza* postępuje tak, jak gdyby człowiek był tylko duszą, jak gdyby nie miał ciała i to ciało nie było istotnym składnikiem jego istoty, co jest nie tylko błędem, ale i zabobonem. Z drugiej strony w samej psychice człowieka Freud i jego następcy usiłowali wszystko sprowadzić do jednej grupy przeżyć względnie motywów, Freud do płciowych, Adler do społecznych itd. Zarazem samo uważanie *psychoanalizy* za „światopogląd naukowy” jest dalszym zabobonem, bo takiego światopoglądu nie ma i być nie może.

Patrz: dusza, pozytywizm, światopogląd.



**PSYCHOLOGIZM.** Zabobon polegający na sprowadzaniu logiki\*, a nieraz także innych nauk, do psychologii. Zgodnie z nim, przedmiotami tych nauk są zjawiska zachodzące w psychice ludzkiej. Tak więc matematyk bada nie liczby, ale wyobrażenia liczb w swojej głowie. Dwaj zoolodzy, dyskutujący o właściwościach krokodyli, mówią nie o tych bydlętach, ale o wyobrażeniach krokodyli w ich głowach itd. Podłożem *psychologizmu* jest ślepotą na istnienie bytów\* idealnych, jakimi są np. liczby.

*Psychologizm*, bardzo rozpowszechniony pod koniec XIX wieku, został przewyżczony przez większość filozofów XX stulecia (Frege, Moore, Husserl).

Patrz: logika.

**RACJONALIZM.** Wypada rozróżnić co najmniej dwa znaczenia nazwy *racjonalizm*, szerokie i węższe, oświeceniowe. *Racjonalizm* w szerokim słowa znaczeniu nie jest zabobonem; jest nim nawet jego przeciwieństwo, irracjonalizm\*. Tak rozumiany *racjonalizm* to po prostu postulat, żądanie, aby człowiek postępował zawsze rozsądnie, zarówno w wyborze zdań, które uznaje za prawdziwe jak i w decyzjach dotyczących jego działalności. A „rozsądnie” znaczy tu tyle co „spójnie”, „w sposób niesprzeczny” i zarazem w „sposób zgodny z przyjętymi w danej dziedzinie dyrektywami”. Mówimy więc, że człowiek, który chce się udać z Krakowa do Zurychu, postąpi *racjonalnie*, jeśli wybierze drogę na Wiedeń, a postąpiłby nieracjonalnie, nierozsądnie, gdyby jechał do Gdańska, bo ten ostatni wybór stoi w sprzeczności z jego celem.

Natomiast w węższym, oświeceniowym słowa znaczeniu, *racjonalizm* jest zabobonem. Polega bowiem na twierdzeniu, że rozum\*, tj. doświadczenie i wnioskowanie wystarczają, aby znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania, jakie człowiek może sobie postawić. W tym znaczeniu *racjonalizm* odrzuca zarówno autorytet\*, jak i wiarę\*. Ze taki racjonalizm jest zabobonem, wynika z faktu, że tzw. rozum nie może sam dać odpowiedzi na pytania dotyczące moralności, na zagadnienia egzystencjalne, i że światopogląd *racjonalny* w tym znaczeniu słowa nie jest możliwy.

*Racjonalizm* w tym węższym znaczeniu jest składnikiem trzech innych zabobonów. Połączony z wiarą w postęp\*, stanowi treść filozofii Oświecenia\*, gdy zacieśnia znaczenie nazwy „rozum” do metody nauk przyrodniczych, stanowi pozytywizm\*,

a ten połączony z wiarą w pewność\* wyników naukowych, staje się scjentyzmem\*.

Racjonalizm stracił obecnie wiele na znaczeniu, do tego stopnia, że przeciwny mu zabobon irracjonalizmu jest, zdaje się, znacznie bardziej wpływowy.

Patrz: autorytet, irracjonalizm, Oświecenie, pozytywizm, rozum, scjentyzm, wiara.

**RASIZM.** Istnieją dwa *rasistowskie* i dwa *antyrasistowskie* zabobony. Najbardziej znany to mniemanie, że nie tylko istnieją różne rasy ludzkie, wyższe i niższe (co jest prawdopodobnie faktem), ale także, że wiemy, która z nich jest wyższa, a która niższa (co jest głupstwem, bo niczego takiego nie wiemy). Inny zabobon, połączony z pierwszym, u Niemców w latach trzydziestych i następnych twierdził, że najlepsza jest rasa nordycka i że Niemcy są właśnie owymi nordykami. Tymczasem wiadomo, że odsetek nordyków wśród Niemców jest niewielki, a nawet niższy niż u Żydów polskich. Humorystyczny ale nader trafny wyraz zabobonności tego ostatniego wierzenia daje ukuty około roku 1935 dowcip: że doskonały Niemiec powinien być blondynem jak czarnowłosa Hitler, piękny jak notorycznie szpetny Goebbels, smukły jak otyły Göring i nazywać się jak teoretyk hitleryzmu Rosenberg.

Pierwszy zabobon przeciwny powyższemu to wierzenie, że nie ma ras ludzkich, albo że nie ma między nimi żadnej różnicy. Drugi nazywa *rasizmem* wszelką niechęć do cudzoziemców, nawet, kiedy należą do tej samej rasy co my, np. niechęć Szwajcarów do Włochów, a nawet wszelki patriotyzm\*.

Prawdą jest, że istnieją całkiem oczywiście różne rasy ludzkie, aczkolwiek nie te, które ludzie sobie często wyobrażają. Tak np. nie istnieje rasa biała, ale znamy kilka ras o białej skórze. Podobnie nie istnieje żadna rasa czarna i wśród ludzi o czarnym zabarwieniu skóry istnieją rasy należące do najpiękniejszych jakie znamy (niektórzy Zulusi), a obok nich rasy prawdziwie szpetne z estetycznego punktu widzenia. Ale z tego, że rasy ludzkie istnieją, nie wynika jeszcze wcale, abyśmy wiele o nich wiedzieli. Wiemy nawet tym mniej, że gorliwi zwolennicy *antyrasizmu* utrudnili, a nieraz nawet uniemożliwili po drugiej wojnie światowej wszelkie badania nad rasami ludzkimi. Nie wiemy nawet, jak *rasę* porządnie zdefiniować, podobno grupy krwi nie pokrywają się z grupami morfologicznymi. Tym mniej wiemy, która

rasa jest wyższa, a która niższa. Pewnym jest natomiast, że różne twierdzenia *rasistów* są czystym zabobonem. Tak np. opowiadania o jakiejś „rasie żydowskiej”, której w ogóle nie ma; jak wykazały przedwojenne badania polskich antropologów. Innym zabobonem jest np. wierzenie, że Polacy i Niemcy należą do dwóch różnych ras, podczas gdy znaczny odsetek Niemców nosi polskie nazwiska (dwaj przywódcy rewanżystów niemieckich nazywają się Hupka i Czaja) i odwrotnie, wielu Polaków niemieckie.

Mimo to Niemcy dali się, w latach trzydziestych, tak dalece uwieść tym zabobonom, że w ich imieniu popełnili mordy na milionach ludzi: Żydach, ale także Polakach, Cyganach i innych. *Rasizm* jest też dobrym przykładem tego, co może z zabobonu wynikać, jeśli się go na czas nie zwalczy.

Obecnie *rasizm* panuje wprawdzie w niektórych krajach zafocanych (zwłaszcza afrykańskich), ale gdzie indziej stracił popularność. Szerzą się za to dwa *antyrasistowskie* zabobony: przeczenie, by *rasy* ludzkie istniały i utożsamianie ksenofobii (niechęci do cudzoziemców) a nawet patriotyzmu z *rasizmem*. Doszło do tego, że każdy kto ośmiela się mówić, że woli rodaka od obcego, jest nazywany *rasistą* i potępiany jako taki. Że chodzi o zabobon, powinno być jasne.

*Rasizm* jest znamienym zabobonem także dlatego, że bardzo trudno odkryć jakąś realną potrzebę, która stanowiłaby jego podłoże, jak to jest zwykle z innymi zabobonami. Wydaje się, że *rasizm* jest tworem literatów i polityków, którzy go wymyślili jako podporę dla swojego nacjonalizmu\*, i że poza nim stoi zawsze zabobon nacjonalistyczny. Natomiast podłoże antyrasistowskich zabobonów jest jasne: jest nim mianowicie zabobon humanistyczny\*, według którego człowiek byłby tak dalece różny od zwierząt, że nie podlegałby prawom przyrody.

**Patrz:** humanizm, nacjonalizm, patriotyzm, równość.

**REINKARNACJA.** Zawleczony z Indii zabobon, według którego dusza\* człowieka po jego śmierci wciela się w różne zwierzęta, innych ludzi itd. To wierzenie zakłada, że dusza jest rzeczą, jakimś kawałkiem, podobnym do kawałka drewna, które może przechodzić z jednego ludzkiego ciała do innego. Naprawdę jest tak, że dusza nie jest rzeczą, nie jest kawałkiem, ale po prostu jedną z treści danego ciała, że więc będąc *tą* duszą, należy

do *tego* ciała i do żadnego innego. Można sobie wprawdzie pomyśleć, że dusza istnieje nadal po śmierci człowieka (patrz nieśmiertelność\*), bo nie ma w tym sprzeczności, natomiast pojęcie duszy przechodzącej z jednego ciała do drugiego jest sprzeczne i zatem zabobonne. Jest rzeczą doprawdy kompromitującą, że tylu Europejczyków i Amerykanów pada ofiarą tego zabobonu. Według niedawnej ankiety *La Croix* 29 % Francuzów wierzy w *reinkarnację*.

Patrz: dusza, nieśmiertelność.

**RELATYWIZM.** Zabobon wyrażający się w powiedzeniu „wszystko jest względne (relatywne)”. Istotą *relatywizmu* jest uogólnienie teorii względności, dotyczącej zdań o ruchu ciał, na wszystkie zdania bez wyjątku. Teoria względności uczy m.in., że zdanie „A jest w ruchu” znaczy właściwie tyle co „A jest w ruchu z punktu widzenia C”. Na przykład zdanie „butelka na stole w wagonie restauracyjnym jest w ruchu” znaczy: w ruchu z punktu widzenia człowieka stojącego na stacji, ale nie z punktu widzenia pasażera siedzącego w wagonie restauracyjnym. *Relatywizm* uogólnia to twierdzenie i powiada, że każde zdanie mówiące że „A jest B” znaczy tyle co „A jest B z punktu widzenia/ ze stanowiska C”. Na przykład zdanie „Warszawa leży nad Wisłą” znaczy, ściśle mówiąc, tyle co „Warszawa leży nad Wisłą z punktu widzenia Karola”, ale być może nie leży z punktu widzenia Ludwika. Albo „Olga śpi”, znaczy tyle co „Olga śpi z punktu widzenia Małgorzaty”, ale być może „Olga nie śpi z punktu widzenia Natalii”.

Tak pojęty *relatywizm* jest zabobonem, jako że choć bardzo wiele zdań jest względnych, niektóre całkiem oczywiście nie są względne. W szczególności zdanie „prawda jest względna” jest bezwzględny fałszem, o ile w ogóle ma sens, bo zdanie P jest prawdziwe wtedy i tylko wtedy, kiedy to co P znaczy jest faktem, i to bez względu na ludzi, którzy o tym wiedzą albo nie wiedzą.

*Relatywizm* jest w gruncie rzeczy tylko wytworniejszą postacią sceptycyzmu\*. Powodem jego popularności jest rozkład społeczeństwa, utrata zaufania do zdrowego rozsądku i stąd przyjmowanie zabobonów z nim sprzecznych.

Patrz: prawda, sceptycyzm.

**RELIGIA.** Religii w ogóle, podobnie jak jarzyny, zdefiniować niepodobna. Na ogół nazywa się jednak w Europie *religiami* tzw. wielkie religie albo „religie książki”, tj. brahmanizm, buddyzm, mozaizm, chrześcijaństwo, islam. O tych i tylko tych *religiach* jest tutaj mowa. Z *religią* łączy się wiele zabobonów, których ofiarą padają zarówno ludzie wierzący, jak — i to znacznie częściej — niewierzący. Rzecz ciekawa, że podczas gdy często mówi się o zabobonach *religijnych* (co w pewnych okolicznościach jest samo zabobonem), rzadko kiedy ludzie zdają sobie sprawę, ile zabobonów szerzy się, gdy mowa o *religii*.

Aby zrozumieć charakter tych zabobonów, wypada przypomnieć przede wszystkim, że *religia* jest pod kilkoma względami nadzwyczaj złożonym zespołem zjawisk. I tak w każdej *religii* występują najpierw pewne sposoby zachowania (np. obrzędy), po drugie pewna mowa (mowa *religijna*, sakralna), po trzecie pewne typowe postawy uczuciowe („uczucia religijne”), wreszcie zespół pewnych poglądów (*credo*). Ten ostatni stanowi, jak się zdaje, ośrodek i podstawę całości zjawiska.

Skądinąd można i należy odróżnić w *religii* 1. pewną postawę wobec świętości (Boga itp.), tj. wobec wartości, zwanych numenalnymi; 2. pewną odpowiedź na zagadnienia egzystencjalne (o sens ludzkiego życia, śmierci i cierpienia itd.); 3. pewien kodeks przepisów (przykazań) moralnych; 4. pewien pogląd na świat, tj. zbiór twierdzeń wyjaśniających np. pochodzenie świata itp.

1. Najbardziej rozpowszechnionym zabobonem, jaki tutaj spotykamy — i to zarówno u wierzących jak i (zwłaszcza) u niewierzących — jest pomieszanie *religii* z magią\*. Że jest to zabobon, powinno być jasne, bo postawa *religijna* (poczucie zależności od numenu) jest przeciwieństwem postawy magicznej (która chciałaby Bóstwu rozkazywać). Jak to się dzieje, że ludzie nawet wysoko stojący pod względem religijnym popadają czasem w ten zabobon, trudno wytłumaczyć, ale podobne zjawiska obserwujemy (niestety) także u pewnych uczonych. Że to jest jednak zabobon, powinno być jasne.

2. Pokrewny, ale nie całkiem identyczny z pierwszym jest zabobon robiący z *religii* rodzaj techniki. Tak np. ludzie religijni stosują różne obrzędy, aby uniknąć pioruna. Ich obrzędy odgrywają mniej więcej taką samą rolę jak piorunochrony, są więc rodzajem zabobonnej techniki. Ten pogląd odpowiada co prawda rozpowszechnionej praktyce wielu wierzących, ale jest przecież sfałszowaniem istoty *religii*, która, jeśli jest autentyczna, polega przede wszystkim na osobistym stosunku zaufania do numenu.

Modlitwa autentycznie religijna kończy się zawsze słowami Chrystusa w Ogrójcu: „ale niech się Twoja wola dzieje, nie moja”.

3. Inne zabobony polegają na sprowadzaniu *religii* do jednego tylko z jej składników. Bardzo rozpowszechniony jest u przedstawicieli Oświecenia\* (a wskutek tego także u wyznawców marksizmu\*) zabobon, według którego *religia* byłaby po prostu zbiorem poglądów, twierdzeń, podczas gdy ona zawiera prócz nich także wiele innych składników. Dochodzi do tego inny jeszcze zabobon, a mianowicie wyobrażenie, że *twierdzenia religijne* są, podobnie jak *twierdzenia nauki*\*, sprawdzalne, że więc *religia* z nią konkuruje. Naprawdę żadne twierdzenie autentycznej *religii* nie jest naukowo sprawdzalne, bo chodzi bez wyjątku o sprawy egzystencjalne, moralne, albo pozaświatowe.

Sprowadzaniem *religii* do jednego z jej składników jest także emocjonalizm *religijny*, który twierdzi, że *religia* jest tylko zespołem uczuć. Jest to zabobon obrażający ludzi *religijnych*, jako że nie ma *religii* bez jakiegoś *credo*, to jest bez twierdzeń, żadna *religia* więc nie jest tylko zespołem uczuć.

4. Zabobonem jest także mniemanie, którego ofiarą padali często ludzie *religijni*, że *religia* i jej przedstawiciele mogą wypowiadać się o faktach należących do dziedziny nauki. Jest to zabobon. Jego odrzuceniu dał piękny wyraz Galileusz, kiedy pisał: „Pismo Święte uczy nas, jak się dostać do nieba, a nie jak niebo się obraca”. Ale zawierając także kodeks moralny, *religia* z natury rzeczy wypowiada się o tym, jakim powinno być zachowanie się ludzi, co nie jest zabobonem.

5. Teoria *religii* głoszona przez zwolenników marksizmu\* jest zbiorem kilku zabobonów. Zawiera najpierw drugi wyżej wspomniany zabobon (pojmowanie *religii* jako zespołu zdań i niczego więcej) a poza tym dwa własne twierdzenia, nie występujące gdzie indziej. 1. Marksisci twierdzą, że przyczyną *religii* jest strach przed siłami przyrody i społecznymi. Jest to o tyle prawdą, że kiedy trwoga, to do Boga, że jednym z motywów nawrócenia bywa strach. Ale w bardzo wielu innych wypadkach motywy są całkiem inne. Chodzi przede wszystkim o to, że *religia* daje odpowiedź nie na zagadnienia wewnątrzświatowe, ale egzystencjalne (sens życia, śmierci itd.); poza tym w każdej wyższej *religii* motywem dominującym nie jest obawa, ale jej przeciwieństwo, zaufanie do Stwórcy itp. 2. Marksisci mniemają dalej, że *religia* jest „nadbudową społeczeństwa wyzysku”, „opium dla ludu”, tak że z usunięciem tego wyzysku *religia* powinna zniknąć. I to jest zabobonem. *Religia* bynajmniej nie znikła w krajach, gdzie według marksistów nie ma wyzysku (np. w

Polsce). Sama teoria jest zresztą niezmiernie jednostronną interpretacją potrzeb człowieka i samej *religii*, interpretacją wynikającą z ekonomizmu\* marksistowskiego.

Patrz: egzystencjalne zagadnienia, ekonomizm, marksizm. Oświecenie, światopogląd.

**REWOLUCJA.** Dosłownie tyle co przewrót, ale *rewolucja* oznacza nie każdy przewrót, lecz tylko przewrót zbrojny, mający na celu zdobycie władzy. Z tej dziedziny przeniesiono słowo do innych i mówi się np. o *rewolucji* w fizyce czy w sporcie. *Rewolucja* może być nieraz nie tylko moralnie dozwolona, ale i obowiązkiem, a mianowicie gdy się ją prowadzi przeciw uzurpatorowi, który bezprawnie władzę zagarnął, albo przeciw tyranowi, który ją niesprawiedliwie wykonuje. Jest jednak zabobonem wieczenie, że postęp w społeczeństwie możliwy jest tylko przez *rewolucję*. Naprawdę jest tak, że *rewolucja* jest niemal zawsze bardzo kosztowna pod każdym względem, powoduje ogrom ludzkiego cierpienia i zniszczeń; kto więc chce ich uniknąć, powinien *rewolucji*, o ile można, unikać. Wiara w nią jako jedyny motor postępu jest zabobonem.

**RÓWNOŚĆ.** Ludzie są oczywiście nierówni: jedni są młodzi, inni starzy, jedni silni, inni słabi, mądry i głupi, szlachetni, zbrodniczy i tak dalej. Mało jest więc zabobonów tak idiotycznych jak wiara, że ludzie są równi. Jeśli ten zabobon mógł się tak rozpowszechnić, to głównie z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że przyjęcie fikcji, jakoby ludzie byli *równi*, okazało się pożyteczne jako podstawa demokracji\*, a także jako zasada prawa (*równość* wobec prawa). Ale każdy przytomny człowiek wie, że to jest tylko pożyteczna fikcja i nic więcej, że *równość* ludzi jest zabobonem.

Związany jest z nim także inny zabobon, zwany nieraz „egalitaryzmem moralnym”, według którego mamy dokładnie takie same obowiązki względem wszystkich ludzi, inaczej mówiąc, wszyscy ludzie są pod tym względem *równi*. Jest to pogląd sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Mamy co prawda obowiązek pomóc każdemu człowiekowi bez wyjątku, gdy jest w potrzebie, i w tym znaczeniu można powiedzieć, że istnieje pewna *równość* między ludźmi. Ale kiedy nie możemy pomóc wszystkim, jest

rzeczą oczywistą, że im kto jest nam bliższy, tym większe prawo ma do naszej pomocy. Tak np. własne dzieci mają pierwszeństwo przed krewnymi, ci przed sąsiadami, sąsiedzi przed innymi rodakami, rodacy przed cudzoziemcami itd. Egalitaryzm moralny, który temu przeczy, a nawet twierdzi odwrotność, że im kto od nas dalszy, tym więcej ma prawa do naszej pomocy, jest zabobnem.

Patrz: altruizm, demokracja, elita, lud.

**ROZUM.** Nazwa *rozum* ma co najmniej trzy różne znaczenia. W pierwszym znaczy tyle co rozsądek i jest przeciwieństwem bezrozumu, głupstwa. W drugim *rozum* to tyle, co umiejętność wnioskowania, wyciągania wniosków. W tym drugim znaczeniu *rozum* jest przeciwieństwem bezpośredniego doświadczenia przedmiotu, intuicji. Wreszcie w trzecim (oświeceniowym\*) znaczeniu słowa „poznać za pomocą rozumu” to tyle, co „poznać za pomocą doświadczenia i opartego na nim wnioskowania”, z wykluczeniem autorytetu\* i wiary\*.

*Rozumu* w drugim znaczeniu dotyczy zabobon wymyślony przez Niemców, którzy mniej więcej od dwóch wieków (Kant) odróżniają dwa *rozumy*: jeden zwany *Verstand* i mający zastosowanie w naukach szczegółowych oraz w życiu codziennym, drugi, który zowią *Vernunft*, i który ma być *rozumem* w pełnym i głębokim słowa znaczeniu. Ten *rozum* ma za przedmiot całość świata itp, jest więc władzą typowo „filozoficzną”. Ten wymysł jest zabobnem: człowiek ma tylko jeden *rozum*, który stosuje w różnych dziedzinach i także w metafizyce. Ow rzekomo wyższy, filozoficzny *rozum*, *Vernunft*, jest wymysłem filozofów. Warto podkreślić, że inne języki nie posiadają wyrażen odpowiadających owemu zabobonnemu *rozumowi* Niemców, w każdym razie nie posiada go język angielski, francuski, włoski ani polski.

*Rozumu* w trzecim znaczeniu słowa dotyczy racjonalizm\* w oświeceniowym słowa znaczeniu, to jest twierdzenie, że *rozum* może dać odpowiedź na wszystkie możliwe pytania. Z tym zabobnem łączy się nieraz ubóstwianie *rozumu*. W czasie rewolucji francuskiej ustanowiono oficjalny kult *rozumu*, reprezentowanego przez aktorkę, stojącą na głównym ołtarzu katedry paryskiej Notre Dame (patrz: bałwochwalstwo\*). Zabobonny charakter tego wierzenia jest oczywisty.

Patrz: intuicja, Oświecenie, racjonalizm.



**SCEPTYCYZM.** Zabobon polegający na tym, że się we wszystko wątpi. Według *sceptycyzmu* nie ma zdań prawdziwych, albo przynajmniej nie wiemy o żadnym, czy jest prawdziwe. W mniej radykalnej postaci *sceptycyzm* twierdzi, że nie możemy nigdy z pewnością wiedzieć, czy jakieś zdanie jest prawdziwe. Swoje wątpienie stosują *sceptycy* nawet do praw logicznych, np. zasady niesprzeczności, która głosi, że to samo nie może równocześnie posiadać i nie posiadać jakiejś cechy.

*Sceptycyzm* można uważać bądź za rodzaj dyrektywy, programu czy strategii w poznaniu, bądź za teorię dotyczącą możliwości ludzkiego poznania. W obu wypadkach łatwo jest zrozumieć, że *sceptycyzm* jest dziwacznym nieporozumieniem i zabobonem. Bo jeśli się go uważa za dyrektywę czy strategię, to wolno zapytać, do czego ona może służyć? Można wprawdzie zalecać każdemu, aby nie brał za dobrą monetę każdego zdania, z którym się spotka, aby badał jego uzasadnienie itd., ale to wszystko może mieć na celu tylko zorientowanie się, które zdanie jest prawdziwe. Jeśli mamy bez końca wątpić, musi nastąpić paraliż woli i wszelka działalność ludzka musi ustać (Hume). Jeśli zacznę wątpić w istnienie drzwi, przez które mógłbym wyjść z pokoju, trudno będzie ode mnie wymagać abym z niego wyszedł. Jeśli mam wątpić w to czy krzesło, na którym zamierzam siadać się nie załamie, nie będę mógł na nim siąść. Jednym słowem *sceptycyzm* jako dyrektywa jest nie tylko najzupełniej nieużyteczny, ale nawet katastrofalnie szkodliwy. Mamy wszelkie podstawy, aby go odrzucić.

Jeśli natomiast uważa się *sceptycyzm* za teorię, to jego położenie nie jest wiele lepsze. Bo wolno *sceptyka* zapytać, jakże to się dzieje, że uważa najprostsze i najbardziej oczywiście prawdziwe zdania za wątpliwe, np. że ja w tej chwili siedzę, albo że dwa i dwa to cztery, a równocześnie z wielką pewnością siebie wygłasza twierdzenie dotyczące nadzwyczaj złożonych spraw, a mianowicie poznania ludzkiego. A jeśli *sceptyk* nie jest przekonany, że jego poglądy są prawdziwe, to dlaczego je głosi? *Sceptycyzm* jest zabobonem.

*Sceptycyzm* znajduje zawsze zwolenników w okresach rozkładu społecznego. Wówczas nie tylko więź społeczna ulega rozluźnieniu, ale równocześnie ludzie wyobcowani ze społeczeństwa tracą, że się tak wyrazimy, duchowy grunt pod nogami i popadają w rozpacz, jaką jest właśnie *sceptycyzm*. Natomiast gdy społeczeństwo jest zdrowe i twórcze, nie spotykamy w nim zwolenników tego zabobonu.

Patrz: pewność, prawda, relatywizm.

**SCHOLASTYKA.** Drugi okres filozofii średniowiecznej (XI-XVI wiek). Wyrazy *scholastyka* i *scholastyczny* bywają często używane przez niefachowców w pejoratywnym znaczeniu. Takie znaczenie nadał im wiek XVIII. Analogiczny odcień miała (wówczas) np. nazwa średniowiecznej sztuki gotyk. Powtarzanie kpin i fałszów głoszonych ongiś (nie tylko w XVIII wieku, ale przede wszystkim w czasie Odrodzenia) jest zabobonem świadczącym o ignorancji tego, kto go wyznaje. Zwolennicy tego zabobonu podają na przykład jako typowo *scholastyczną* subtelność pytanie „ile aniołów mieści się na główce szpilki?“, podczas gdy wszyscy *scholastycy* bez wyjątku uważali anioły za istoty ponad-przestrzenne i takie pytanie byłoby dla nich bez sensu.

Prawdą jest, że *scholastyka*, zwłaszcza jej szczytowy okres (wiek XIII), należy do najświetniejszych epok myśli filozoficznej. Świetnie rozwinęła się wówczas logika\*, ontologia, filozofia języka, filozofia człowieka (antropologia) i inne dyscypliny filozoficzne. Wybitny historyk filozofii twierdzi, że „nigdy filozofia, rozwijając się długo i konsekwentnie w jednym kierunku, nie doszła do tak zwartego i wykończonego systemu pojęć jak w scholastyce” (Tatarkiewicz). *Scholastyka* była zarazem filozofią naukową, w tym sensie, że była najzupełniej bezosobista, obiektywna i racjonalna.

Upadek *scholastyki* pod ciosami kpiących pisarzy Odrodzenia jest równoznaczny z początkiem zaiste ciemnego „średniego” okresu między dwiema żywymi epokami myśli: *scholastyczną* i współczesną. Większość dorobku zdobytego w starożytności i Średniowieczu została wówczas zapomniana i trzeba było doczekać się końca XIX wieku, aby filozofia mogła znowu nawiązać do *scholastycznej* tradycji.

Toteż używanie nazwy *scholastyczny* w tym znaczeniu jest zabobonem i jest za taki uważane przez wszystkich znawców przedmiotu.

Patrz: filozofia nowożytna, Odrodzenie, postęp.

**SCJENTYZM.** Zabobon wielce rozpowszechniony w XIX wieku i dziś jeszcze często wyznawany w krajach zacofanych, a polegający na połączeniu dwóch zabobonów: pozytywizmu\* i wierzenia w bezwzględną pewność\*, osiągalną w naukach przyrodniczych. W rzeczywistości zarówno pozytywizm, jak i wierze-

nie w bezwzględną pewność wyników nauk przyrodniczych są zabobonami. Jeśli chodzi o tzw. prawa (wyniki indukcji pierwszego stopnia) osiągamy w nich nieraz pewność moralną, tj. wysoki stopień prawdopodobieństwa. Ale wielkie teorie, które przedstawiają największy interes z punktu widzenia filozofii, nie są nigdy pewne nawet w tym słowa znaczeniu.

Współcześnie *scjentyzm* stracił wielu zwolenników i na ogół ludzie mają raczej skłonność do wpadania w zabobon przeciwny, a mianowicie w sceptycyzm\*. Niemniej niesiony przez partie komunistyczne i ludzi zacofanych, których nie brak jeszcze dzisiaj, *scjentyzm* jest nadal zabobonem niebezpiecznym.

Patrz: pewność, nauka, pozytywizm.

**SEKTY.** Wspólnoty religijne względnie parareligijne odznaczające się tym, że ich członkowie uważają przywódcę *sekt*, jej guru\* za bezwzględny autorytet\*, zarówno epistemiczny jak i deontyczny. *Sekty* mogą powstać zarówno wewnątrz wielkich wspólnot religijnych (Kościołów) jak i poza nimi, ale mają zawsze ten sam charakter: wypowiedzi guru są uważane za objawienia boskie, jego rozkazy za bezwzględnie obowiązujące w sumieniu itd. Jak daleko to iść może, świadczą liczne mordy i samobójstwa dokonane przez wyznawców sekt na rozkaz guru. *Sektciarstwo* jest więc niebezpiecznym zabobonem.

Patrz: guru, religia.

**SOCJALIZM.** Ruch zwalczający nie tylko kapitalizm\*, ale i prywatne przedsiębiorstwa, wskutek tego wspierający wszędzie, gdzie ma wpływy, potęgę biurokracji, tj. klasy urzędniczej na niekorzyść obywateli. Aczkolwiek więc nie wszyscy zwolennicy *socjalizmu* są również zwolennikami komunizmu w ciasnym (marksistowskim) słowa znaczeniu i wielu spośród nich przyznaje się do ideału demokratycznego\*, wolnościowego i praworządnego ustroju, to w praktyce *socjalizm* prowadzi wszędzie gdzie zapanował do wszechpotęgi urzędników i, co za tym idzie, do zubożenia obywateli i ograniczenia ich wolności. W tym znaczeniu słowa *socjalizm* jest więc zabobonem.

Swoje powodzenie zawdzięcza on połączeniu dwóch bardzo

silnych motywów: troski o biednych i upośledzonych oraz za-  
zdrości wobec bogatych i uprzywilejowanych.

W języku komunistycznym nazywa się *socjalistycznymi* pań-  
stwa rządzone przez partie komunistyczne, ale które nie osiągnęły  
jeszcze pełnego komunizmu\*. Różnica ma mianowicie polegać  
na tym, że w *socjalizmie* każdy otrzymuje swój udział w docho-  
dzie społecznym w miarę swojego wkładu, natomiast w komu-  
nizmie w miarę potrzeb. Powinno być jasnym, że ten użytek  
słowa *socjalizm* nie ma wiele wspólnego z normalnym, że może  
uchodzić za celowo szerzony zabobon.

**Patrz:** kapitalizm, komunizm, marksizm.

**SOLIPSYZM.** Skrajna i skrajnie zabobonna postać idealiz-  
mu\* teoriopoznawczego (podmiotowego). Zgodnie z nim istnieje  
tylko filozof przyznający się do *solipsyzmu* — wszyscy inni lu-  
dzie i rzeczy w świecie są tylko „ideami”, wyobrażeniami w jego  
umyśle. *Solipsyzm* jest jeszcze bardziej przeciwny zdrowemu  
rozsądkowi niż pospolity idealizm podmiotowy — jak gdyby  
łatwiej było przeczyć istnieniu rzeczy aniżeli istnieniu innych  
ludzi. Bertrand Russell, który był filozofem zdrowego rozsądku,  
opowiada, że dostał kiedyś od wybitnej logiczki McCallum list,  
w którym pisała mu: „Jestem solipsystką i jestem pewna, że  
wielu ludzi podziela moje poglądy”. „To powiedzenie, wycho-  
dzące spod pióra wybitnej logiczki, nieco mnie zdziwiło” — pisze  
Russell. Bo *solipsyzm* wygląda w rzeczy samej na sprzeczność:  
jeśli *solipsysta* nie wierzy w istnienie innych ludzi, to po co swój  
*solipsyzm* głosi?

**SPIRYTYZM.** Zabobonne wierzenie według którego dusze  
zmarłych posiadają rodzaj subtelного ciała, normalnie niewi-  
docznego dla żyjących, ale które może być „wywołane” na  
*seansach spirytystycznych*. W przeciwieństwie do niektórych zja-  
wisk parapsychicznych (np. podwójnego wzroku, lewitacji), które  
zdają się być stwierdzone naukowo, *spirytyzm* jest czystym zabo-  
bonem. Oczywistym powodem jego popularności jest pragnienie  
dowiedzenia się czegoś o bliskich zmarłych.

**Patrz:** dusza, nieśmiertelność.

**SPOŁECZEŃSTWO.** *Spółeczeństwo*, gromada względnie organizacja ludzka, ma zadziwiające cechy: z jednej strony wydaje się, że go w ogóle nie ma, bo na próżno szukamy w gromadzie ludzkiej czegoś, co by istniało poza poszczególnymi ludźmi, z drugiej strony jednak *spółeczeństwo* działa na nas i to nieraz bardzo silnie — odczuwamy czasem dotkliwie jego władzę nad jednostką ludzką. Stąd z pojęciem *spółeczeństwa* związane są dwa wzajemnie sobie przeciwne zabobony: nihilizm społeczny, czyli skrajny indywidualizm, i kolektywizm\*.

Według nihilizmu społecznego *spółeczeństwa* w ogóle nie ma. Gdy mówi się np., że państwo ściągą podatki, to ma się na myśli, że urzędnicy odpowiedzialni za skarb państwowy je pobierają. Gdy mówimy, że Francja wypowiedziała wojnę Niemcom, mamy na myśli, że prezydent republiki francuskiej to uczynił. *Spółeczeństwo* byłoby więc czystą fikcją, wygodnym sposobem wyrażania się i niczym innym.

Zabobon przeciwny, kolektywizm, zakłada że *spółeczeństwo* nie tylko jest rzeczywistością, ale że nawet posiada rzeczywistość pełniejszą, wyższą niż jednostki, z których się składa. Zgodnie z tym zabobonem ludzie byłiby tylko częściami — „momentami”, jak mówił Hegel — wielkiej całości, dokładnie tak, jak powiedzmy ręce i nogi są częścią ciała ludzkiego. Jako tacy ludzie są najzupełniej podporządkowani *spółeczeństwu*, istnieją dla niego i nie mogą posiadać żadnych praw.

Konsekwencją indywidualizmu jest właściwie anarchizm\* — bo jeśli *spółeczeństwa* w ogóle nie ma, jeśli jest fikcją, jakże mogłoby posiadać jakieś prawa? Co nie jest, nie pisze się w rejestr, powiada stare polskie przysłowie — a *spółeczeństwa* w tej teorii w ogóle nie ma. Natomiast konsekwencją kolektywizmu jest zabobon moralny, zupełnie podporządkowujący jednostkę *spółeczeństwu*. Prowadząc tę myśl dalej, dochodzi się do totalitaryzmu\*: jednostka jest tak dalece podległa *spółeczeństwu*, że może ono i powinno regulować wszystkie szczegóły jej życia.

Oba te wierzenia wynikają z kiepskiej ontologii — a mianowicie z założenia, że w świecie istnieją tylko rzeczy i nic innego, że więc nie ma w nim ani cech, ani relacji. Jeśli się ten pogląd przyjmie, ma się wybór między dwoma tylko zabobonami — żadne inne rozwiązanie problemu nie jest możliwe. Bo wówczas albo powiemy, że rzeczami są poszczególni ludzie — i wtedy *spółeczeństwo* będzie nicością, nie będzie go w ogóle, czyli przyjmujemy zabobon nihilistyczny, albo przeciwnie, powiemy, że jedyną rzeczą jest samo *spółeczeństwo* — z czego wyniknie, że jednostki właściwie nie istnieją, a więc i nie mają żadnych praw.

Prawda jest inna: rzeczywistość składa się nie tylko z rzeczy. Są w świecie obok nich także rzeczywiste cechy i rzeczywiste stosunki. Otóż jeśli tak jest, można zrozumieć, że *społeczeństwo* jest w tym przypadku czymś więcej niż sumą wszystkich jednostek, bo zawiera te jednostki, a obok nich także realne relacje, które je łączą między sobą i ze wspólnym celem społeczeństwa.

Ponieważ jednak oba wymienione tutaj zabobony — a zwłaszcza drugi, prowadzący prostą drogą do totalitaryzmu — stały się w dziejach powodem ogromu ludzkich cierpień i nieszczęść, wiadać tutaj, jak dalece zabobony czysto filozoficzne — na przykład owa fałszywa ontologia, na której w ostatecznej analizie opiera się zabobon totalitarny — mogą być i są niebezpieczne.

Patrz: kolektywizm, ludzkość, państwo.

**SPRAWDZALNOŚĆ.** Cecha zdań, od której zależy ich sensowność. *Zasada sprawdzalności* brzmi: zdanie ma sens wtedy i tylko wtedy, gdy istnieje metoda pozwalająca na jego sprawdzenie. Tak np. zdanie „moje okno jest teraz zamknięte” ma sens, bo dana jest razem z nim metoda sprawdzenia: mianowicie, jeśli spróbuję wyciągnąć rękę przez okno, napotkam na opór. Tak rozumiana *zasada sprawdzalności* jest analityczna i oczywista. Mówiąc „zdanie *p* ma sens”, mamy właśnie na myśli, że *p* jest sprawdzalne.

Ale wokół *sprawdzalności* narosło kilka zabobonów. Pierwszy, dziś bodaj już niepopularny, głosił, że sens zdania *jest* tym samym, co metoda jego sprawdzania. Że był to zabobon, wynika już z tego, że aby zdanie mogło być sprawdzalne, musi *już* mieć (uprzednio) jakiś sens — bełkotu\* nikt sprawdzić nie potrafi.

Ale podczas gdy ten zabobon rychło upadł, inny okazał się znacznie trwalszy — mianowicie wierzenie, że *sprawdzalność* potrzebna do sensowności zdania musi być *sprawdzalnością* *zmysłową* i *międzyosobową*. Zmysłową — musimy móc sprawdzić zdanie, o które chodzi wzrokiem, słuchem, dotykiem itd.; międzyosobową — przynajmniej dwoje ludzi musi być w stanie sprawdzić dane zdanie. Otóż tak pojęta *sprawdzalność* jest istotnie — pod warunkiem, aby ją rozumieć „z grubsza” — składnikiem metodologii nauk przyrodniczych, w których dopuszczalne są tylko zdania ustalone za pomocą obserwacji zmysłowej (a więc i międzyosobowej) oraz zdania uzasadnione z ich pomocą. Ale stosować ten postulat poza dziedziną nauk przyrodniczych jest zabobonem. Np. zdanie „ząb mnie boli” byłoby wtedy bezsensem,

to jest nikt nie mógłby go zrozumieć — podczas gdy rozumiemy je wszyscy.

Nawet jednak w dziedzinie przyrodniczej *zasada sprawdzalności* ciasno pojęta natrafia na znaczne trudności — jest więc raczej metodologicznym ideałem, niż ściśle wiążącym postulatem. Stosowanie jej poza naukami przyrodniczymi jest zabobonem.

**SPRZECZNOŚĆ.** *Sprzeczność* zachodzi między zdaniem a jego zaprzeczeniem — na przykład między „deszcz pada” i „deszcz nie pada”; wtórnie mówimy o sprzeczności między nazwą a tą samą nazwą poprzedzoną przez negację, na przykład między „biały” a „nie-biały”. Niemiecki filozof Hegel, słabo orientujący się w logice\* (do której *teoria sprzeczności* należy) pomieszał *sprzeczność* z przeciwieństwem. To ostatnie zachodzi nie między „biały” i „nie-biały”, ale np. między „biały” i „czarny”. Hegel wierzył zarazem w istnienie *sprzeczności* w świecie.

Jest to dziwaczny zabobon. Kto bowiem wygłasza *zdania sprzeczne*, ten bełkocze\*, niczego nie mówi. Można to wykazać w następujący sposób. Załóżmy, że ktoś się pyta: jakiego koloru jest ta krowa? Gdy ja mu mówię, że jest czerwona, moja mowa ma sens, a to dlatego, że mówiąc „ona jest czerwona”, wybieram z widma jedną barwę i tę barwę orzekam o krowie. Ale kiedy heglista powiada, że nasza krowa jest czerwona i równocześnie nie-czerwona, nie dokonuje żadnego wyboru. Tak dlatego, że „nie-czerwona” znaczy tyle co „posiadająca wszystkie barwy poza czerwoną”. Stąd „czerwona” i „nie-czerwona” znaczą całe widmo. Mówiący tak nie mówi *nic* — nie dokonuje żadnego wyboru. Jego mowa jest typowym bełkotem, bezsensem.

Heglowski zabobon został przejęty przez marksizm\*, którego zwolennicy stale mieszają np. przeciwieństwo dwóch klas ze *sprzecznością* rzekomo istniejącą między nimi i opowiadają historyjki o „*sprzecznościach* tkwiących w istocie rzeczy”, co jest bełkotem.

Patrz: logika, marksizm.

**ŚMIERĆ.** Nic dziwnego, że *śmierć*, wydarzenie tak ważne dla każdego człowieka, otoczona jest całą chmurą dziwnych zabobonów. Jedne z nich zostały zawleczone ze starożytności — tak na przykład niejeden zabobon staroegipski — inne natomiast są

wymysłem całkiem nowoczesnych filozofów, a mianowicie egzystencjalistów\*, z których niektórzy zasługują na nazwę *filozofów śmierci*.

Aby zacząć od tych ostatnich, wspomniani filozofowie zaczynają zwykle od odróżnienia strachu od trwogi. Strach ma być, powiadają, obawą przed *czymś*, na przykład przed złym psem — natomiast trwoga jest obawą przed nicością, zatem przed *niczym*. Dokonawszy tego rozróżnienia, oddają się z lubością opisowi owej trwogi: jak to grunt zdaje się usuwać zatruwionemu spod nóg, jak mdłości go ogarniają i tak dalej, i tak dalej. Już to jest zabobonem, w dodatku z kilku względów. Najpierw dlatego, że trwoga jest zjawiskiem dobrze znanym psychiatrom, a więc naukowcom wyspecjalizowanym w tej dziedzinie; filozofowie jako tacy nie mają nic do powiedzenia o niej. Rzecz zresztą uderzająca, że jedyny lekarz psychiatra między egzystencjalistami, Jaspers, nie padł ofiarą tego zabobonu: on wiedział, że chodzi o zjawisko chorobowe nie należące do dziedziny filozofii. — Po drugie chodzi o zabobon dlatego, że jeśli pominiemy stany chorobowe, obawa przed *śmiercią* nie różni się zasadniczo od innego strachu. — Po trzecie mamy do czynienia z zabobonem dlatego, że kto *śmierci* naprawdę zajrzał w oczy (jak większość ludzi z pokolenia piszącego te słowa) — ten wie, że w chwili gdy życie jest zagrożone, człowiek boi się przede wszystkim nie samej *śmierci*, ale ran, cierpienia itd.

Ale główny zabobon szerzony przez *filozofów śmierci* to przesadny nacisk położony na myśl o *śmierci*. Człowiek „autentyczny”, powiadają, powinien żyć stale z myślą o *śmierci*, w obliczu *śmierci*. Kto tak żyć nie potrafi, ten nie jest „autentycznym” człowiekiem, żyje w zakłamaniu. Że mamy do czynienia z zabobonem, powinno być jasne, jako że kto by chciał żyć według tych przykazań, doznałby paraliżu woli. Na próżno słyszymy u tych samych filozofów przydługie kazania o konieczności bohaterskiego czynu. Bo według ich nauki życie jest życiem dla *śmierci*, a *śmierć* odbiera życiu i wszystkiemu co czynimy wszelki sens, tym bardziej, że ci sami *filozofowie śmierci* przeczą równocześnie nieśmiertelności duszy\*. Owe nawoływania do czynu są mianowicie u nich najzupełniej gołosłowne. Dlaczegoż miałbym się wyteżać, pracować, walczyć, skoro to wszystko i tak nie ma sensu? Tutaj widać, że chodzi o naprawdę groźny zabobon, o rodzaj radykalnego sceptycyzmu\* praktycznego.

U jego podłoża leży podwójny błąd w analizie pojęcia sensu życia. *Filozofowie śmierci* twierdzą, że życie człowieka ma sens wtedy i tylko wtedy, gdy dąży do czegoś, i że stanowi jeden



jedyny łańcuch dążeń, wzajemnie sobie podporządkowanych. A że ten łańcuch jest przerwany przez *śmierć*, nic nie ma sensu. Otóż oba założenia są fałszywe: życie nie jest jednym szeregiem dążeń i celów, ale wiązką różnych łańcuszków. I to samo życie ma sens nie tylko, gdy człowiek do czegoś dąży, ale także gdy czegoś zażywa, np. słońca albo zadowolenia z dokonanego czynu.

bo Tyle o zabobonach szerzonych przez niektórych egzystencjalistów. Obok nich rozpowszechnione są nadal starożytne zabobony, niesione w wielkiej mierze przez sztukę, a w niektórych okresach (jak późne Średniowiecze) przez religię\*. Jednym z tych doprawdy kompromitujących wierzeń jest pojmowanie śmierci na kształt „kostuchy”, jakiejś straszliwej istoty, która na nas czyha. Każdy przytomny człowiek zapytany o to powie oczywiście, że w istnienie takiej „kostuchy” nie wierzy, ale jego zachowanie jest w przytłaczającej większości przypadków na tej wierze oparte. Otóż to jest zabobon: *śmierć* jest wydarzeniem, nie osobą i spotkać się ze *śmiercią* nie można, bo jak genialnie mówili starożytni epikurejczycy, kiedy jesteśmy, nie ma *śmierci*, a kiedy jest *śmierć*, nie ma nas.

(Druga część wywodów o śmierci, dotycząca pogrzebów, wywołała w rękopisie tak wielkie oburzenie zarówno pobożnych jak i bezbożnych Czytelników, że musiała zostać skreślona przez autocenzurę).

Patrz: aktywizm, dusza, nieśmiertelność.

**ŚWIATOPOGLĄD.** Wyrażenie *światopogląd*, utworzone na wzór niemieckiego *Weltanschauung*, jest mętne (jak większość niemieckich wyrażen filozoficznych) i ma kilka znaczeń. W jednym z nich, najbardziej zdaje się rozpowszechnionym, *światopogląd* to tyle co zespół zdań wyjaśniających całość doświadczenia danego człowieka, i to nie tylko doświadczenia faktów, ale także wartości. *Światopogląd* zawiera równocześnie odpowiedź na podstawowe pytania, jakie człowiek może sobie zadać: egzystencjalne, moralne i dotyczące świata jako całości. W tym znaczeniu mówimy np. o *światopoglądzie* chrześcijańskim, *światopoglądzie* Azteków, hitlerowskim itp. Zarówno religia\* jak ideologia\* zawierają *światopogląd*, ale obok niego także inne składniki. Podstawową cechą każdego *światopoglądu* jest jego podmiotowość, subiektywizm. Żaden *światopogląd* nie może być udowodniony, ale jest zawsze przyjęty aktem wiary\*.

*Światopoglądu* dotyczy kilka zabobonów. Najważniejszy spośród nich to mniemanie, że istnieje jakiś *światopogląd* „naukowy”, który został naukowo udowodniony. Ten zabobon był szeroko rozpowszechniony w czasach Oświecenia\*, a do dziś dnia panuje jeszcze w krajach zacofanych i opanowanych przez komunistów.

Innym zabobonem, przeciwnym pierwszemu w tej dziedzinie, jest wierzenie, że wszystko co człowiek wie ma ten sam charakter co *światopogląd*, że więc nic nie da się obiektywnie uzasadnić. Ten zabobon, ściśle związany ze sceptycyzmem\*, jest dziś bodaj jeszcze bardziej rozpowszechniony niż poprzedni. Swoją popularność zawdzięcza powodzeniu sceptycyzmu\*.

Patrz: ideologia, nauka, religia, rozum, sceptycyzm.

**TAJEMNICA.** W języku religijnym i pokrewnych nazywa się *tajemnicami* zdania dwojakiego rodzaju: takie, których nie potrafimy wytłumaczyć (zrozumieć, dlaczego jest tak, jak głosi *tajemnica*) i takie, które zawierają słowa niezrozumiałe. Podczas gdy *tajemnice* pierwszego rodzaju nie nasuwają trudności, z drugim rodzajem związany jest rozpowszechniony zabobon. Ten zabobon polega na mniemaniu, że człowiek przytomny może brać na serio, a więc i wierzyć w zdanie, którego znaczenia w ogóle nie rozumie. Nic nie stoi, oczywiście, na przeszkodzie, by ktoś twierdził np. „ja wierzę, że hokus pokus horpiakum”, ale jeśli naprawdę w to wierzy, nie rozumiejąc co ów hokus pokus znaczy,

to mamy do czynienia z wiarą godną papugi, nie człowieka. Człowiek nie może brać za prawdę, uznawać, ani wierzyć w zdanie dla niego całkiem niezrozumiałe, bo takie zdanie jest bełkotem\*.

Ten zabobon występuje w dziejach filozofii głównie gdy chodzi o Boga, którego wielu filozofów pojmowało jako „niewypowiedzianego”, tj. sądziło, że nazwa „Bóg” jest *tajemnicą*, czyli bełkotem. Tak nie tylko średniowieczni myśliciele żydowscy, ale w XX wieku np. Jaspers, który powiada, że o Bogu nie można niczego powiedzieć, a po tym pisze gruby tom o Nim. Można co prawda coś powiedzieć o przedmiocie, o którym niczego nie da się powiedzieć, przypisując mu tę właśnie (semantyczną) właściwość, że jest „niewypowiedziany”. Tylko że nie bardzo widać, dlaczego ów przedmiot nie byłby np. diabłem i można sobie zadać pytanie, dlaczego zwolennicy takiej *tajemnicy* prawią pod jego adresem filozoficzne komplementy. To wszystko jest zabobonem.

Powodem jego rozpowszechnienia jest fakt, że o Bogu (a także, być może, o różnych innych przedmiotach) nie można mówić w ten sam sposób, w jaki się mówi o ciałach i duszach występujących w świecie. Ale jakiś sens trzeba, pod grozą zabobonu, przywiązywać nawet do najbardziej *tajemniczych* nazw.

Patrz: bełkot, religia.

**TEORIA A PRAKTYKA.** Zgodnie z rozpowszechnionym mniemaniem, *teoria*, tj. „czysta” nauka\*, nie mająca zastosowania w praktyce, jest bezcelowa i powinna być zaniechana, a nawet zabroniona (A. Comte). Jest to barbarzyński zabobon, który przy tym grozi sparaliżowaniem przyszłej *praktyki*. A mianowicie człowiek ma najróżnorodniejsze potrzeby, między innymi także potrzebę wiedzy, którą zaspokaja „czysta” nauka. Kto chce ją całkowicie podporządkować tak zwanej *praktyce*, przeczy w rzeczy samej, by ludzie mieli inne potrzeby poza zwierzęcymi, jak potrzeba jedła, mieszkania, odzienia itp., a to jest oczywistym fałszem i zabobonem. Aby się o tym przekonać, wystarczy stwierdzić, ilu ludzi, często najprostszych, interesuje się żywo astronomią, najzupełniej niepraktyczną nauką, albo historią itp.

Zaniechanie czystej *teorii* jest także bardzo niebezpieczne dla przyszłej *praktyki*, gdyż historia myśli ludzkiej wykazała, że badania ongiś najzupełniej niepraktyczne odegrały nieraz z biegiem czasu rozstrzygającą rolę w postępie wiedzy praktycznej. Takimi

były czysto *teoretyczne* dociekania dawnych matematyków, których nauka stała się w czasach nowożytnych głównym narzędziem nauk przyrodniczych i opartej na nich nadzwyczaj praktycznej techniki. Taką była logika\*, prawdziwa zabawa intelektualistów w ciągu dwudziestu pięciu wieków, ale z której w XX wieku wyszła niespodziewanie cybernetyka, z informatyką włącznie, a więc technika, która jest tak dalece *praktyczna*, że przeobraża całkowicie nasze życie. Taki był wypadek badań nad budową materii, ongiś najzupełniej teoretycznych, a które dały nam energię nuklearną. Chcieć podporządkować każdą naukę *praktyce* jest nie tylko zabobonem poniżającym człowieka, ale także zabobonem nadzwyczaj szkodliwym dla samej praktyki.

Pochodzenie tego zabobonu można zrozumieć, jeśli myśli się o okresach, w których człowiekowi brak najważniejszych dóbr, jadła, broni itp., a więc o czasach pierwotnych i o wojnach. Wówczas *teoria* musi oczywiście ustąpić *praktyce*. Ale takie okresy na szczęście mijają i wtedy podporządkowanie *teorii praktyce* staje się niebezpiecznym i niegodnym zabobonem.

**TEORIA POZNANIA.** W okresie upadku filozofii (XVI-XIX w.) rozpowszechniony był zabobon zwany *teorią poznania*. To samo wyrażenie oznacza co prawda także rozsądną dyscyplinę, której przedmiotem jest analiza poznania ludzkiego, jego metod itp. (epistemologia, metodologia nauk itd.). Ale *teoria poznania* praktykowana w filozofii nowożytnej\* jest zabobonem. Polega mianowicie na rozmyślaniach nad pytaniem, czy człowiek może w ogóle coś poznać, czy istnieje świat, względnie jakiś przedmiot poznania poza myślą ludzką, itp. Takie pytania są równoważne z pytaniem dotyczącym wszystkich zdań. Otóż wiadomo z logiki, że o wszystkich zdaniach nie wolno niczego powiedzieć pod grozą sprzeczności. Tzw. „zagadnienie teoriopoznawcze” jest pseudo-problemem i większość tego, co na jego temat napisano, prostym belkotem\*. Kto uważa *teorię poznania* za naukę\* pada ofiarą zabobonu.

Główną przyczyną jego powstania był upadek filozofii nowożytnej. Filozofowie zwątpili o swojej dyscyplinie i zaczęli zamykać się w sobie, w pseudoproblemach w rodzaju *teorii poznania*. Z powstaniem nowej, naukowej filozofii nowoczesnej XX wieku ten zabobon został wśród przodujących filozofów przewyciężony.

Patrz: filozofia nowożytna, idealizm.

**TOLERANCJA.** Tyle co znoszenie. Nazywamy „tolerancyjnym” człowieka, który toleruje, to jest znosi innych, ich poglądy, ich sposób życia itp. Tolerancja jest wypróbowanym sposobem współżycia w łonie tego samego społeczeństwa różnych grup ludzi, różniących się pod względem światopoglądu\*, względnie zasadniczych tez politycznych. W tej dziedzinie *tolerancja* jest pozytywną dyrektywą ustrojową. Ale z tą *tolerancją* związanych jest kilka zabobonów.

Jeden z nich polega na pojmowaniu tolerancji jako reguły bezwzględnej, od której nie ma wyjątków. Wtedy rozumie się przez *tolerancję* także znoszenie kogoś, kto obraża innych, ich uczucia itp. Skądinąd niektórzy pojmują *tolerancję* tak szeroko, że żądają znoszenia nawet tych, którzy chcą siłą obalić *tolerancyjny* ustrój. Mamy wtedy do czynienia z dwoma zabobonami: żadna *tolerancja* nie uprawnia nikogo do obrażania innych, a *tolerancja*, która *toleruje* swoich własnych wrogów, nie może się ostać. Stąd niektóre konstytucje, np. konstytucja Republiki Federalnej Niemiec, zawierają przepis pozwalający rządowi zabronić działalności partii, której zasady i praktyka są sprzeczne z *tolerancyjnymi* zasadami tejże konstytucji. Na tej zasadzie, po otrzymaniu wyroku trybunału konstytucyjnego, zabroniono w Niemczech zarówno partii neo-nazistowskiej jak i komunistycznej.

Inny, znacznie groźniejszy zabobon, to przenoszenie *tolerancji* z dziedziny światopoglądu do nauki\*. Co prawda i w nauce pewna *tolerancja* jest w zasadzie pożyteczna, bo pozwala na rozwijanie nowych myśli, ale ta *tolerancja* ma granice. Wprawdzie nie w tym znaczeniu, by zabraniano ludziom bronić poglądów oczywiście fałszywych, względnie sprzecznych ze stanem nauki, ale w tym, że odmawia im się subwencji itp. Oto przykład: gdyby ktoś chciał bronić dzisiaj teorii Ptolemeusza (według której Słońce obraca się wokół Ziemi), nikt by mu tego w krajach *tolerancyjnych* nie zabronił, ale wątpić należy, czy znalazłby instytut astronomiczny, gdzie pozwolono by mu wykładać to głupstwo, a tym mniej fundusz naukowy, który finansowałby jego „badania”. Powodem przenoszenia *tolerancji* ze światopoglądu do nauki jest zazwyczaj sceptycyzm\*.

**Patrz:** demokracja, nauka, relatywizm, sceptycyzm, wolność.

**TOTALITARYZM.** Pogląd, zgodnie z którym najlepszym ustrojem jest *ustrój totalitarny*, gdzie wszystko bez wyjątku pod-

dane jest kontroli państwa\*. *Totalitaryzm* jest zapewne zabobonem, jako że nie może być całkowicie urzeczywistniony, a w każdym razie powoduje wiele cierpień. Ale szczególnie jasnym zabobonem jest utożsamianie z *totalitaryzmem* ustroju autorytatywnego, w którym nie ma demokracji\* ustrojowej. Taki ustrój może być *totalitarny*, jak w Związku Sowieckim albo nim nie być, jak w starożytnym cesarstwie rzymskim. To pomieszanie pojęć zostało spowodowane przez okoliczność historyczną, że dwa ostatnio najważniejsze ustroje autorytatywne, niemiecki i rosyjski, były równocześnie *totalitarne*.

Patrz: demokracja, tolerancja, wolność.

**URZĘDNIK.** *Urzednicy* w ścisłym słowa znaczeniu, tj. członkowie państwowej biurokracji, wykonywującej władzę (w przeciwieństwie do pracowników upaństwowionych przedsiębiorstw) są potężną klasą, złożoną w większości z pasożytów i wyzyskiwaczy. Nowsze badania wykazały, że w dziejach często są okresy, w których *urzednicy* wyzyskują w okrutny sposób twórczych pracowników; tak było w dawnym Egipcie, tak jest dzisiaj w krajach komunistycznych. Ale w innych liczba i potęga klasy urzędników stale rośnie.

Aby ukryć pasożytniczy charakter swojej klasy, *urzednicy* szerzą zabobony mówiące o „państwie\*”, „władzy”, „klasie\*” itp., podczas gdy chodzi w rzeczywistości o nic innego niż o interesy ich klasy. *Urzednicy* mają bowiem naturalną skłonność do mnożenia się jak króliki. Aby zapewnić posady swoim kuzynom i przyjaciołom, starają się, by ukazywały się coraz nowe ustawy i rozporządzenia. Klasa *urzedników* jest rodzajem raka społecznego, który rozrasta się kosztem zdrowego organizmu i — jak rak — zabije go, jeśli się nie położy tamy jego rozwojowi. Obalenie zabobonów szerzonych przez *urzedników* jest warunkiem przynajmniej częściowego uwolnienia społeczeństwa\* od wyzysku.

Oto przykład rozrastania się tego raka społecznego. W Japonii ustawy i przepisy dotyczące lotnictwa mnożyły się stale i doprowadziły do tego, że obecnie urząd lotniczy wymaga składania planu lotu dwie godziny przed każdym lotem, nawet przed prostą woltą wokół lotniska. Skutek jest taki, że nie można się w Japonii szkolić w lataniu; podstawowe wykształcenie lotnicze otrzymują piloci japońscy w Stanach Zjednoczonych. W ich własnym kraju urzednicy zabili małe lotnictwo i możliwości podstawowego szkolenia.

Jedną z przyczyn szerzenia się zabobonów dotyczących *urzędnika* jest socjalizm\*, a mianowicie dążenie do usunięcia prywatnych przedsiębiorców, których miejsce muszą zająć *urzędnicy*. Katastrofalny skutek ich gospodarki jest powszechnie znany, ale motywy socjalistyczne są nieraz tak silne, że nie pozwalają ludziom dostrzec niebezpieczeństwa grożącego im ze strony zabobonów szerzonych przez *urzędników*. Komunizm\*, jako skrajna postać socjalizmu, jest też jedną z największych sił popierających te zabobony.

Patrz: kolektywizm, komunizm, państwo, socjalizm.

**UTOPIA.** Tytuł fantazji św. Tomusza Morusa, znaczy tyle co „bezmiejsce”, tj. ustrój nigdzie nie istniejący. Dziś oznacza fantastyczny, niemożliwy do urzeczywistnienia ustrój polityczny i społeczny. *Utopia* jest więc rodzajem mitu odnoszącego się do ustroju. Związany z tym zabobon twierdzi, że *utopia*, choć wiadomo, że jest fałszywym, niemożliwym ideałem, jest mimo to pożyteczna, bo zapładnia myśl ludzką i pobudza do czynu. Otóż, aczkolwiek być może tak jest, jedna rzecz jest pewna: że w dziejach *utopie* odgrywały prawie zawsze złowrogą rolę, stając się przyczyną masowych mordów, zniewalania ludzi i innych nieszczęść. W XX wieku taką rolę odegrały dwie utopie: hitlerowska i komunistyczna. Każda z nich kosztowała miliony żyć ludzkich. Wiara w pożyteczność *utopii* jest więc nadzwyczaj niebezpiecznym zabobonem.

Patrz: komunizm, mit, socjalizm.

**WARTOŚĆ.** To, dzięki czemu dany przedmiot jest wartościowy, nazywa się *wartością*; wtórnie bywają tak nazywane, mniej ściśle, wartościowe przedmioty. Z *wartością* związanych jest kilka zabobonów.

1. Jeden z nich miesza *wartości* z wartościowaniami. Jest to zupełne nieporozumienie, podobne do tego, które popełniłby człowiek twierdzący, że liczba jest tym samym co liczenie. Ten zabobon jest wynikiem psychologizmu\*, niezdolności do zrozumienia nierealnych przedmiotów. W rzeczywistości każde wartościowanie przypisuje przedmiotowi pewną *wartość*, tak że *wartość* jest jego przedmiotem, podobnie jak rzecz widziana jest przedmiotem widzenia.

2. Inny zabobon polega na mniemaniu, że wartości zmieniają się w ciągu dziejów: to co było *wartością* wczoraj, nieraz nie jest już *wartością* dzisiaj i odwrotnie. Prawdą jest, że wartościowania ludzkie zmieniają się wielce w czasie i że liczne *wartości* uznawane, powiedzmy, przez starożytnych Greków, nie są uznawane przez współczesnych Polaków. Ale to samo jest prawdą np. odnośnie poglądów geograficznych, a nawet matematycznych. Starożytni Egipcjanie używali w ciągu trzydziestu wieków fałszywego wzoru na powierzchnię trójkąta. Z tego nie wynika bynajmniej, by zasady dotyczącego nowego trójkąta zmieniały się w czasie, ale tylko że ludzka wiedza o nich się zmieniała. Podobnie jest i z *wartościami*: jedne spośród nich są lepiej poznane w jednym okresie, inne w innym. Same *wartości* są równie niezmiennie jak liczby i tym podobne.

3. Trzeci zabobon głosi zupełną względność wartościowań. Powiada się, że co jest *wartością* dla jednego człowieka, nie jest nią dla innego. Najbardziej rozpowszechniona postać tego zabobonu czyni wartościowania bezwzględnie zależnymi od kręgu kulturowego, społeczeństwa, klasy itp. Prawdą jest natomiast, że nasze poznanie *wartości* jest zawsze jednostronne i stąd zależne od tego, czym jesteśmy, m.in. od potrzeb społecznych. Ale prawdą jest także, że ludzie mają pewne potrzeby wszystkim wspólne i stąd podstawowe wartościowania są w zasadzie niezmiennie.

Przyczyną szerzenia się tych zabobonów jest sceptycyzm\* i przesadny nacisk położony na społeczeństwo\*.

Patrz: etyka, relatywizm.

**WIARA.** Nazwa *wiara* oznacza dwie różne rzeczy: 1. przedmiotowo, to w co się wierzy, 2. podmiotowo, sam akt wierzenia, przyjmowania za prawdę, i postawę człowieka wierzącego. W drugim znaczeniu *wiara* jest aktem, przez który wierzący uznaje za prawdziwe jakieś zdanie dlatego, że chce je uznać, a więc pod naciskiem woli.

Istnieje parę zabobonów dotyczących *wiary*. Jeden z nich przeczy, by w wierze występowało jakiekolwiek twierdzenie, zdanie i sprowadza wiarę do uczucia. Jest to oczywisty zabobon, mieszający powód, dlaczego się wierzy, z tym w co się wierzy. Nie można na serio wierzyć, jeśli się nie wierzy w coś. Powiedzenie „wierzę, ale nie ma niczego w co wierzę” jest bełkotem\*, nonsensem. W każdym wierzeniu istnieje pewna treść, a tą treścią jest jakieś zdanie uważane za prawdziwe. Tak np. kiedy



wierzę, że Izidor spłaci swoje długi, uważam za prawdziwe zdanie „Izidor spłaci swoje długi”.

Inny zabobon głosi, że *wiara* jest aktem nierozumnym, w tym znaczeniu, że wierzący nie ma żadnej racji, żadnego rozumnego uzasadnienia dla swojej wiary. I to mniemanie jest zabobonem, bo człowiek umysłowo zdrowy nie może uznać za prawdziwe, tj. uwierzyć w zdanie bez jakiejś racji, jakiegoś uzasadnienia. Jeśli chodzi o *akt wiary*, przez który przyjmuje się światopogląd\*, wydaje się, że owo uzasadnienie ma postać hipotezy wyjaśniającej całość doświadczenia danego człowieka, i to nie tylko doświadczenia faktów, ale także wartości moralnych, estetycznych itd. Zanim się ktoś nawróci, np. na buddyzm, tworzy sobie hipotezę mniej więcej tej treści: gdybym przyjął (uwierzył) w buddyzm, moje życie nabrałoby sensu, tj. moje doświadczenie zostałoby w pewien sposób uporządkowane. Taka hipoteza nie jest dowodem prawdziwości *wiary*, *akt wiary* dodaje do niej „skok” o tyle, że nadaje jej treści pewność. Ale owa hipoteza jest racją, która — chociaż częściowo — uzasadnia *akt wiary*. *Wiara* nie jest więc koniecznie „skokiem w ciemność” ani aktem bezrozumnym.

Wreszcie inny jeszcze zabobon każe wierzącemu stale wątpić w to, w co wierzy. W rzeczywistości kto wierzy na serio, ten ma pewność tego, w co wierzy.

**Patrz: autorytet, religia, rozum.**

**WOLNOŚĆ.** Odróżnia się zwykle *wolność fizyczną* (której nie ma więzień) *psychiczną* (której pozbawiony jest chory umysłowo) i *polityczną* (przeciwieństwo niewolnictwa). *Wolności* dotyczą rozmaite zabobony.

1. Jeśli chodzi o *wolność psychiczną*, tzw. *wolność woli* albo *wolną wolę*, główny zabobon to determinizm, mniemanie, że takiej *wolności* nie ma, że człowiek, posiadający wszystkie warunki do decyzji, nie może sam decydować, ale jest zmuszony przez przyczyny fizyczne względnie psychiczne do takiego czy innego wyboru. Otóż wolna wola jest oczywistym faktem, którego każdy z nas jest bezpośrednio świadomy. Zadaniem filozofa jest nie przeczyć takim faktom, ale starać się je wytłumaczyć. Stąd ci, co przeczą istnieniu wolnej woli sami są ofiarami zabobonu.

Główną przyczyną tego zabobonu jest przeniesienie do psychiki ludzkiej zasady metodologicznej, która niegdyś obowiązywała

w fizyce, a mianowicie tzw. zasady determinizmu. Według niej każde zjawisko i wydarzenie ma determinującą je przyczynę, tj. taką, że skoro przyczyna istnieje, to zjawisko pojawia się z konieczności. Ale ta zasada została zarzucona w fizyce — a nawet gdyby nie została zarzucona, przenoszenie jej do dziedziny psychiki jest bezpodstawne.

2. Innym, przeciwnym pierwszemu zabobonem jest mniemanie, że istnieje *wolność bezwzględna*, w szczególności *wolność* od praw logiki i od faktów. Ideałem tak pojętej *wolności* jest człowiek, który nie dba ani o to, co jest, ani o zasady logiczne. Jest to dziwaczny zabobon, wynikający z pomieszania *wolności psychicznej* z *polityczną* i z wyobrażania sobie przyrody oraz logiki na wzór jakichś tyranów, ograniczających *wolność* ludzką. W rzeczywistości *wolność bezwzględna* nie istnieje, człowiek jest zawsze w wysokim stopniu ograniczony przez położenie, w którym się znajduje. A jeśli próbuje postępować wbrew prawom logiki, to nikt mu tego oczywiście nie może zakazać, ale wynikiem takiej *wolności* będzie bełkot\*.

3. Podobny zabobon istnieje także odnośnie *wolności politycznej*. Polega on na mniemaniu, że bezwzględna *wolność polityczna* jest pożądana. W rzeczywistości taka *wolność* nie jest możliwa, gdyż każde życie w społeczeństwie wyznacza granice *wolności*. Mówi się więc, że *wolność (polityczna)* musi być ograniczona przez *wolność* innych. Żądanie bezwzględnej *wolności politycznej* jest równoznaczne z mniemaniem, że anarchia\* jest możliwym i godnym pożądanym ustrojem społecznym — ale takie mniemanie jest zabobonem.

4. W szczególności mniema się nieraz, że prawdziwa *wolność* polega na niezależności od zasad moralnych. Jest to także zabobon, bo zasady moralne nie są autorytetem innego człowieka, ale zespołem norm, przyjętych przez daną jednostkę świadomie, dlatego że widzi ich słuszność. Ideał rzekomej *wolności* od zasad moralnych jest więc zabobonem. Ten zabobon występuje szczególnie często, gdy chodzi o naukę i sztukę. Twierdzi się, że naukowiec i podobnie artysta powinni powodować się wyłącznie swoimi własnymi celami — a więc naukowiec postępowaniem wiedzy, a artysta wyrażaniem swoich ideałów, bez względu na jakiegokolwiek zasady moralne. Ze stanowiska tego zabobonu lekarze niemieccy przeprowadzający doświadczenia na więźniach obozów koncentracyjnych mieli do tego pełne prawo, jako że nauka powinna być wolna od przepisów moralnych. Zabobonność i szkodliwość tak pojętej *wolności* jest oczywista.

Patrz: anarchizm, artysta, logika, tolerancja.

**ZABOBON.** Patrz przedmowa. Można odróżnić dwa rodzaje *zabobonów*, względne i bezwzględne. *Zabobonem względnym* jest wierzenie sprzeczne z wyznawanym przez nas światopoglądem\*. Tak np. religia\* grecko-rzymska była *zabobonem* dla chrześcijan, a chrześcijaństwo *zabobonem* dla ludzi Oświecenia\*. *Zabobonem bezwzględnym* natomiast jest twierdzenie oczywiście nieprawdziwe, to jest bądź bezsensowne, bądź sprzeczne z faktami, prawami logiki\*, względnie z przyjętymi zasadami wnioskowania. Niniejszy słownik zawiera wybór takich właśnie *bezwzględnych zabobonów*. Na przykład dialektyka\* jest *zabobonem bezwzględnym*, bo jest sprzeczna z oczywistymi faktami.

Istnieje *zabobon* dotyczący samego *zabobonu*. Polega on mianowicie na pomieszaniu obu rodzajów *zabobonów* i uważaniu za *zabobon bezwzględny* wierzenia, które jest tylko *zabobonem względnym*. Jaskrawym przykładem takiego *zabobonu* było wierzenie przedstawicieli Oświecenia, że religie są *zabobonami*. Religie są istotnie sprzeczne ze światopoglądem Oświecenia i jako takie są z jego stanowiska *zabobonami*, ale *zabobonami względnymi*. Nie są natomiast *zabobonami bezwzględnymi*, bo nie są sprzeczne ani z faktami stwierdzonymi przez naukę (autentyczna religia nie dotyczy faktów naukowo sprawdzalnych), ani z prawami logiki. Gdy więc ci przedstawiciele Oświecenia twierdzili, że religie są *zabobonami bezwzględnymi*, padali ofiarą *zabobonu o zabobonie*.

**Patrz:** nauka, Oświecenie, światopogląd, religia.

**Z Ł. O.** Podobnie jak dobro, *zło* jest wartością\*, nauka nie może więc orzekać, czy coś jest, czy nie jest *złem*. Może najwyżej opisywać *zło* i dociekać, kto co za *zło* uważa. Ale z tego, że nauka nie może niczego o *złe* powiedzieć nie wynika bynajmniej, by *zło* nie istniało. Przeczyć temu jest *zabobonem*, jako że istnienie *zła* jest oczywiste. Inny *zabobon* dotyczący *zła* polega na wierzeniu, że każde *zło* jest względne, jest *złem* dla jednego człowieka, ale nie dla innego — tak, że nie ma niczego, co byłoby *złem* dla wszystkich ludzi. I to mniemanie jest *zabobonem*, a to dlatego, że gatunek ludzki ma pewne podstawowe potrzeby i działanie sprzeczne z nimi jest *złem* bezwzględnym każdej jednostki ludzkiej. Tak np. mordowanie małych dzieci jest *złem* bezwzględnym, bo jest sprzeczne z potrzebą zachowania gatunku ludzkiego.

Przyczyną *zabobonów* dotyczących *zła* jest z jednej strony

pozytywizm\*, mniemanie, że czego nauka nie może zbadać, to nie istnieje — a z drugiej sceptycyzm\* względnie relatywizm\* wartości. Tego rodzaju zabobony szerzą się zwykle w okresach, gdy dane społeczeństwo się rozkłada.

Patrz: etyka, wartość.

**ZWIERZĘTA** (doświadczenia na zwierzętach). Jeśli ktoś ma wycucie moralne, że *doświadczenia na zwierzętach* są czymś złym, trudno z nim polemizować. Ale przeciwnicy tych doświadczeń wysuwają czasem na poparcie swojego wierzenia zabobonne argumenty. Twierdzą mianowicie nieraz, że *zwierzęta* są naszymi „braćmi”, przeczą więc zasadniczej różnicy między człowiekiem a *zwierzęciem*, w duchu naturalistycznym. Ale równocześnie odrzucają podstawowe prawo przyrody, rządzące światem zwierzęcym, według którego jeden gatunek zwierzęcy służy potrzebom innego — owady myszom, myszy sowom itd. Takie zaprzeczenie podstawowemu prawu przyrody jest skrajnym humanizmem\*, tzn. antynaturalizmem. Mamy do czynienia z oczywistą sprzecznością i zabobonem.

Prawdy są w tej dziedzinie dwie. Z jednej strony jest rzeczą pewną, zdaniem wszystkich znawców, że niektóre *doświadczenia na zwierzętach* są nieodzowne w medycynie i w produkcji leków. Z drugiej strony powinniśmy unikać okrucieństw wobec *zwierząt*, nie ze względu na same *zwierzęta*, ale dlatego, że okrucieństwo wobec nich paczy ludzki charakter i prowadzi do okrucieństwa wobec ludzi.

Jednym z powodów szerzenia się tego zabobonu jest sentymentalizm — bierze się to, co razi nasze poczucie estetyczne za moralnie złe.

Patrz: etyka, humanizm.

## SPIS HASEŁ

- |                            |                          |
|----------------------------|--------------------------|
| Aktywizm                   | Humanizm                 |
| Altruizm                   | Idealizm                 |
| Anarchizm                  | Ideologia                |
| Antropocentryzm            | Intelektualista          |
| Antysemityzm               | Intuicja                 |
| Artysta                    | Irracjonalizm            |
| Astrologia                 | Kapitalizm               |
| Autorytet                  | Kara                     |
| Bałwochwalstwo             | Klasa                    |
| Behawioryzm                | Kobieta                  |
| Bełkot                     | Kolektywizm              |
| Demokracja                 | Komunizm                 |
| Dialektyka                 | Konwencjonalizm          |
| Dialog                     | Literat                  |
| Dusza                      | Logika                   |
| Dziennikarz                | Logistyka                |
| Egoizm                     | Lud                      |
| Egzystencja                | Ludzkość                 |
| Egzystencjalne zagadnienia | Magia                    |
| Ekonomizm                  | Marksizm                 |
| Elita                      | Materializm              |
| Etyka                      | Materializm dialektyczny |
| Filozofia chrześcijańska   | Metafizyka               |
| Filozofia nowożytna        | Miłość                   |
| Filozofia syntetyczna      | Mistyka                  |
| Guru                       | Mit                      |
| Hawelizm                   | Młodzież                 |
| Hermeneutyka               | Nacjonalizm              |
| Historiozofia              | Nauka                    |

Nieśmiertelność  
Numerologia  
Odrodzenie  
Oświecenie  
Pacyfizm  
Państwo  
Patriotyzm  
Pewność  
Postęp  
Pozytywizm  
Prawda względna  
Proletariat  
Psychoanaliza  
Psychologizm  
Racjonalizm  
Rasizm  
Reinkarnacja  
Relatywizm  
Religia  
Rewolucja  
Rozum  
Równość  
Sceptycyzm  
Scholastyka

Scjentyzm  
Sekty  
Socializm  
Solipsyzm  
Spirytyzm  
Społeczeństwo  
Sprawdzalność  
Sprzeczność  
Śmierć  
Światopogląd  
Tajemnica  
Teoria a praktyka  
Teoria poznania  
Tolerancja  
Totalitaryzm  
Urzędnik  
Utopia  
Wartość  
Wiara  
Wolność  
Zabobon  
Zło  
Zwierzęta





Materializm  
 Antropologia  
 Umyslność  
 Oświecenie  
 Pacyfizm  
 Państwo  
 Patriotyzm  
 Pewność  
 Postęp  
 Powytwórczość  
 Prawda wglądu  
 Proletariat  
 Psychoanaliza  
 Psychologia  
 Racjonalizm  
 Racja  
 Etyketyka  
 Reformacja  
 Religia  
 Równoległość  
 Sąd  
 Świadomość  
 Kształtowanie  
 Schematyzm

Science  
 Sekty  
 Socjalizm  
 Solipsyzm  
 Spirytizm  
 Społeczństwo  
 Sprawiedliwość  
 Sprzecznosc  
 Śmierć  
 Światopogląd  
 Tajemnica  
 Teoria i praktyka  
 Teoria poznania  
 Tolerancja

**ACHEVE D'IMPRIMER  
 LE 27 JUILLET 1987  
 SUR LES PRESSES DE  
 L'IMPRIMERIE RICHARD  
 24, RUE STEPHENSON,  
 PARIS (XVIII<sup>e</sup>).**

Dépôt légal : 3<sup>e</sup> trim. 1987.

N° d'imprimeur 8389.

Inst. Lit. et cl.  
 Maisons-Laffitte  
 - 4 WRZE 1987



Odkwaszone

.....06-10-2008.....

